ARCYDZIEŁA LITERATURY POWSZECHNEJ

W PRZEKŁADZIE

Znakomitych Poetów i Prozaików Polskich

Ułożył i wstępem opatrzył

ALEKSANDER P. DOBRSKI

1929
WYDAŁ A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO
PRINTED IN THE UNITED STATES OF AMERICA

niniejszą książką
wzbogacił *zbiory* Unwersytetu Jagiellońskiego
Szymon Stanisław Deptuła
emigrant z Polski

ARCYDZIEŁA LITERATURY POWSZECHNEJ

w przekładzie

Znakomitych Poetów i Prozaików Polskich

ARCYDZIEŁA LITERATURY POWSZECHNEJ

w przekładzie

Znakomitych Poetów i Prozaików Polskich

Ułożył i wstępem opatrzył
Aleksander P. Dobrski,

"Genjusz bywa • zjawą i cieniem
tego, czem ma stać się człowiek".
(P. B. Shelley)

WYDAŁ A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO

FRINTED IN THE UNITED STATES OF AMERICA

Przedmowa

> “Nie zaklęliśmy dotąd w język polski wszystkich genjuszów obcych, aby świecili i nad naszem niebem; to, co w tej dziedzinie Młoda Polska dokonała, świadczy o poczuwaniu się do długu wobec obcych i swoich, o umiłowaniu szczerem i owocnem Piękna, bez względu na to gdzie boski Apollo dźwięki jego rozsiał”.
>
> (WILHELM FELDMAN)

Zaledwie dwadzieścia lat minęło od teg’o czasu, gdy historyk literatury polskiej, Wm. Feldman, pisał powyższe słowa w przedmiocie przekładów arcydzieł literatury powszechnej. W okresie tego czasu najznakomitsi poeci “Młodej Polski’’: —• Konopnicka, Kasprowicz, Staff, Miriam, Lange, Porębowicz spolszczyli najpiękniejsze utwory, zwłaszcza z literatury angielskiej, francuskiej i włoskiej. Współcześni zaś poeci z Jerzym Bandrowskim na czele przyswoili znakomite prace R. Tagore i innych genjuszów świata. W ten sposób ten dorobek wielotomowy przekładów dał początek do powstania nowego wydawnictwa p. t. Bibljoteka Laureatów Nobla, która stale w pewnych odstępach czasów zaznajamia publiczność poi-

ską z nową znakomitością obcą. Wyłoniła się więc potrzeba ułożenia wyjątków z tego bogatego materjału przekładów, które pozwoliłyby rozejrzeć się czytelnikom w tym wielkim lesie nazwisk genjuszów. Książka ta zatem może dwojakie oddać usługi: — 1) służyć, jako praktyczny podręcznik literatury powszechnej i 2) -dać możność zaznajomienia się z twórczością genjuszów tym, których nie stać na przeczytanie całej spolszczonej literatury powszechnej.

New York, N. Y., w styczniu 1929 r.

Aleksander P. Dobrski.

1.

Oda

Rozniebieszczone te błękity,
Ten strop, w promienne morze spowity,
Te nieb bezmiary przewspaniałe
Wieczną Praźródła głoszą chwałę.
Niewyczerpany ogień słońca
Swojego Stwórcę czci bez końca
I z wieścią spieszy na okręgi
O wielkich sprawach Wszechpotęgi.

A wieczór mrok swój gdy rozleje,
(Księżyc przedziwne chwyta dzieje
I z zasłuchaną ziemią gwarzy
O narodzinach swych miraży.
Planet mu lśnisty zastęp wtórzy,
Gwiazdy, w nadziemnej swej podróży
Przebiegające firmamenty,
Dają świadectwo Prawdzie świętej.

Chociaż naokół ziemskiej kuli,
Która noc w ciemny płaszcz swój tuli,
Krążą w milczeniu, choć dla ucha,
Zda się, naokół przestrzeń głucha,

Serce w tej wiecznej, gwiezdnej ciszy
Głos nieustanny ciągle słyszy —.
Od nieb rozłoga do rozłoga
Brzmi: “Nas posiała ręka Boga!”

Józef Addison (1672—1719).
(Przekład Jana Kasprowicza)

2.

Serce

Pewien parostatek francuski odpłynął z Bar" celony, miasta w Hiszpanji, do Genui, a na jego pokładzie byli Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Szwajcarowie. Znajdował się tam pomiędzy innymi chłopiec lat jedenastu, o nędznej odzieży, sam jeden, który się zawsze trzymał na uboczu, jakby zwierz dziki, patrząc na wszystkich ponuro z ukosa. I miał też swoje powody do patrzenia tak ponuro i krzywo na ludzi. Przed dwoma laty jego matka i ojciec, wieśniacy z okolicy Padwy, sprzedali go dyrektorowi jakiegoś towarzystwa kuglarzy, który, wyuczywszy go różnych sztuk łamanych zapomocą kułaków, pięści i głodu — zabrał go z sobą najpierw do Francji, potem do Hiszpanji, bijąc go ciągle, kopiąc przy lada sposobności nogami i morząc w dodatku głodem.

Po przybyciu do Barcelony, chłopiec ten, nie mogąc już dłużej znosić bicia i głodu, przywiedziony do prawdziwie opłakanego stanu, uciekł od

swego tyrana i udał się o pomoc do konsula włoskiego, który zdjęty litością dla malca, umieścił go na owym okręcie i dał mu list d'o prefekta Genui, aby go tenże odesłał do jego rodziców, którzy go sprzedali niby bydlę.

Biedny chłopiec był obdarty, w ranach i chory. Dano mu kącik w kajucie drugiej klasy: wszyscy spoglądali ciekawie na niego, niektórzy zwracali się z zapytaniem, ale on nie odpowiadał i zdawało się, że nienawidzi wszystkich, że gardzi wszystkimi, tak go rozjątrzyły i popsuły głód, nędza i bicie.

Wszakże pomimo to trzem podróżnym udało się przez ciągłe natarczywe pytania rozwiązać chłopczykowi język tak, iż w krótkich, urywanych, pełnych goryczy słowach, mieszając wyrazy hiszpańskie i francuskie, opowiedział im swoje dzieje. Owi trzej podróżni nie byli Włochami, ale zrozumieli mowę chłopca i trochę przez litość, trochę wskutek podniecenia przez wino, które właśnie podczas jego opowiadania popijali, dali mu każdy po parę groszy, żartując i pobudzając go do dalszej mowy; a kiedy do sali weszło w tej chwili kilka pań, wszyscy trzej, chcąc się przed nimi popisać, dawali mu jeszcze pieniędzy, wołając: — Masz chłopcze! I to dla ciebie. Bierz, bierz — i rzucali na stół monety tak, aby dźwięczały.

Chłopiec zgarnął pieniądze i schował wszystko do kieszeni, dziękując półgłosem, z twarzą posępną, ale po raz pierwszy z wejrzeniem wesołem

i dobrem. Potem wiązł do swej ałkówki, zasunął firankę i leżał cichutko, rozmyślając o swoich sprawach i o tem, co się teraz stało. Za te pieniądze mógł spożyć niejeden smaczny kąsek na okręcie, on, co od lat dwóch nic prócz chleba i to w niedostatecznej ilości nie jadał; mógł sobie kupić, wysiadłszy w Genui, ładne ubranko — on, co od dwóch lat chodził w łachmanach; i mógł również, oddając swe pieniądze rodzicom, zapewnić sobie nieco lepsze przyjęcie niż to, któreby go czekało, gdyby się zjawił z pustemi kieszeniami. Te pieniądze były dlań wielkiem szczęściem, bo stanowiły dla niego niemal majątek. I myślał wciąż o nich, pocieszony, spokojny, ukryty za zasłoną alkowy, podczas gdy trzej podróżni rozmawiali, siedząc za stołem obiadowym pośrodku sali drugiej klasy. Pili i mówili o swoich podróżach i o krajach, które zwiedzali, aż wreszcie rozmowa ich zeszła na Italję. Jeden zaczął wyrzekać na hotele, drugi na góry i drogi, inny na koleje żelazne, w ostatku wszyscy trzej razem zaczęli ganić wszystko. Jeden powiedział, że wołałby po Laponji podróżować, niż po Italji; drugi — że w Italji znalazł samych oszustów i zbójów; trzeci •— że urzędnicy tam nie umieją czytać.

.— Naród głupi i ciemny — rzekł pierwszy.

-— A jaki brudny! — dodał drugi.

— Zło... — zawołał trzeci.

I chciał powiedzieć “złodziejski,” ale nie mógł dokończyć, bo nagle cały grad miedziaków i srebr-

nych półfrankówek spadł na ich głowy i plecy, rozsypując się następnie z brzękiem po podłodze i stole.

Wszyscy trzej zerwali się gniewni, spoglądając do góry, w tem nowa garść miedziaków, wyrzucona z siłą, ugodziła ich w same twarze.

— Bierzcie sobie wasze pieniądze! — wołał z pogardą chłopiec, klęcząc śród rozchylonych zasłonek alkowy — nie przyjmuję jałmużny od takich, którzy mój kraj znieważają!

Edmondo de Amicis (1846—1908)
(Tłum. Maria Obrąpalska).

3.

Z “Listów Ojca” Garibaldi

3 Czerwca.

Dzisiaj w całym kraju dzień żałoby. Wczoraj wieczorem umarł Garibaldi. Wiesz-że, kto on był? To ten, co wyzwolił z pod jarzma Burbonów dziesięć mil jonów naszych rodaków. Umarł, mając siedemdziesiąt pięć lat. Urodził się w Nizzy, był synem kapitana okrętu. Mając lat ośm uratował życie pewnej kobiecie; mając lat trzynaście ocalił łódź od zatonięcia, pełną swoich towarzyszów; mając łat dwadzieścia siedem, wyciągnął z wody pod Marsylją młodzieńca, który tonął; mając lat czterdzieści jeden, wyratował

cały statek płonący na oceanie. Przez dziesięć lat walczył w Ameryce za niepodległość obcego mu narodu, bił się w trzech wojnach przeciw Austrjakom t o wyzwolenie Lombardji i Tarentu; bronił Rzymu przed Francuzami w 1849 r.; wyzwolił Palermo i Neapol w *r*. 1860; walczył powtórnie za Rzym w r. 1867, a w r. 1870 bił się z Prusakami w obronie Francji. Posiadał w łonie zapał święty bohaterstwa i był wodzem genjalnym. Walczył w czterdziestu bitwach, z których trzydzieści siedem wygrał. Jeżeli się nie bił, pracował na życie lub chronił się na wyspę samotną, gdzie ziemię uprawiał.

Był na przemian nauczycielem, żeglarzem, robotnikiem, kupcem, żołnierzem, generałem, dyktatorem. Był wielki, skromny, dobry. Kochał wszystkich, osłaniał wszystkich cierpiących; nie miał innej żądzy, prócz pragnienia dobra; nie przyjmował zaszczytów, gardził śmiercią, ubóstwiał Italję. Kiedy wydawał hasło do wojny, legjony walecznych zewrsząd spieszyły do niego; panowie porzucali swoje pałace, rzemieślnicy fabryki, młodzieńcy — szkoły, a wszyscy szli walczyć w słońcu jego chwały. W czasie wojny nosił czerwoną koszulę Był silny, jasnowłosy, piękny. Na polach bitwy był jak grom, w przywiązaniu jak dziecko, w boleści jak święty. Tysiące Włochów umarło za swój kraj; szczęśliwych, że w chwili skonu widziało go zdaleka, przejeżdżającego jako zwycięzcę; tysiące dałyby się zabić za niego; mi-

ljony błogosławiły go i będą go błogosławić. Umarł — świat cały po nim płacze. Ty dziś tego jeszcze nie rozumiesz. Ale będziesz czytał o jego czynach walecznych, będziesz przez całe życie o nim słyszał, a w miarę tego jak będziesz wzrastał i jego obraz róść będzie przed tobą i coraz bardziej utrwali się w twojej pamięci i sercu; kiedy ty będziesz człowiekiem on wyda ci się olbrzymem, a kiedy ty już zejdziesz ze świata, kiedy nawet dzieci twoje oddawna żyć przestaną, jeszcze owe przyszłe pokolenia będą widziały w górze twarz promienną tego obrońcy wolności narodów, otoczoną wieńcem imion jego zwycięstw, jakgdyby gwiazd kołem i każdemu Włochowi rozjaśni się czoło i dusza, gdy imię jego wymawiać będzie.

Edmondo de Amicis (1846—1908)
(Tłum- Marja Obrąpałska)

4.

Delfin

Na pobrzeżu nazwano go Delfinem. Przezwisko to bardzo doń pasowało; w wodzie zupełnie przypominał bowiem zwinnego, silnego delfina o krzywym grzbiecie i wielkiej głowie. Warto było obserwować go, gdy skakał do wody ze skał: wyglądał wtedy, jak jakiś wielki ptak morski, zraniony w skrzydło. Ale może najpiękniejszym był na łodzi, podczas gdy szumial wokoło duszny si-

rocco i targał jej czerwonym żagielkiem, a rycząca wokół burza chciała pochłonąć śmiałego żeglarza. Wtenczas był najpiękniejszym.

Nie miał ani ojca, ani matki. Matkę stracił, przychodząc na świat, w ciemną noc jesienną. Ojca pożarło mu morze: pożarło go pewnego strasznego wieczoru, gdy wiatr ryczał, jak sto wilków, a niebo było koloru krwi. Słuchał szumu fal, jak głosu kogoś bliskiego, kochanego. Rozmawiał z morzem tak, jak niegdyś rozmawiał z ojcem, z wybuchami miłości, z dziecięcą serdecznością. — On śpi tam w morzu — powiedział raz do ZaiTy o ojcu — i ja tam. pójdę. On czeka na mnie. Wiem
— że na mnie czeka. Widziałem go wczoraj.

— Widziałeś go? —■ spytała zaciekawiona dziewczyna.

— Tak. Morze było spokojne, jak oliwa. Wyjrzał powoli z wody i patrzał na mnie długo.
— Zarra poczuła dreszcz strachu.

Ach ta Zarra! Jakżeż była piękna, jak nieskończenie piękna! Wysoka i prosta, jak trzcina, giętka jak pantera o zębach żmii, o szkarłatnych wilgotnych ustach...

Z Delfinem kochali się od dziecka; od czasu, gdy razem grzebali się i bawili w piasku, lub brodzili po przeźroczystej wodzie wybrzeża.

Całowali się tysiąc razy w usta w słońcu i w morzu. I w morzu i w słońcu tysiąc razy śpiewali pieśń młodości swojej.

Zarra co wieczór oczekiwała na powrót Delfina, kiedy niebo pociemniało, a woda przybierała tu i ówdzie fiołkowe przebłyski. — Hen w oddali pojawiały się barki rybackie. Ale łódź Delfina była już blizko. Leciała naprzód jak strzała z czerwonym żagielkiem, pełnym wiatru, którym była miłość. Chłopak stał wyprostowany, jak kolumna granitu...

— Cóż — witała go Zarra — dobry był połów?

Opowiadał jej. Mewy unosiły się stadami około skał, krzycząc przeraźliwie. Po wybrzeżu rozchodziły się nawoływania rybaków i ostry zapach morza. Zapach ten upajał zakochanych. Czasem godzinami wpatrywali się sobie w oczy, ona, siedząca na skraju łodzi, on rozciągnięty u jej stóp. A fala płynęła i śpiewała dla nich, tylko dla nich, zielona fala, podobna do olbrzymiej łąki w maju, kołysanej wiatrem.

— Masz dziś dziwne oczy, Zarro, — westchnął raz Delfin, — przysiągłbym, żeś jest jedną z tych rusałek, które spotykają marynarze na pełnem morzu, daleko, daleko i które są.nawpół kobietami a nawpół rybami. A gdy śpiewają słodko, łodzie rozbijają się o skały... A one mają włosy żywe, jak węże... Którego dnia staniesz się jeszcze taką syreną, a ja oczarowany, skoczę za tobą w -wodę...

— Szalonyś — rzuciła, śmiejąc się i głaszcząc go po włosach, podczas gdy on drżał u jej stóp, jak zakuty w kajdany lampart.

Raz, w lipcu, o świcie przyjechała i Zarra na połów. W mlecznym powietrzu czuć było orzeźwiającą świeżość poranku.

Łódka płynęła powoli, kołysząc się, to podskakując, jakby była żyjącą istotą.

— Patrz — zawołała nagle Zarra do Delfina — patrz na te białe małe domki jakie śliczne, jakie malutkie... Podobne do domku kupca Gnese z Natale.

Piękny synek kupca widocznie namiętnie pragnął rozstać się z życiem. Gdy przechodziła Zar ra, zawsze rzucał jej jakieś słówko uprzejme, zakręcając z kokieterją jasne wąsiki. Ona uśmiechała się do niego.

— Krew jest czerwona — mawiał Delfin ponuro. ..

— I jednego z ostatnich wieczorów lipca przekonał się naocznie, że krew jest czerwona. Ujrzawszy rywala swego, rzucił się na niego, jak wściekła tygrysica i powalił go nożem na ziemię, nim nieszczęśnik zdołał wydać głos.

Potem, widząc zbiegający się tłum, skoczył w morze, zniknął, znów się pojawił, walcząc z wodą z nadludzkim wysiłkiem. Widziałem go jeszcze

daleko, daleko, wynurzającego się i nurkującego, jak delfin...

Na wybrzeżu szumią! sirocco i rozlegały się bolesne krzyki ojca ofiary.

Gabryel D’Anunzio (1863).
(Przekład Juljana Ejsmonda)

5.

Wzlot

Ach, ponad stawy, ponad doliny,
Nad góry, lasy, chmury i morza,
Aż poza słońce, za eter siny,
Za sfer gwiaździstych dalne przestworza —

Bujasz mój duchu, zwijasz się wkoło,
Jak dobry pływak, gdy fale noszą.
Brzemienną głębię bróździsz wesoło
Z niewysłowioną męską rozkoszą.

Leć, niech cię wyższa sfera otoczy,
Oczyść w niej skrzydła, rzuć w brudne męty,
I jasny ogień górnych przeźroczy
Pij — jako nektar czysty i święty.

Ach, ponad nudy, ponad zgryzoty,
Któremi życie jak mgłą się zmącą,
Szczęsny, kto wzbił się śmiałemi loty
W pogodne kraje światła i słońca;

Kto jak skowronek myślą w lazury
Wylata rankiem pełen swobody;
Kto zdoła spojrzeć na życie z góry,
Pojąć szept kwiatu, mowę przyrody! '

Charles Baudelaire (1821—1867)
(Tłum. Adam M-ski)

6.

Mroźna zimowa noc

Mroźna zimowa noc, odziana w śnieg;
Cisza w pokoju; ojciec do snu legł
I matka śpi już; śród zawartych bram
Przy ogniu tylko syn pozostał sam.

Wpatrzony w płomień, ciche mary snuł
O tej, co poszła już w mogilny dół,
I ani spostrzegł — zamilkł wszelki ruch, —.
że tuż poza nim stał umarłej duch.

“O jakaż dola! jaki smutny kres” —
Tak śród żałoby narzekał i łez;
“Na te jej usta, na mych pieszcziot ślad,
Na pierś, na dłonie ciężar gliny padł.”

Nie słyszał wcale tych ukojnych tchnień,
Które mu szeptał niewidzialny cień:
Widać, że serce jego, mimo żal,
Nie jest z nią w grobie... I duch odszedł w dal

Robert Bridges, (1844).
(Przekład Jana Kasprowicza)

7.

Pippa przechodzi

(Pippa śpiewa: —)

Drzew gałęzie wspólnie rosną,
Kwiat się z trawą łączy wiosną,
Ja ni siostry ani brata,
Sama jestem pośród świata.
Wiem od dawna: głos ptaszęcy —
A i zwierząt — to nic więcej,
Tylko niby ludzka mowa —
Choć w nim większy czar się chowa!
O jak bliskie jest mi słońce!
Gwiazdy znam ni palców końce,
Wiem, ku jakiej się potrzebie
Zmienia księżyc ten na niebie;
A gdy żadna jego zmiana
Już nie będzie mi nieznana,
Bóg mnie wziął do siebie!
Muszka w swej dziurze
I w ulu pszczoła
Przetrzymać burze
Zimowe zdoła.
Go robią te inne stworzonka dokoła,
Jać tego nie wiem zgoła.

O nie! tak zmarnować dni letnie żywota
Bez troski o jutro, gdy zima zawoła,
Gdy zima ci stanie u płota!
Co zrobią inne stworzonka dokoła,
Jać tego nie wiem zgoła.

A teraz chciałbym wiedzieć, o ile
Jam się zbliżył dio tych, którzy w przędzy
Mych marzeń żyli cały dzień dzisiejszy.
Czym ich popchnęła naprzód choć na chwilę —
Na krótką chwilę — ku dobru czy nędzy? —
Czy radość zwiększy się, czy ból się zmniejszy?
Zda mi się, losu ich i doli mojej
Treść usłyszałem dziś w mej rannej pieśni —
To się lub owo prześni lub nie prześni .
Już się nie będę modlić... Bóg mnie strzeże...
Czy tak czy owak, w prawdę hymnu wierzę...
Wszyscyśmy bożych rąk narzędzia...
I zły i dobry w jego matni
I nikt tu pierwszy, nikt ostatni.

Robert Browning, (1812—1889)
(Przekład Jana Kasprowicza)

8.

Sonet

Za Parnas własne serce wystarczyć mi może,
Gdy, uchodząc nieszczęścia, dumnie naniem stanę;
Myśli moje to myszy, które w każdej porze
Czynią mi przytomnemi wszystkie cuda znane.

Tam zaś są me najczystsze helikońskie zdroje,
Stąd się' biorą łzy hojnie na świat wylewane.
Te wyżyny, te muzy, te zdroje mam: przeto
Za wolą niebios jam się urodził poetą.

Nie przez królów zostałem wieńcami okryty,
To nie ręka życzliwa samego cesarza,
To nie najwyższy pasterz łaską mnie obdarza,

Dając mi przywileje, ozdoby zaszczyty:
Ale laurem to czoło pokryły na wieki
Me serce, moje myśli i łez moich rzeki.

Giordano Bruno, (1548—1600)
(Tłum. Adam Asnyk)

9.

Sonety

Kto gwałtem do cię wiedzie mnie, nieznany,
Biada mi, biada, biada,
Kto mnie wolnego związał, w jarzmo kłoni?
Jeśli bez kajdan pętasz mnie w kajdany,
Jeśli pojmałeś bez ramion i dłoni,
Któż mnie przed piękną twą twarzą obroni?
* * *

żem nie jest sobą już, jak to być może?
O Boże, o Boże, o Boże!
Kto mnie zabrał mnie samemu,
Kto jest bliższy wnętrzu memu,

Na wolę moją kładąc swą obrożę?
O Boże, o Boże, o Bioże!
Co nie tyka mnie, w pozorze,
Jakoż w serca głąb się wtłoczy?
Co to, powiedz, o Amorze,
Wchodzi w serce poprzez oczy
I w ciasnej zdaje się wzbierać komorze,
Kiedy się nazewnątrz toczy? -

Michał Anioł Buonarroti. (1475—1564)
(Tłum. Leopold Staff)

10.

Me serce jest w górach

Me serce jest w górach, nie dla mnie tu świat!
Me serce jest w górach, za zwierzem mknie w ślad;
Za dziką zwierzyną, za sarną mój bieg;
Me serce jest w górach, gdziekolwiekbym legł.

O żegnaj, Północy, ty kraju mych gór,
Skąd siły i męstwa wywodzi się wtór;
Gdziekolwiek się udam, gdzie zwrócić się mam,
Li ciebie ja kocham, li ciebie ja znam.

Hej 1 żegnam was, szczyty, śnieg pokrył wam skroń I
Wąwozy me żegnam i kwietną mą błoń!
Żegnajcie mi knieje i lesie ty mój,
Gdzie huczą siklawy, gdzie głośny grzmi zdrój..

Me serce jest w górach, nie dla mnie tu świat!
Me serce jest w górach, za zwierzem mknie w ślad;
Za dziką zwierzyną, za sarną mój bieg;
Me serce jest w górach, gdziekolwiekbym legł.

Robert Burns, (1759—1796).
(Przekład Jana Kasprowicza)

11.

. Burza na morzu

(Z Don Juana)

Charakter wojenny morza
Coraz to groźniej znaczył burzę.
Wiatr nie był jeszcze wściekłością brzemienny,
A już lądowcy pobledli jak tchórze.
Lecz marynarze — to jest ród odmienny
Pod noc ściągnięto żagiel w samej górze;
Niebo wróżyło, że nastąpi starcie
I kilka żagli pójdzie na rozdarcie.

O pół do drugiej wiatr nagłym zawrotem
Wpakował okręt między dwa bałwany,
Co dno wybiły, kując w nie, jak młotem,
Spłókały pomost, uszkodziły ściany;
I nim żeglarze, strwożeni łoskotem,
Zbiegli się dźwigać okręt skołatany,
Ster pękł; do pomp biegł i stary i młody,
W statku było już — cztery stopy wody.

Podróżni widząc, że ich okręt ginie,
Raźno skoczyli. Zaczęto przewracać
Beczki, odsuwać kufry, paki, skrzynie,
Lecz nikt się nie mógł otworu domacać,
Wreszcie znaleźli go. Całej drużynie
Zaczęła w serca mdłe otucha wracać.
Choć się wdzierała woda przez szczeliny,
Kładziono kołdry, tłomoki, pierzyny

W otwór, co wszystko na nic się nie zdało;
Musieliby iść na pożarcie hajom
Mimo wysiłek i energię całą,
Gdyby nie pompy. Niechaj ludzie znają.
Jaką się pompy te okryły chwałą
(Pięćdziesiąt beczek wody wyrzucają
W godzinę, a zaś ich wyrobem słynie
Zaszczytnie znany Mr. Mann w Londynie).

Dzień drugi dawał pozory pogody;
Więc byli radzi i krzepili siły,
Choć wewnątrz było na trzy stopy wody,
Którą trzy pompy nieustannie piły.
Znowu wiatr zawiał, nowe zrządził szkody,
Wpadli w wir, działa z łożysk się stoczyły,
Ogromny bałwan na okręt się rzucił,
Uderzył, podbił i na bok przewrócił.

Tak wywrócony leżał i bez ruchu;
Pokład się w wodzie nurzał do połowy,
Sprawiając widok, co tak może w duchu
Utkwić, jak gromów huk, ogień bojowy,

Jak wszystko, co się dobywa z rozruchu
Uczuć i łamie serca, karki, głowy.
Tak i topielcy, gdy wypłyną z toni,
Drżąc, straszne rzeczy powiadają o niej.

Więc maszty, które okręt nachyliły,
Wyższy i niższy toporami ścięto.
Okręt ani drgnął — leżał na kształt bryły,
Leniąc się powstać, jak parobek w święto.
Snąć mu dwa maszty ostatnie ciężyły:
Przedni i tylny — w milczeniu je ścięto;
Nikt się przed czynem rozpacznym nie wzdrygnął....
Wtedy się nagle stary okręt dźwignął.

Łatwo odgadnąć, że gdy te przewroty
Odbywały się, podróżni niezdarni
Biegali tam — sam, nie mając ochoty
Zbyć życia prędzej, nim zbędą spiżarni.
Ba! stare wygi, gdy śmiertelne poty
Strach im wyciśnie, stają się niekarni,
Wódki wołają, wszelkie prawa depcą,
Czasem rum nawet prosto z beczki chłepcą.

Nic tak zapewne ducha nie posili,
Jak rum i wiara... Wierząc w te sposoby,
Jedni śpiewali psalmy, drudzy pili,
Wiatr był dyszkantem, jak w chórze żałoby,
Basem dudniły fale. Przestrach zmyli
Cierpienia, z morskiej wyleczy choroby.
Przekleństwa, modły i pijackie krzyki
Z ryczącą falą chór stworzyły dziki.

Możeby prędzej padli w tej pogoni
Z losem — lecz Juan, mądry, choć tak młody,
Stanął przed drzwiami, w każdej dzierżąc dłoni
Pistolet; a jak gdyby śmierć od wody
Lżejszą być miała, niż od palnej broni,
Zaczęli prosić i łzami jagody
Rosić i wzdychać; toć bardzo się gani,
że chicieli gwałtem umierać pijani.

“Więcej nam grogu daj — wołali — bo my
Zaraz umrzemy!” — “Nie! — Juan zawoła —
Prawda, że los mi nasz wspólny wiadomy,
Lecz umierajmy, człowieczeństwa z czoła
Nie starłszy.” Mówiąc, od drzwi lud łakomy
Odpychał nakształt rajskiego anioła.
Pedrillo nawet z szanownem obliczem,
Choć kornie oczy wznosił, odszedł z niczem.

Poczciwy staruch na ramieniu duszę
Miał i zawodził i wzdychał żałośnie,
Rachował grzechy, zagrzebany w skrusze,
Wołał: “Niechaj Bóg karą mnie ochłośnie!”
Przyrzekł, że gdy się dostanie na suszę,
To się z sukienką kapucyńską zrośnie.
A nie zabawi dłużej od kwadransa
Przy don Juanie niby — Sanszo Pansa.

Nadzieja jedna świeciła im trwale,
Dzień wstawał, wiatr snął, masztów już nie było,
Otwór wzrósł, wkoło ławy piasku, ale
Nie ląd; — tak okręt bujał — nad mogiłą.

Do pomp się znowu rzucili; w zapale
Ostatnią ręce wytężali siłą;
Ze wschodem słońca pracowali sporzej,
Mocniejsi u pomp — a u żagli chorzy.

Płótno u sztaby uczepiono statku
I tak trzymało się, jakby na rei,
Ale bez masztów, żagli, a w dodatku
Z dziurą w dnie — trudno nie tracić nadziei.
Rozpaczać jednak trzeba — na ostatku,
żywot, choć długi, nigdy się nie przeje,
A choć czas przyjdzie, że śmierć załopoce
.Skrzydłem — smutno gnić w lińskiej zatoce,-

Tam ich wiatr rzucił; sam zaczął sterować
I samowolnie po odmętach wodził,
Ze steru trzeba było zrezygnować
I ze spoczynku; czas prędko uchodził
Przy pracy, bo maszt musieli prostować,
Ster ladajaki teżby się przy godził.
Niepewna chwili ta okrętu zmora
Płynęła, lecz nie z biegłością kaczora.

Sobą strawiła się gwałtowność burzy;
Lecz fala parła gwałtownie przez dziury
W okręcie; łudzić nie mogli się dłużej.
Wody tęż słodkiej zabrakło, bez której
Śmierć ich czekała niechybna w podróży.
Przez teleskopów poglądali rury,
Lecz nie ujrzeli ni żagli, ni brzegu,
Nic — tylko morską toń i strach noclegu.

Znów wicher zawył i znów okręt kruchy
Zaczął się głębiej zanurzać w topieli;
Choć wyzierała śmierć z tej zawieruchy,
Wszyscy cierpliwi byli, nawet śmieli,
Aż gdy się zdarły skóry i łańcuchy
U pomp, zwątpienie przyszło i ujrzeli,
Jak go pochwycił wiatr, wściekłością zbrojny...
•— Tak chwyta ludzi wir domowej wojny.

Zbliżył się cieśla. Łzy miał pod zgrubiałą
Powieką i rzekł cicho: “Kapitanie,
Niema ratunku!. .. “Ten człek żył niemało,
Po niejednym się błąkał oceanie
I widno strasznie mu się w duszy działo,
Bo nie było to kobiece płakanie. ..
Lecz tam zostały w chacie dzieci, żona...
Tą myślą człowiek zwarjuje, nim skona.

Ocean teraz prawie pokład zmywał;
Okręt się przegiął, strach różnicę znosił.
Ktoś swoim świętym funt świec obiecywał
(Ba! gdzie ich dostać?), drugi ręce wznosił
W górę, ów dziko w morze się wpatrywał,
Kilku spuszczało łódź, a jeden prosił
Pedrilla, aby dał mu rozgrzeszenie-;
Ten go “eto djabła” słał — przez roztargnienie.

Ci się rzucili w hamaki i spali,
Ci się stroili pięknie, jak na gody,
Ci dzień urodzin swoich przeklinali,
Zgrzytali, wyli, włosy darliz brody.

Inni — jak rzekłem — mężni i wytrwali,
Spuszczali wielką szalupę do .wody,
Marząc, że uda się śmierci wywinąć,
Byle nie trzeba wbrew prądowi płynąć.

Lecz co myśl wiodło do ©stateczności,
To — zjawiające się głodu widziadło.
Rozumiał każdy, iż zbraknie żywności,
Gdyby tak dłużej błąkać się wypadło;
A człek nie lubi żyć i mrzeć we czczości;
Morze śpiżarnie prawie całą zjadło,
W kutrze zmieściła się ledwo troszeczka
Masła — (dwa sadki) — i charów beczka.

Szalupa była większa, to też dla niej
Przypadło: chleba zmokłego dwadzieścia
Funtów, sześć wiader wody, wina w ,bani
Pół wiadra; z mięsa kupionego w mieście
Kadyksie: jeden comberek barani,
Szynka wieprzowa, wołowina, wreszcie
Osiem galonów rumu — jak widzicie,
Dość licho asekurowano życie.

Jolla, Pinassa poszły z huraganem,
Kiedy się wzmogła burza — jeszcze rano,
Lecz można było boleć i nad stanem
Szalupy; z kołder żagle pozszywano,
Z wiosła, które się naszło w skołatanym
Statku, maszt jakiś wykoncypowano.
Dwie łodzie ledwie pół wzięły załogi
A kuter w żywność był nader ubogi.

Dzień bezsłoneczny powoli uchodził
W morskiej pustyni. A jako zbrodniarze
W maskę twarz kryją, aby cios ugodził
Śmielej i nocy powierzają straże,
Tak się im zjawiał mrok, co cienie zwodził
Na toń samotną i na blade twarze.
Dwanaście pełnych dni wiodła ich trwoga,
Teraz jej miejsce zajmie śmierć złowroga.

Zaczęto tratwę z gorącym pośpiechem
Zbijać, lecz tratwa na morzu — cóż znaczy ?.
•Na to mógłby ktoś poglądać z uśmiechem,
Gdyby był bardzo wesół i junaczy,
Prędzej zawtórzyłby pijackiem echem,
Podochoceniem szalonem rozpaczy,
Epileptycznem pół, pół histerycznem;
Śmierć się bankietem radowała ślicznym.

O pół do ósmej wyrzucono z nawy
Kosze i belki i wszelkie brzemiona,
By jak najdłużej utrzymać dziurawy
Okręt; czuł każdy, jak nieunikniona
Śmierć dyszy... Z nieba padał blask sinawy;
Okręt, jak trumna trupem obciążona,
Szedł ciężko, potem drgnął, schylił się, zwinął,
Sztabą uderzył wprzód... i zwolna ginął.

Wtedy żegnalny okrzyk w niebio wionął;
Tchórz wrzaskiem buchnął, zęby zaciął śmiały,
Niejeden w morze się rzucał i tonął,
żądając prędzej śmierci — niewytrwały.

Ocean w koło niby piekło zionął,
Okręt wpadł, ciągnąc z sobą morskie wały,
Jak ten, co z wrogiem zaplótłszy ramiona
Wpierw go zadusić pragnie, zanim skona.

Straszne wołanie z piersi się wydarło:
Głośniejsze, niźli głos burzy, co wyła
Jak zwierzę — potem cichło i zamarło...
Już tylko szumiał wiatr i fala biła
O falę; morze jak grób się zaparło;
Dłoń się zeń czasem skurezana dobyła,
Czasem krzyk krótki, zakończon bełkotem
Topielca, co się rozstawał z żywotem.

Łodzie spuszczono — jak rzekłem — na tonie;
W tych łodziach grono żywych się zabrało;
Ale nadzieja gasła w każdym łonie,
Bio wiatr jak przedtem dął, morze szumiało,
A nikt nie wiedział, w której ląd jest stronie;
Za wielu było ich — chociaż tak mało!
Ogółem było wydartych powodzi
Dziewięciu w kutrze, a trzydziestu w łodzi.

Reszta zginęła. Dwieście dusz szkaradnie
Wyszło z ciał a tu żal wynurzyć muszę,
że gdy katolik jaki w morze wpadnie,
To długo czeka, nim ktoś mszę za duszę
żałobną ogniom czyśćca go wykradnie,
Bo nim o statku wieść dojdzie na suszę,
Któż do niepewnych datków ma ochotę?
Zaduszka pono kosztuje trzy złote...

Don Juan prędko do szalupy skoczył,
A chciał ocalić Pedrilla i psisko.
Uczeń nad mistrzem opiekę roztoczył,
A opiekuńcze owe stanowisko
Odwagę tchnęło weń. Pedrillo moczył
Oblicze łzami, widząc, śmierć tak blisko.
Battistę (co się zwał zdrobniale: Tita)
Już powaliła przedtem okowita.

Piotrka chciał także ocalić z przygody,
Lecz i ten, czując groźne położenie
Chwili, upił się, a gdy wszedł na schody,
Upadł i poszedł między morskie cienie
I znalazł nagle grób z wina i wody.
Chciano ocalić go, lecz się na scenie
Już nie pojawił, bo morze szalało,
Zresztą i miejsca w szalupie nie stało.

Charcik, dzielący Juanowe losy,
Którego jeszcze don Jose wychował,
Stał na pokładzie i wył w niebogłosy;
Ze stanu rzeczy trafnie wywnioskował,
(Psy mają czułe i rozumne nosy),
że woda sięgnie niebawem nad pował
Juan posłyszał go, pochwycił, skoczył
Do łodzi, a psa pod siedzenie wtłoczył.

Napełnił także pieniędzmi kieszenie
I obładował niemi smętne ciało
Pedrilla, który wpadłszy w zasępienie,
Bezmyślnie, co się Juanowi zdało,

Czynił; huk morza powiększał w nim drżenie.
Juan przeciwnie miał minę dość śmiałą;
Ufając, że się nim zajmie niebieska
Siła, ocalił ochmistrza i pieska

Noc była czarna. Wiatr skrzydłem łopotał;
Próżno się żagiel to w głębi topieli
To w górze z siłą przeważną szamotał —
Zwinąć go ani rozwinąć nie śmieli.
Nurt się przelewał przez ster i łaskotał.
Podróżni wodą sieczeni skostnieli,
Wnet każdy głowę opuścił bezradną
I biedny kuter powędrował na dno.

Ubyło dziewięć dusz. Drugi się trzymał
Statek; maszt na nim z wiosła był zrobiony,
A żagiel z kołder pysznie się wydymał
Niby na rei sznurkiem utwierdzony.
Ocean huczał, pienił się i zżymał,
Przez burt przewalał, więc strach był niepłonny.
Ludzi im było żal, lecz równie masła
I chleba, których drużyna nie spasła.

Ogniście wstało słońce i czerwono,
Krwawy posłannik wracającej burzy.
Cóż czynić mogli? Płynąć w niezmierzoną
Dal, patrzeć, rychło niebo się rozchmurzy.
Po łyżce rumu z winem rozdzielono
Między tych, którzy głodu znosić dłużej
Nie mogli; reszta zjadła chleb spleśniały,
Z wszystkich zamiast szat łachmany wisiały.

Trzydziestu było w tak ciasnej przestrzeni,
że nikt swobodnie nie mógł użyć ręki,
Jedni zziębnięci, przemokli, skurczeni
Siedzieli — inni, by złagodzić męki,
Nakształt dantejskich pokładli się cieni
Czuwając; febrą dzwoniły im szczęki.
Tak wlokła się łódź, szkielety ciężarne,
Wspólnym ich płaszczem była chmura czarna.

Wiadomo: dłużej żyje, kto spragniony
Jest życia; znają tę prawdę doktorzy.
Pacjent, co nie ma pizyjaciół lub żony,
By go dobili, jeszcze nie najgorzej
Ma się; jeszcze go śmierci wyostrzony
Nóż, ani Parki nożyca nie trwoży.
Strata nadziei życia — życie skraca.
Śmierć wtedy człeka dmuchnięciem wywraca.

Ludzie, mający pono dożywocie,
Potrafią dłużej żyć; — sam Bóg wie, naeo?...
Wierzycielowi na złość! — Temu krocie
Pachną, a oni żyją i nie płacą.
Najgorsi z wszystkich są żydzi; ci w zlocie
Naprzód ukąpią, a potem zatracą.
Jam do pożyczek bywał zawsze chutny,
Tylko mię trapił dzień terminu smutny!

Równie gromada owa w lichej łodzi
żyła ochotą życia i dlatego
Zniosła, co ludzkie pojęcie przechodzi,
Jak skała, kiedy fale ją oblęgą.

Trud się żeglarzom z przeznaczenia rodzi,
A to od czasów korabiu Noego,
Który wiózł ludzi, ród gęsi, krów, owiec
Jak Argo, pierwszy korsarski żaglowiec.

Wszak mięsożerna człowiek jest istota:
Musi jeść, a ma tę wadę nieszczęsną,
że jeść nie może, jak dżdżownica, błota
Ale jak tygrys, haja, strawę mięsna,
Anatomiczny wprawdzie skład żywota
Znosi jarzyny, lecz żołądki kfęsną
Od takiej strawy; człowiek, co pracuje,
Musi jeść mięso i wół mu smakuje.

Tak zrozpaczonej owej ludzkiej traodóe,
Gdy się w dniu trzecim ocean ukoił,
Anioł zaświtał w niebieskiej pogodzie
I rozbliźnione rany serca goił.
Posnęli wszyscy jak żółwie na wodne;
Gdy się ocknęli, głód w żołądkach. broił;
Więc gospodarskiej niepomni nauki
Na żer się chciwie rzucili — jak kroki.

Przewidzieć było łatwo, co się stanie:
Zjedli chleb, resztki wina wysączyli,
Głusi na próby, groźby i łajanie,
Ani się z widmem głodu nie trwożyli
Mieli nadzieję głupią, że wiatr wsfcmie
I pchnie do brzegu. Z nadzieją jest mfej,
Lecz mając wiosłem kawał drewna Łrachy,
Powinni byli zachować okruchy.

Przyszedł dzień czwarty, fala nie podrosła,
Ocean leżał, jak dzieciak uśpiony;
W piątym bo samo; — woda ich nie zniosła
Modra i jasna, jak niebios opony.
Z jedynem wiosłem (gdyby choć dwa wiosła)
Co mogli zdziałać?... Głód wyciągnął szpony;
Więc pieska, chociaż Juan się przeciwił,
Zarżnęli, każdy cząstką się pożywił.

W szóstym brać głodna skóry się chwyciła..
Juan się wzbraniał jeść z tego powodu,
że pieszczona psinka ojca była,
Lecz czując w sobie straszne sępy głodu,
Z żalem i wstrętem — ta myśl go dławiła —
Przyjął łaskawie daną mu od przodu
Łopatkę z łapką; Pedrillo poglądał
żałośnie; zjadł pół, a jeszcze pożądał.

Przeszedł dzień siódmy bez wiatru; żar z nieba
Tryskał; jak ścierwo łódź na wodzie legła,
W łodzi szkielety... Im było potrzeba
Wiatru, a wiatr spał. Do białek im zbiegła
Krew i spojrzeli na się. . . chcieli chleba,
Jeść chcieli; głodem w oczach się zażegła
Kannibalowa chuć... Patrzą i milczą,
A szczęki im się wydłużają wilczo.

Wreszcie jeden coś szepnął do sąsiada,
Ten szepnął drugim, a ten innym jeszcze
I trwała jakaś tajemna narada,
Jakieś szemrania syczące, złowieszcze.

I pojął każdy, że myśl jedna włada
Wszystkimi, chutne wywołując dreszcze;
A była to myśl, że losować trzeba
I ludzkim ciałem zastąpić brak chleba.

Ale. nim doszło do tego, spożyli
Resztki skórzanych czapek i kamaszy;
Długo się wzrokiem rozpacznym mierzyli.
Nikt bowiem stać się materjałem paszy
Nie chciał; — nakioniec losy porobili,
Ale z substancji, co Muzę przestraszy,
Bo gdy nie mieli nazwisk spisać na czem,
Juan list Julji rnusiał oddać — z płaczem.

Losy spisano, zmieszano, rzucono,
A nawet harpja głodu, co ich ciała
żarla, jako sęp, kaleczący łono
Prometejowe, przycichła, struchlała.
Nie namyślano się tam, nie radzono;
Natura sama do strasznego gnała
Postanowienia — a fortuna sroga
Pierwszego wzięła sobie — pedagoga.

Prosił, aby mu otworzono żyły.
Cyrulik użył dzielnie swoich noży,
I na Pedrila padł sen taki miły,
że nie czuł, jak wszedł do rajskich przestworzy.
Umarł tak, jak żył — dobry do mogiły
Katolik, człowiek świętobliwy, boży,
Ucałowawszy Chrystusową mękę,
Spokojnie dał pod nóż gardło i rękę.

Pierwszym kawałkiem miał być opłacony
Cyrulik; lecz że pieczeń była zbita
I zbita, a on ogromnie spragniony,
Napił się ciepłej krwi, której obfita
Struga płynęła. Trup obmyto w słonej
Wodzie, do morza rzucono jelita
Na ucztę dla haj, co w trop jak grabarze
Płynęły; resztę pożarli żeglarze.

Czterej majtkowie odmówili strawy,
Nieżądni najmniej ludzkiego mięsiwa.
Juan, eo patrzał na skon pieska łzawy,
Nie chciał jeść także. Rzecz nader godziwa,
Iż wstręt w nim budził ten posiłek krwawy..
Pamięć Pedrilla jeszcze w nim zbyt żywa
I nad uczucie głodu była czystsza,
Nie tknął więc swego pasterza i mistrza.

Lepiej, że nie jadł, bo ci, co zasiedli
Do uczty, skutków wnet smutnych doznali:
Którzy najwięcej i na j chciwiej jedli,
Wpadli w szaleństwo, Boga przeklinali,
Pianę toczyli z ust, w konwulsjach bledli
I słoną wodę jak smocy żłópali.
Zgrzytali, wyli, włosy darli w szale
I umierali z śmiechem jak szakale.

Liczba nędzarzy schudła z tego względu,
Reszta też schudła, jak gromada duchów.
Jedni nagłego dostali obłędu
I ci szczęśliwsi byli od swych druhów,

Inni krwawego żądali obrzędu
Raz jeszcze, choć im z konwulsyjnych ruchów
Ginącej rzeszy śmierć < przestrogę słała,
By się ludzkiego nie chwytali ciała.

Nazajutrz paść miał chłopiec okrętowy,
Najtłustszy — lecz się wymknął z pod tasaka
Nie przeto, iż miał chęć nie zbywać głowy:
Rzecz ocaliła inna nieboraka.
Oto: już zdawna był niebardzo zdrowy,
Czego przyczyna znowu była taka:
Kiedy w Kadyksie bawił, przez trafunek
Od dam składkowy dostał podarunek.

Z Pedrilla rączka została i udko,
Jedni nie jedli, by nie szkodzić zdrowiu,
Drudzy oszczędni, wiedząc, że na krótko
Wystarczą, resztki zgryzali tułowiu.
Juan sam trzeźwy panował nad łódką
Ssąc tylko kąski trzciny lub ołowiu,
Wreszcie złapano dwie jaskółki wodne
I trup rzucono między ryby głodne.

Kogo Pedrilla los nabawia dreszczy,
Patrzaj: Ugolin wroga w wiecznej wojnie
Dławi, czaszka mu krwawa w zębach trzeszczy,
A zaraz powieść swą kończy spokojnie.
Gdy w piekle wroga gryźć kazał duch wieszczy,
Toć spożyć druha — nie jest nieprzystojnie
Na morzu; gdy kto pięć dni z rzędu pości.
Wolno mu mieć mniej, niźli Dant Mitości.

Tej niocy upadł deszcz rzęsisty z nieba;
Usta otwarły się, jak popękana
Ziemia; człowieka dopiero potrzeba
Uczy, że skarbem jest woda źródlana.
Jeśliś w gorących był krainach Feba,
Na oceanie lub gdzie karawana
Do wody z piersi przepalonych wzdycha,
Chciałyś gdzie Prawda być — na dnie kielicha.

Deszcz nie napoił choć padał do ranka.
Aż się płócienną posłużyli szmatą,
W którą kapała woda, jak do dzbanka.
Gdy była pełna, rzucili się na to
Naczynie chciwie — a choć piwa szklanka
Lepszą byłaby biedakom objatą,
Jednak się ozwał głos powszechnej zgody,
Smaczniejszej nigdy że nie pili wody.

Wargi' spalone i gorączką zżarte
Ssały te męty, jak krople nektaru;
Języki czarne a gardła rozwarte,
Jak u bogacza, co śród piekieł żaru
żebrze, aby mu Łazarz przez zaparte
Niebo upuścił niebieskiego daru
Bodaj kropelkę; jest ta prawda stara,
że czasem chrześcijan konserwuje wiara.

Dwóch ojców było w tern gronie nędzarzy,
A mieli synów dwóch; jeden jak róża
Rumiany, silny i czerstwy na twarzy
Wcześniej żyć przestał. Gdy do śmierci łoża

Przyciągnął ojca jeden z marynarzy,
Ten spojrzał i rzekł: “Dziej się wola boża,
Nie moja wola!” — i źrenicą szklaną
Patrzał, jak dziecko do morza wrzucano.

Drugi dziecinę miał wątłą, słabiuchną,
O miękkiem liczku, delikatnem ciele.
Ten chłopczyk dłużej żył, choć był jak próchno,
Tkwiła w nim dusza cicha, jak w aniele.
Nie mówił, lecz się uśmiechał miluchno,
Jak gdyby sercu ojca chciał wesele
Wrócić i ulżyć brzemieniu boleści,
Choć czuł, że go już dłużej nie popieści.

Nad twarzą syna zwisła twarz rodzica;
Ojciec już nie wstał, ale z ustek pianę
Bladych ocierał, zapatrzony w lica
Dziecka. Gdy spadły krople pożądane
I szklanym blaskiem raz jeszcze źrenica
Błysła i zdała się poznawać znane
Oblicze — ojciec mu wargi rozszerzył,
Wlał trochę wody — próżno! — chłopiec nie żył.

Skostniałe wziął ciało ojciec nieszczęśliwy
I patrzał długo, długo, aż zrozumiał,
że to śmierć trup mu rzuciła nieżywy
Na piersi; wtedy jak dziecko się zdumiał,
Patrzał uparcie, aż nielitościwy
Ocean trupa w sobie skrył, zaszumiał;
A on padł z duszą martwą; tylko ciało
W konwulsjach życiem ledwie znacznem drgało.

W tej chwili tęcza wybiegła na chmury,
Z obu stron warkocz świetlny w morzu tonął
Nad falujące rozpięte lazury.
A wewnątrz luku blask jaśniejszy płonął
Niż wewnątrz. Jasność pomknęła do góry
Jak sztandar, ale barwy zwolna chłonął
Eter — tęcza się zgięła, potem zbladła,
Roztopiła się we mgle i przepadła.

Zniknął niebieski kameleon, dziecię
Powietrza i mgły i słońca, zrodzone
W ogniu, w rubinów kołysane kwiecie,
Spowite w obłok, płyn nem złotem chrzczone,
Niby półksiężyc, lśniący na meczecie,
Lub pryzmat, co ma barwy utajone
W jednej, — (lub sine na twarzy obrazki
U osób, co się boksują bez maski).

Rozbitkom był to znak bożej opieki...
Wiara — jak wiecie człowieka uzdrawia,
Wierzyli w “omen” Rzymianie i Greki,
Desperatowi “omen” ulgę sprawia.
Toż, gdy czekając pomocy dalekiej,
Spostrzegli ogon niebieskiego pawia,
Wróżyli sobie jakby z horoskopu
Szczęśliwy koniec i wyjście z zatopu.

Ptaszyna nader piękna, śnieżno-biała
Z płetwami u nóg, z wejrzenia jakoby
Gołąbka — (pewno w drodze się zbłąkała) —
Polatywała tejże samej doby

Nad łodzią, pragnąc sieść a choć widziała
Podejrzanego oblicza osoby
W łodzi, krążyła, obserwując z góry,
Póki dnia — był to dobry “omen” wtóry.

A muszą tu być w spostrzeżeniu szparki:
Szczęście to ptaszka, że nie siadł na maszcie,
Bowiem na kruchym drągu naszej barki
Mniej miał bezpieczną grzędę, niż na baszcie.
Gdyby był nawet z Noegi arki
Powracający z oliwką, to zważcie:
Nie zjadł byż człowiek, który sześć dni pości,
Oliwki, mięsa z ptaszyny, ba!... kości?

O zmierzchu zadął wiatr, lecz już nie szalał,
Gwiazdy się w chmurnem niebie roziskrzyły,
Łódź gnała, ale w rozbitkach duch malał,
Bo w kraj nieznany losy ich pędziły.
W dali szmat ciemny — jak ląd — niebo walał.
Jakieś ławice mgieł oko maniły,
Ktoś słyszał huk fal, a inny moździerzy,
O tym ostatnim — to wątpić należy.

Wstał świt; wiatr powiał ciszej, pieszczotliwiej;
Wtem krzyknął majtek, stojący na straży:
Patrzajcie, ląd, ląd! Jeśli wzrok mię myli;
Niech się tak dusza moja w piekle smaży.
Przetarli oczy, i dziw!... zobaczyli
Zatokę; — szał ogarnął marynarzy:
Istotnie był to ląd, zdała widzialny,
W oczach rosnący, prawie dotykalny.

Płaczem buchnęła wielkim część załogi.
U reszty były oczy mdłe i mętne,
Nie odróżniali radości ód trwogi,
Tak się im stało wszystko obojętne.
Pacierzem kusił ktoś wzgardzone bogi...
Trzech spało, twarze mieli bólem wstrętne,
Głową się. ciężką o dno łódki wsparli,
Chciano ich zbudzić, wstrząsano... — umarli.

Jeszcze przed tym dniem znaleźli na fali
śpiącego żółwia. Zwierz był bardzo duży,
Więc podpłynęli cicho i złapali
I mieli mięsny znów pokarm na dłużej,
A co ważniejsza, ducha shartowali
I uczynili twardszym do podróży,-
Bo ze zdarzenia tego się wysnuwał
Wniosek, że Dobry Ktoś nad nimi czuwał.

Ląd był istotnie, co teraz wyraźniej
Czarną, skalistą postać ku nim zwrócił,
Prąd łódkę znosił i płynęli raźniej.
Fakt tylko jeden przestraszał i smucił:
Ogromnej była powodem bo jaźni
Niepewność, dokąd ich ocean rzucił....
Mówiono: Kreta, Rodus; sternik z szyprem
Bardo stanowczo obstawał za Cyprem.

Tymczasem prądem silnym łódź niesiona
Do upragnionej zmierzała przystani,
Niby z blademi duchy łódź Charona.
Już tylko czterech ludzi było na niej,

Oraz trzy trupy, których osłabiona
Ręka nie mogła zepchnąć do otchłani.
Dwie haje, z łódką pędzącą w zawody,
Przypominały się, pryskając z wody.

Upał i zimno, rozpacz, niedostatki
W ich się wyglądzie nędznym odbijały;
Synówby własne nie poznały matki
W owej szkieletów rzeszy wynędzniałej.
W nocy chłód, we dnie żar, ubiór na szmatki
Zdarty, więc nie dziw, że z gromady całej
Zostało czterech; tamci własną winą
Legli, Pedrilla spłókując morszczyzną.

I ukazało się pofalowane
Wybrzeże, wszystkie zachwycając zmysły,
Wonie, nad lasów szczytem rozedrgane,
Płynęły mgłami, w powietrzu zawisły
I ochraniały im źrenice szklane
Przed płomieniami, co od fal odprysły.
Wszystko tam było lube, jasne, hoże,
Wstecz się cofało groźne, czarne morze.

Ląd był zarosły, bezludny; dokoła
Ryczały fale; lecz ich opanował
Taki szał, tak ich ląd nęcił, że zgoła
Zważać nie chcieli, że śmierć im gotował.
Tam, kędy groźne raf sterczały czoła,
Ocean pienił się, burzył, kotłował;
Oni nie dbając, że na skały wpadną,
Pchnęli się — pękła łódź i poszła na dno.

Jerzy Gordon Lord Byron, (1788—1824).
(Przekład Edwarda Porębowicza)

12.

Sprzeczka Sanszo Pąnsy z siostrzenicą i ochmistrzynią Don Kiszota

Sanszo Pansa łomotał z całych sił we drzwi i koniecznie chciał wejść do domu, ażeby się widzieć z panem, a siostrzenica z ochmistrzynią ze wszystkich sił opierały się temu, wołając na niego:

— Precz stąd! czego tu chcesz, ty darmozjadzie? Wynoś się zaraz do domu, nie masz tu co robić! To ty, niegodzijaszu, zawracasz tak głowę panu i wyciągasz go z domu, ażeby się tłukł po świecie, jak mara po piekle.

— A, babo przeklęta! — wrzeszczał Sanszo •— mnie to łeb zawrócili, mnie z domu wyciągnęli tłuc się po świecie, obiecując mi gruszki na wierzbie; to twój pan tak umie wodzić, kat wie gdzie, szukać czego nie zgubił, a przyrzeka złote góry i łudzi, że mi daruje jakąś wyspę, co się jeszcze na świat nie urodziła..

— A! żebyś ty pękł ze swojemi wyspami, ty łotrze wierutny — na to mu gospodyni — cóż to ty chcesz za wyspę? czy to jaki kąsek, myślisz, do pożarcia, ty niedopch^ny worze! ty żarłoku bestjalski.

— To nie do jedzenia — odezwie się Szanszo — ciemna istoto! to, widzisz, wyspy do rządzenia,

a to więcej warte, niż cztery miasta i cały nasz, powiat, rozumiesz ?

— A niech tam sobie będzie, co chce, ciemięgo — odkrzyknie — a ty tu łotrze, nie wejdziesz; pójdź-że sobie zaraz precz i ruszaj rządzić u siebie w domu, niezdaro, patrzeć roli, nie nabijać sobie próżno łba temi wyspami djabelskiemi.

Ale Don Kiszot zakłopotał się, ażeby Sanszo na kieł nie wziął i w gniewie nie rozgadał w okolicy, jakie go przygody na wyprawie prześladowały, coby mu mogło wielki despekt przynieść; uciszył więc prędko gospodynię z siostrzenicą, a Sansza wpuścić kazał.

Don Kiszot z Sanszą zamknęli się, a widząc, że są sami, Don Kiszot zaczął:

— Wiesz co, Sanszo, kaducznie mi dopiekłeś tern twójera gadaniem, że ja cię z domu wyciągnąłem! I po co to takie bajdy? alboż nie wyjechaliśmy obaj razem, przecieżem ja w domu nie został? Wyruszyliśmy razem, jednemi drogami chodziliśmy obaj i wspólnie dzieliliśmy dolę naszą, a że tobe się raz oberwało, czyżem ja nie był zbity sto razy więcej od ciebie? ot, tyle i mego zysku!

— Boć się też więcej i należało wielmożnemu panu, niż mnie, pokornemu słudze — naiwnie odpowie Sanszo — kiedy już taki ma być los błędnych rycerzy, ażeby złe się sypało na nich, a nie na ich giermków.

— Bajesz, sam nie wiesz co— obruszy się Don Kiszot — wcale inaczej rzecz się ma, a naj-

lepiej o tern przekonywa stare przysłowie: "kiedy głowa choruje, to całe ciało boleje i czuje. A że, jako pan, jestem głową całego ciała, którego ty część stanowisz, jako sługa, więc kiedy mnie co złego spotka, to i tobie musi się dać we znaki, tak samo znów, jak kiedy ty oberwiesz, to i ja uczuć muszę. Rzecz prosta i jasna. A teraz, mój Sanszo kochany, powiedz mi też, tylko szczerze, co o mnie gadają w okolicy? co o mnie mówią kmiecie? jak o mnie sądzi szlachta? jak rycerstwo? Co mówią o odwadze, o czynach moich i uprzejmości? i co myślą o moim zamiarze przywrócenia do dawnej świetności zaginionego już prawie błędnego rycerstwa? Słowem, bez żadnego pochlebstwa i ogródki powiedz mi wszystko, coś tylko o tem zasłyszał, nie dodawaj, ani ujmuj, bo to jest obowiązek wiernego sługi donosić panu wszystko bez żadnego pochlebstwa i oszczędzania, co tylko o nim słyszy. I wiedzieć ci należy, mój Sanszo, że gdyby monarchowie od sług swoich całą prawdę słyszeć mogli, gdyby oni rzetelnie i sumiennie, bez przymieszki własnego interesu i innych względów, rzeczy im przedstawiali, to wszędzie błoga panowałaby spokojność, sprawiedliwość i zamożność.

— Najprzód, wielmożny panie, trzeba wam powiedzieć, że wszyscy mają was za wielkiego głupca i mnie także nie za mądrego. Szlachta powiada, że zadziercie nosa nad nią, i dlatego przyczepiliście sobie Don od frontu nazwiska i że wy-

sforowaliście się na rycerza na dwóch włókach roli, a łachmany wiszą wam z przodu i z tyłu zamiast sztandaru, i powiadają, że jesteście stąd odęty, choć zimno w pięty, a chłodno i głodno. Panowie znów, czy tam rycerstwo, jak zwał, tak zwał, byle swoje miał, nie lubią, ażeby się szlachta z niemi bratała, a zwłaszcza też zagonowa, co za zającem ugania się sama z charty, a kubrak ma wydarty, buty sobie w kominie szwarcuje sadzami, a białe pończochy zielonemi zszywa niciami.

— Co ty tam prawisz, baju — wtrącił Don Kiszot — przecież to się mnie nie tyczy, ja chodzę zawsze dobrze odziany, łat na mnie nikt nie widział, a jeżeli się dziura na sukni czasem zdarzy, to od zbroi, nie od starości.

— O odwadze wielmożnego pana, o czynach, i zamysłach jego, to ludzie znów różnie gadają, jak którzy — mówił dalej Sanszo. — Jedni powiadają: o! to głupiec, ale zabawny! drudzy znów: mężne ma serce, ale nie ma szczęścia; inni znów: grzeczny jest i uprzejmy, ale warjat; inni znów... ale ktoby ich tam spamiętał, na wołowej skórze tego nie spisać, Bóg wie czego już tam nie gadają i o wielmożnym panu i o mnie, że to już nie moja głowa, ażeby to wszystko tak powtórzyć.

— Widzisz, Sanszo mój kochany — rzecze Don Kiszot — zawsze to tak na świecie, że im kto większemi jaśnieje cnotami, tem dokuczliwiej szarpią i szkalują złośliwe języki, żaden z ludzi wielkich nie uszedł pocisków pot warzy. Juljusz-

wi Cezarowi, co był tak wielkim .człowiekiem i wodzem, musiano przecież przypiąć łatkę i znaleźli się tacy, co mu zarzucali skażone, miękkie obyczaje, zbytnią w stroju fanfaronadę, i panoszenie się nad innych. Na Aleksandra, którego czyny głośne na wieki zjednały mu przydomek Wielkiego, wygadywali, że lubił pałkę zalewać. Herkulesa, tak znakomitego bohatera, co owych dwunastu dzieł kolosalnych dokonał, oczernili, że się z kobietkami za bardzo zadawał. Na Galaora, brata Amadysa, wynaleźli, że był zadzierny i ze wszystkimi szukał zwady, a na wykwintnego Amadysa szkalowali, że był beksą. Widzisz więc, Sanszo mój kochany, kiedy tacy mężowie nie mogli ujść żądła ludzkiej zawiści, to cóż ja mam zważać, co na mnie gadają, Bóg łaskaw jeszcze, że nic gorszego nie wymyślili.

— Ale ba — na to mu Sanszo — ażeby to tyle tylko gadali, ale licha tam!

— Co? to jeszcze więcej co gadają — skwapliwie zapytał wychudły szlachcic.

— A jużciż, że gadają i co jeszcze, aż włosy na głowie stają, ja tylko tak z wierzchu same słodycze waszej wielmożności opowiedziałem, ale to tam są jeszcze straszne piołuny, bo ktoś tam napisał już całą historję o przedziwnym szlachcicu Don Kiszocie z Manszy.

Cervantes (1547.-1616)
(Przekład Walentego Zakrzewskiego)

13.

O Bernardzie Shaw

Cała różnica pomiędzy mówcą a jakimkolwiek innym artystą, poetą czy rzeźbiarzem, leży wtem, że rzeźbiarz chce nas przekonać, iż jest rzeźbiarzem, gdy cele mówcy zmierzają do tego, by wmówić w nas, iż niema on nic wspólnego z retoryką. Bernard Shaw dla wszystkich swych przeciwników, a obawiam się, może i dla zwolenników jest humorystą, linoskoczkiem, wspaniałym akrobatą i transformistą. Wszyscy pomawiają go o to, że na chybił trafił broni on wszystkiego i na wszystko napada, tylko dlatego, by zadziwić i zabawić. Jest to nietylko niesłusznem, ale wprost jaskrawem kłamstwem. Główną siła i główną zasługą Bernarda Shawa jest jego żelazna konsekwencja. Daleki jest od tego, by siłę swą ujawniać w koziołkach i sztukach akrobatycznych, przeciwnie, używa jej tylko na to, by dzień i noc bronić swego zamczyska i stanowisko shawowskie zajmować we wszystkich sprawach, szybko i wyraźnie. Jego miara jest zawsze taka sama. Czego głupkowaci wywrotowcy i głupkowaci konserwatyści w Shawie tak nienawidzą, to tego, że posługuje się on rzetelną miarą i rzetelnem prawem.

Można zwalczać jego zasady, jak ja to czynię, ale nie znam wypadku, w którym możnaby zwal-

czać ich zastosowanie. Jeśli bezrząd jest mu antypatycznym, to jest mu on nie w smak u socjalisty i u indywidualisty. Jeśli nie znosi on przesadnego patrjotyzmu, to nie znosi go tak samo u Bura, jak u Irlandczyka i Anglika. Gdy nienawidzi ślubów i więzów małżeństwa, to jeszcze bardziej nienawistnemi są mu dzikie śluby i ordynarne więzy wolnej miłości. Gdy podrwi sobie z autorytetu księży, to jeszcze głośniej wyśmieje się z uczonych i ich roli. A kiedy godzi w nieodpowiedzialność wiary, to zdrowym swym rozsądkom godzi i w nieodpowiedzialność sztuki.

Cała cyganerja nie posiadała się z radości, gdy wystąpił z twierdzeniem, że kobiety równe są mężczyznom, ale wszystko trzęsło się ze złości, gdy powiedział, że mężczyźni równi są kobietom. Jego zmysł sprawiedliwości jest prawie mechaniczny; ma on w sobie coś z okropnych właściwości maszyny.

Ale żywe zajęcie, jakie w ostatnich latach wzbudził Bernard Shaw, ma swe źródło w nagłej jego miłości do religji nadczłowieka. On, który wyśmiewał każdą wiarę, odkrył nagle nowego boga w nieprawdopodobnie dalekiej przyszłości. On, który odrzucał wszystkie ideały, wywiesił chorągiew nowego ideału: człowieka idealnego. Ale kto poznał budowę duchową Shawa, a poznał ją dokładnie, ten przyznać musi, że było to dawno do przewidzenia. Bo właściwie Shaw nigdy nie wi-

dział świata takim, jakim jest; gdyby tak było, musiałby paść przed nim na kolana. Od dawien dawna przyświecał mu ideał, który psuł mu obraz wszystkich rzeczy tego świata.

Jest on prawie że jedynym wyjątkiem z tej reguły, według której wielcy ludzie znajdują radość w małych rzeczach. I z tego braku prostoty i pokory wywodzi się dufność w nadczłowieka. Gdy bowiem przez lata całe chłostał ludzi za to, że nie są postępowi, odkrył w końcu, kierując się właściwym mu dowcipem, że wielkie to pytanie, czy dwunogie stworzenie ludzkie jest wogóle zdolne do postępu.

Większa część ludzi zadowolonych, która natknęłaby się na to odkrycie, dałaby pokój “postępowi,” by pozostać przy ludzkości. Ale Shaw, niezadowolony, postanowił plunąć na ludzkość wraz z całem jej ograniczeniem, by dochodzić postępu samego w sobie. Gdy więc człowiek nie jest zdolny do przejęcia się filozofją postępu, ale nowego rodzaju ludzi. Całkiem tak, jakgdyby mamka, która przez dłuższy czas dawała dziecku nieco gorzkie pożywienie, zauważyła nagle, że mu to nie smakuje i miast porzucić pożywienie i poszukać odpowiedniejszego, dziecko wyrzuciła przez okno i domagała się nowego wychowanka. Shaw nie chce zrozumieć, że ten właśnie żłopiący piwo, zakładający religje, walczący, ulegający, zmysłowy i szacowny człowiek jest tym, który jest drogi i miły naszym oczom. I co dlań wymyślono i

co z niego wyrosło, jest wieczystej trwałości; co jednak opiera się, na tym wyśnionym nadczłowieku, to przejdzie wraz z obumierającą cywilizacją, która jedynie dała mu życie.

G. K. Chesterton, (1873).
(Tłum. W. Horzyca)

14.

Dzikie Łabędzie

Całą noc burza szalała, podniecając ognisko mojej boleści.

O świcie usiadłem w altanie, gdzie oczekiwałem niegdyś swej ukochanej.

Deszcz padał jeszcze. Rzeka unosiła pnie drzew. Wycieńczone w walce z wichurą piwonje ogrodu nie mogły się podnieść. -

Dwa dzikie łabędzie przyszły wygładzić swe pióra pod altaną. Roniłem na nie swe łzy, by je zaniosły do mej ukochanej.

Fletnia Chińska,
Poetka Li Yi-Han. (806-832 po Chr.).
(Przełożył Leopold Staff)

15.

Narcyzy

Narcyzy zwiędłe płynące po rzece, jeśli ujrzycie w Tien-wan młodą dziewczynę, marzącą pod cynamonem, który zakwitł dwukrotnie od czasu

naszego pierwszego pocałunku, powiedzcie jej, że wdycham woń gwoździka, by. przypomnieć sobie jej zapach.

Wan Its' Ou, (1308—1382 po Chr.).
(Przełożył Leopold Staff)

16.

Wiosna

Wiatr rzuca mi do pokoju kwiecie brzoskwini, podobne różowym motylom, upojonym nadmiarem słodyczy.

Myśli me jak te kwiaty, ciężkie smutkiem, zaścielają papier, na którym chciałem pisać wiersze na chwałę wiosny.

Wdycham bez radości woń śliw. Przybądź, o słodka nocy, słodka przyjaciółko i niech męka ma zaśnie w twych lekkich ramionach.

Fletnia Chińska.
Chu-Jo Su, (1408—1459).
(Przełożył LeopoJd Staff)

17.

Skradziony Biały Słoń

Mniej więcej pięć lat temu przyszło do zatargu granicznego między Wielką Brytan ją, a królestwem Sjamskiem. Okazało się, że królestwo Sjam nie miało słuszności, załatwiono więc spra-

wę na korzyść Anglji, a jej dyplomatyczny zastępca oświadczył, że jest zadowolony i wszystko powinno pójść w zapomnienie. Niemniej ucieszyło załatwienie sprawy króla sjamskiego. Chcąc niejako wyrazić swą wdzięczność, a z drugiej strony zatrzeć ślady nieporozumienia, postanowił przesłać królowej angielskiej jakiś podarek, według pojęć wschodnich najpewniejszy środek na przeproszenie zagniewanego. Podarek ten miał być oczywiście, prawdziwie królewskim. Cóż można było nań bardziej godnego przeznaczyć, jak białego słonia ?

Miałem wówczas w cywilnej służbie stanowisko, które specjalnie nadawało się do poruczenia mi misji odwiezienia słonia jej królewskiej mości.

Przygotowano więc dla mnie i dla służby białego słonia, specjalny okręt i wnet stanęliśmy w New Yorku, gdzie, oczywiście, zatrzymaliśmy się dłużej. Zdrowie zwierzęcia wymagało bowiem dłuższego spoczynku przed dalszą podróżą. Kilka dni przeszło zupełnie dobrze i spokojnie, potem zaczęły się sypać nieszczęścia jak z roga obfitości.

Pierwszem była wiadomość, że... słonia skradziono! Zbudzono mnie w nocy i zakomunikowano smutną nowinę. Przez kilka chwil nie mógłem z przerażenia przyjść do siebie. Stałem bezradny. Potem uspokoiłem się i zebrałem myśli. Trzeba było działać i to zaraz. Na szczęście znalazłem jakiegoś policjanta, który mnie zaprowadził do głównej kwatery korpusu detektywów; przybyłem jeszcze na czas. Szef oddziału, słynny inspek-

tor Blunt, wybierał się bowiem do domu. Był to człowiek średniego wzrostu. Miał zwyczaj ściągać brwi i kłaść palce na czoło, gdy nad czemś się zastanawiał. Patrząc na niego, można było być pewnym, że ma się doczynienia z niezwykłym człowiekiem. Spojrzenie jego budziło we mnie zaufanie i napawało mnie nadzieją. — Opowiedziałem mu moje nieszczęście.

Prosił mnie, bym usiadł, a potem rzekł: "Pozwoli pan, że się trochę nad tem zastanowię."

Potem przemówił głosem przytłumionym, ale dobitnym:

— Wypadek ten nie należy do zwykłych. Każdy krok musi być starannie obmyślony i wykonany pewnie, zanim drugi będzie można zrobić. Przedewszystkiem musi być przechowana najgłębsza tajemnica. ' Niech pan z nikim o tej sprawie nie mówi, nawet z reporterami; z nimi już ja się rozmówię. Oni mogą się dowiedzieć tylko takich rzeczy które ja uznam za właściwe i potrzebne.

— A teraz proszę opisać mi słonia. Niech pan tylko nie zapomina o żadnej plamce, o żadnym znaczku. Dla ludzi mego zajęcia żadna rzecz nie jest drobnostką — my nie znamy dorobnostek.

Opisywałem dokładnie, a on pisał. Gdy ukończył rzekł: Teraz odczytam. Jeśli gdzie zbłądziłem, proszę mnie poprawić. W opisie nie było błędu.

— Dotąd wszystko w porządku. Potrzebuję tylko fotografji przedmiotu.

Dałem mu jedną. Obejrzał ją okiem znawcy i rzeki:

— Musi wystarczyć, bo innej nie mamy. Na fotografii ma trąbę wyciągniętą — a to może być powodem nieporozumień. Zwykle pewnie tego nie robi.

Zadzwonił.

_ — Alaryk! "Proszę kazać rano 50 tysięcy kopji tej fotografji odbić i proszę rozesłać razem z opisem."

Alaryk odszedł, aby wykonać rozkazy. Inspektor zauważył: Naturalnie, musi być dla znalazcy wyznaczona jakaś nagroda. Ile pan wyznaczy?

— -Ile pan uważa za stosowne?

— Na początek przeznaczamy 25 tysięcy dolarów. — Jest to sprawa ciężka i zawikłana. W mieście mamy tysiące ulic, które ułatwiają ucieczkę. A złodzieje mają wszędzie przyjaciół i kryjówki.

Następnego dnia zdarzenie ze słoniem było drobiazgowo opisane we wszystkich gazetach. Nie obeszło się naturalnie, bez dodatków i przypuszczeń, jakie snuli reporterzy według "teorji" agenta X lub Y. Domyślano się sposobu kradzieży, złodzieja i miejsca, gdzie uciekł ze swoją zdobyczą. Ni mniej ni więcej tylko jedenaście teoryj pojawiło się owego dnia, a według wszystkich przypuszczano różne możliwości.

Rezultatów jednak tego dnia nie było.

Tak samo i następnego dnia. Trzeci dzień również nic nie przyniósł.

Wzmianki dziennikarskie stawały się coraz bardziej nudnemi, podawały bowiem fakty bez wartości, rzekome ślady i tropy, które do niczego nie doprowadziły. Z porady inspektora podwoiłem wysokość wynagrodzenia.

W dwa tygodnie po zniknięciu słonia, podwyższyłem, za radą inspektora, nagrodę- do wysokości 75 tysięcy dolarów. Była to pokaźna suma, ale z przyjemnością byłbym poświęcił cały majątek, byle nie tracić zaufania rządu. Wnet zaczęły się ukazywać po dziennikach sarkastyczne uwagi pod adresem detektywów. To dało powód różnym przedsiębiorcom bud z panoramami i teatrzykami do poprzebierania ludzi w suknie agentów i przedstawiania w trywialny sposób pogoni tychże za słoniem. Karykaturzyści porobili rysunki, przedstawiające detektywów z lornetami w ręku, podczas gdy słoń stał za nimi i kradł im jabłka z kieszeni.

W trzy tygodnie po zniknięciu słonia zauważyłem, że trzeba podnieść flagę i opuścić miejscowość. Nagle jednak wpadła inspektorowi genjalna myśl do głowy. Może to kompromis agentów ze złodziejami.

O czemś podobnem nie pomyślał dotąd nikt. On jeden! Otwarcie wyznał mi, że za 100 tysięcy dolarów mogę tą drogą znów przyjść w posiada-, nie słonia. Odpowiedziałem mu, że ostatecznie i na tę ofiarę się zdobędę, ale cóż się stanie z de-

tektywami, którzy się tak dzielnie zabrali do dzieła. Odpowiedział: “W takich wypadkach dostają połowę.”

Następnej nocy o jedenastej godzinie wręczyłem szefowi 100 tysięcy w banknotach, a w kilka chwil potem wyszedł z dziwnym promieniem radości w oku. Minęła godzina, która dla mnie była wiekiem — nareszcie posłyszałem jego kroki, podniosłem się z krzesła i wybiegłem naprzeciw. W oczach jego widziałem triumfalne błyski!

Rzekł do mnie: “Zwyciężyliśmy! Te gazeciarskie gryzipiórki będą jutro inaczej gwizdały. Proszę za mną.!”

Wziął zapaloną świecę i sprowadził mnie na dół do jakiejś cuchnącej nory, gdzie zwykle spało 60-ciu agentów, a gdzie obecnie kilku zabawiało się grą w karty. Szedłem za nim w pewnem oddaleniu. Pocichu podszedł do ciemnego kąta, zdawało mi się, że już zemdleję, gdy nagle usłyszałem, że inspektor potknął się o coś, upadł i zawołał: “Szlachetny nasz zawód odniósł zwycięstwo! Tu jest pański słoń!”

Mój słoń był nieżywy, straciłem, rzecz prosta, stanowisko, bo stratę przypisze rząd tylko mej niedbałości. Na inspektora spoglądano z zachwytem, jakby te setki ócz chciały powiedzieć: — Przypatrzcie mu się — król w swoim zawodzie. Dajcie mu tylko szczegół, a znajdzie wszystko nawet najbardziej ukryte rzeczy.

Clemens inaczej Mark Twain, (1835—1910).
Tłumacz nieznany,

18.

Sonet 7.

O wy, którzy po drogach Miłości chodzicie,
Patrzcie w me życie,
Zali jest boleść podobna do mej boleści;
I skłońcie ucha, a sami przejrzycie
Z mojej powieści,
żem jest stolicą cierpienia, co mną się pieści.

Miłość, przez swojej szlachetnej woli użycie,
Tak mi obficie
Bez mej zasługi dała słodyczy i części,
żem często poza sobą słyszał, jak mówicie:
W jakim okwicie
Serce tego człowieka, ile szczęścia mieści.

Ale oto dziś stracone te lube porywy,
Jakie obudzał we mnie skarb umiłowany;
Jestem tak zrujnowany,
że mówić o tern lęk mię dociska tęskliwy.
A jak ci, co ze wstydu kry ją swoje rany,
Tak ja czynię, dla świata wesół, bez troskliwy,
Złudne to są okrywy —
Bo w sercu ból i ucisk i łez roztruchany.

Dante Alighieri, (1265—1321)
(Tłum. Artur Górski)

19.

. Sonet 21.

Ma luba pani miłość w oczach niesie,
Wszystko piękniejsze na co wzrok swój skłoni;
Gdy przejdzie, wszystko obraca się do niej,
Kiedy pozdrowi, serce za nią rwie się.

Gdy spuści oczy — to świat z żalu kona
I nabrak słońca narzekając wzdycha —
Pierzchają przed nią zawziętość i pycha —
Niechaj że będzie godnie wysławiona.
Myśl bez goryczy, myśl bez cienia grzechu
Rodzi się w sercu od jej słodkiej mowy,
Kto ją raz ujrzał, już jest wniebowzięty.

A w co się cała we własnym uśmiechu
Przemienia: — trudno wypowiedzieć słowy —
Taki w tem dziwny czar i jiiepojęty.

Dante Alighieri (1265—1321).
(Tłum. E. Porębówicz)

20.

Przyjaźń

Prawa przyjaźni są wielkie, dcstójne i wieczyste, wplecione w jedną przędzę w prawa przyrody i zasady moralności.

Miłość, która jest istotą Boga, nie dąży do rozwiązłości i jej nie służy, lecz sumie wartości człowieka.

Na przyjaźń składają się dwa pierwiastki, a każdy z nich jest tak udzielny i tak wzniosły, że nie mogę znaleźć żadnego punktu, któryby jeden od drugiego przewyższał.

Jednym z tych pierwiastków jest prawda. Przyjacielem jest ta osoba, z którą naprawdę mogę być szczery.

Drugim pierwiastkiem przyjaźni to uczucie.

I istotą przyjaźni jest suma wielkoduszności i zaufania.

Gdy człowiek jaki staje mi się drogim, wtedy sięgam Celu fortuny.

Przyjaźń dąży do udzielania pomocy i oznacza pomoc i pociechę we wszystkich przejawach oraz przejściach życia i śmierci.

Jest ona wskazaną i właściwą zarówno w dniach uroczystych, jak i przy składaniu wdzięcznych darów, jak w reszcie w chwilach sielankowych

Lecz niemniej i na ciężkiej wyboistej drodze żywota, w dniach próby, katastrof, nędzy i prześladowania.

Zadaniem naszem jest wzajemne uszlachetnianie codziennych potrzeb i zadań człowieczeństwa i życia ludzkiego, a nadto upiększanie go odwagą, rozumem i zgodą opartą na jedności. Tak, aby przyjaciel stał się naprawdę arcydziełem natury.

Jedynym sposobem zyskania przyjaciela jest być przyjacielem.

Z tej ostatniej analizy wynika, że miłość jedynie jest odbiciem własnej wartości człowieka w innych i na odwrót.

Niektórzy mniemają, że miłość niepożądana jest hańbą, ale naprawdę wielcy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że prawdziwa miłość nie może nie być nie pożądaną.

Przez świat idziemy samotnie. Takich przyjaciół, jakich sobie życzymy, możemy znajdywać jeno w sennych marzeniach lub w baśniach.

Lecz naprawdę dostojna nadzieja przenika i zagrzewa każde wierne serce, że oto gdzieindziej są duchy czynne, wytrwałe na znoje, odważne, które zdolne są do pokonania nas i których my kochać możemy.

A gdy stajemy się ludźmi skończonymi, wtedy dopiero spleciemy dłonie bohaterskie z równie bohaterskiemi dłońmi innych.

Cóż bo jest tak wielkiem, jak przyjaźń? Choćbyśmy chcieli sięgać niebotycznych wielkości....

Zachowujmy przeto milczenie, ażebyśmy byli w stanie dosłyszeć szeptu bogów.

Szczęśliwym dom, który gości przyjaciela!

Szczęśliwym jednak ten, który rozumie i docenia dostojność i zaszczytność tego stosunku, a nadto szanuje prawa tego stosunku!

Ten oto, który ofiaruje samego siebie, jako kandydata do tego przymierza, wznosi się za-

prawdę na Olimpu wyżyny, wstępuje na te wielkie igrzyska, gdzie współzawodniczą najwyżej urodzeni świata tego.

Bo oto ofiaruje się do zawodów, w których czas, potrzeba i niebezpieczeństwo są na porządku dziennym.

Dary fortuny mogą mu w tern pomagać, lecz może ich nigdy nie zdobędzie, tern niemniej wszelka szybkość w tych zawodach zależną jest od stopnia szlachetności i pogardy dla małostkowości. Przyjaźń, zarówno jak i śmiertelność duszy, jest tak nadzwyczajnie dobrą, że trudno w nią uwierzyć.

Ażeby kwalifikować się na ten zaszczytny urząd przyjaźni, należy posiadać największe i najwznioślejsze przymioty.

Zbliżajcie się przeto do przyjaciela swego z odważną pewnością i zaufaniem w prawdę i czystość jego serca.

Ralph Waldo Emerson (1803—1882).
Tłumacz nieznany.

21.

Myśli

Nic nie powstało z nicości. Bo gdyby rzeczy nie potrzebowały nasienia, dla swego powstania, wszystko mogłoby zrodzić się z wszystkiego. I gdyby wszystko, co ginie dla naszych oczu, rozprzęgło się w niebyt, wszystkie rzeczy byłyby już zgi-

nęły, jako że nie byłoby nic, w coby się rozprząc mogły. Wszechświat był zawsze tem, czem jest teraz i będzie tern wiecznie. Niema poza wszechświatem nic, w coby[7] on mógł się przemienić, ani też nic, coby działaniem swem mogło wywołać w nim zmianę.

Zwierzęta, rośliny i wszystkie inne twory, które widzimy wokoło siebie, istnieją we wszystkich światach, bo jest niemożliwem dostarczyć dowodu, by jakiś świat mógł zawierać zarodki zwierząt, roślin i innych tworów, gdy inny świat jest ich całkiem pozbawiony.

Nazwy rzeczy nie zostały ustanowione na początku przez umowę . Sama przyroda, w każdym narodzie, wskutek doznawanych skłonności i nabytych pojęć, była zmuszona wydać szczególne dźwięki, które różnią się znacznie u różnych ludów. I takto w następstwie każdy lud wytworzył sobie własny język i wspólny wszystkim jego członkom, by oznaczać rzeczy mniej dwuznacznie i króciej.

Nie należy wierzyć, że ruchy meteorów, przesilenie dnia z nocą, zaćmienia, wschody i zachody i inne -rzeczy tego rodzaju dzieją się skutkiem rządu lub rozkazu jakiejś istoty, która używa najwyższej szczęśliwości i nieśmiertelności, gdyż zajęcia, troski, gnieww, czyny dobroci nie godzą się zgoła z szczęśliwością, lecz są raczej ściśle związane z słabością, obawą i niedokładnością.

Mędrzec nie przywiązuje się rozpaczliwie do życia, ani ono nie jest mu ciężarem i nie myśłt

on, że przestać żyć jest złem. I podobnie, jak nie szuka się przez większą część czasu pożywienia najobfitszego, lecz najprzyjemniejszego, tak samo nie pożąda się żyć możliwie najdłużej, lecz możliwie najprzyjemniej.

Wielkie to dobro, naszem zdaniem, wystarczyć samemu sobie, nie przeto, iżby trzeba zawsze zadowalać się małem, lecz abyśmy, jeśli nie żyjemy w dostatku, zadowalali się małem, w tern przekonaniu, że ci używają najbardziej obfitości, którzy najmniej jej potrzebują.

Sprawiedliwość nie jest zgoła czemś, co miałoby wartość samo w sobie, istnieje ona tylko w wzajemnych umowach i gruntuje się wszędzie, gdzie istnieje obopólne zobowiązanie, by nie krzywdzić i nie być krzywdzonym.

Epikur (341 przed Chr.)
(Przełożył L. Staff)

22.

Honorata

W tej chwili książę i jego goście ujrzeli idące ku nim trzy damy, które zeszedłszy ze stopni peronu, zbliżały się główną aleją parku.

Były to trzy księżne de Brece, matka, żona i córka obecnego księcia, wszystkie rzy wysokie, masywne, z gładkiemi, mocno przeczesanemi włosami, ogorzałe, piegowate, ubrane w czarne wełniane suknie i obute w mocne buciki. •

Szły one do kaplicy Najświętszej Panny Leśnej. Kaplica stała w parku, o pół drogi między wsią a zamkiem, nad brzegiem źródła.

Jenerał zaproponował, aby towarzyszyć damom.

— Nie możemy zrobić nic lepszego — rzekł pan Lerond.

— Bezwątpienia dodał ksiądz Guitrel — tem bardziej, że kaplica staraniem księcia odnowiona, zdobna jest w bogatą dekorację, w prawdziwą dla oczu radość.

Ksiądz Guitrel szczególnie interesował się kaplicą Najświętszej Panny Leśnej. Napisał był jej dzieje w pobożnej archeologicznej broszurze, wydanej dla ściągnięcia pielgrzymów. Według niego święte miejsce powstało za czasów panowania Klotara II. W owej epoce, pisał historyk, święty Austregisilas latami i czynami obarczony, znużony pracami apostolskiemi, własnemi rękoma w tem miejscu odludnem zbudował chatkę, aby w rozmyślaniach oczekiwać szczęsnej chwili swej śmierci, oraz wzniósł kapliczkę, w której umieścił cudowny obraz Najświętszej Panny.” To twierdzenie silnie zwalczał w Latarni — pan Mazure.

Archiwista departamentalny utrzymywał, że kult Marji jest znacznie późniejszy od wieku VI i że w epoce, w której miał żyć święty Austregisilas, nie znano jeszcze posągów Najświętszej Panny. Na co ksiądz Guitrel odpowiedział w “Tygodniu Religijnym,” że drudzy nawet przed narodzeniem Jezusa Chrystusa czcili obrazy Dziewicy,

która matką stać się mała, że w ten sposób, na starej ziemi francuskiej, przeznaczonej, by na niej w całym blasku zakwitł kult Najświętszej Panny. Mar ja miała ołtarze i obrazy rzec można prorocze, jak wróżby Sybilli. Ołtarze te poprzedziły jej przyjście na świat, zatem niema nic dziwnego, że Święty Austregisilas za czasów Klotąra II posiadał był posąg Najświętszej Panny. Pan Mazure marzeniami nazwał argumenty księdza Guitrel.

W chwili, gdy księżne do Brece z panem Lerond przechodziły przez strumyk po kładce, wspartej o podstawę kapliczki, dziewczynka czternastoletnia w łachmanach, z włosami brudno-białemi jak jej twarz, wysuwała się z krzaków po drugiej strony parowu, wbiegła po stopniach i weszła do kaplicy.

— To Honorka — rzekła księżna do Brece.

— Dawno ciekaw byłem ją widzieć — rzekł pan Lerond. — I dziękuję księżnie, że mi dała sposobność zaspokoić mą ciekawość. Tyle mówiono o niej!

Księżne de Brece, ksiądz Guitrel, jenerał, pan Lerond i książę do Brece, wszedłszy do kaplicy, ujrzeli Honorkę w ekstazie u stóp ołtarza. Dziewczyna na klęczkach, z rękami złożonemi, z szyją wyciągniętą, była jak zakrzepła, bez ruchu.

Uszanowali tajemniczy stan, wtkórym ją zastali i w milczeniu, wziąwszy święconej wody, wolno powiedli wzrokiem od ołtarza w stylu gotyckim, ku witrażom.

Teraz wszyscy, pani, ksiądz, adwokat, książę, patrzyli na dziurawe trzewiki Honorki. Wszyscy poważni, skupieni, kamienieli z podziwu nad zesztywniałemi członkami tego biednego dziecka — zwierzątka. A pan Lerond, który uważał się za obserwatora, obserwował.

Wreszcie Honorka ocknęła się ze swego zachwycenia, pokłoniła się przed ołtarze, odwróciła się i jakby ździwiona widokiem tych osób, zatrzymała się, obiema rękami odgarniając włosy, spadające jej na oczy.

— I cóż moje dziecko, widziałaś Najświętszą Pannę tym razem? — zapytała księżna de Brece.

Honorka dla odpowiedzi przybrała głos ostry, wysoki, głos odpowiedzi wyuczonych.

— Tak, proszę księżnej pani. Dobra Najświętsza Panna pobyła dłuższą chwilę. Potem zwinęła się jak płótno. A potem już nic nie widziałam.

— Mówiła do ciebie?

— Tak, proszę księżnej pani.

— Co co powiedziała?

— Powiedziała mi: "Dużo nędzy jest w domu."

— Nic więcej nie powiedziała?

— Powiedziała jeszcze tak: "Będzie dużo biedy na wsi ze zbiorami i bydłem."

— Nie kazała ci być grzeczną?

— "Trzeba się dobrze modlić" powiedziała mi. Potem powiedziała jeszcze tak: "Pozdrawiam cię. Dużo nędzy jest w domu."

Słowa dziecka dźwięczały w ciszy uroczystej.

— Czy piękną była Najświętsza Panna? — zapytała jeszcze księżna de Brece.

— Tak, proszę księżnej pani. Tylko brak jej było jednego oka i policzka, bo nie dość się modliłam.

— Czy miała koronę na głowie? — zapytał pan Lerond, który jako były sądownik był ciekawy i badać lubił.

Honorka zawahała się, przybrała przebiegłą minę i odrzekła:

— Miała koronę koło głowy.

— Na prawo,, czy na lewo? — zapytał pan Lerond.

— Na prawo i na lewo — odrzekła Honorka.

Księżna de Brece wmieszała się.

— Chcesz powiedzieć zapewne, to na prawo, to na lewo, moje dziecko... Czy nie to chcesz powiedzieć?

Ale Honorka nie odpowiedziała. Popadała niekiedy w takie posępne milczenie, spuszczając oczy, podbródek ocierając o ramię i wykręcając się w biodrach. Przestano ją wypytywać. Zaraz też wysunęła się z kaplicy, książę de Brece począł objaśniać.

— Honorata Porrichet, córka rolników od wielu lat osiadłych w Brece i popadłych w nędzę, była w dzieciństwie wątła i chorowita. Rozwijała się powoli i późno, tak, że uważano ją za idjotkę. Proboszcz twierdził, że jest dzika i że chętnie ukrywa się po lasach. Nie lubił jej. Ale światli

duchowni, którzy ją widzieli i badali, nic w niej nie znaleźli zdrożnego. Chodziła do kościołów i zapadała w zadumy nienaturalne dla jej wieku. W miarę, jak zbliżała się pierwsza komun ja, pobożność jej wzrastała. W owej epoce miała ’gruźlicę gardła i lekarze uznali, że jest zgubiona. Między innymi i doktór Cottard był tego zdania. Gdy Eminencja arcybiskup Charlot poświęcił nową kaplicę Najświętszej Panny Leśnej, Honorata uczęszczła do niej często. Popadała tam w ekstazy i miewała wizje. Widział Najświętszą Pannę, która rzekła jej: “Jestem Najświętszą Panną Leśną.” Pewnego dnia Najświętsza Panna zbliżyła się do niej, palcem dotknęła jej gardła, powiedziała, że jest uleczoną. Honorata sama opowiadała o tym fakcie nadzwyczajnym.

—Co ksiądz sądzi o tych faktach? — zapytał pan Lerond księdza Guitrel.

— Są one godne uwagi — odrzekł ksiądz.

— W tym wypadku z Honoratą Porrichet — rzekł książę de Brece — zauważyć należy z jednej strony wyzdrowienie istotnie nadzwyczajne, rzec mogę, sprzeczne z nauką medyczną, z drugiej — widzenia któremi, jak mówi, jest nawiedzana. Wiadomo wam pewnie, księże profesorze, że oczy tej dziewczyny, odfotografowane podczas takiej wizji na kliszy fotografa, o której dobrej wierze wątpić nie można, dały dokładne odbicie wizerunku Najświętszej Panny na źrenicy jasnowidzącej. Osoby wiarygodne zapewniają, że wi-

działy te fotograf je przez silną. lupę i rozpoznawały posąg Matki Boskiej Leśnej.

— Jakkolwiekbądź — rzekła księżna de Brece — ta mała Honorka to bardzo uczciwa, porządna dziewczyna. I jest taką zapewne za łaską niebios, bo jest zupełnie opuszczona przez rodziców biednych i schorowanych. Przekonałam się, że prowadzi się bez zarzutu.

— Co na wsi nie zdarza się wszystkim dziewczętom w jej wieku — dodała księżna pani de Brece, starsza.

Podczas, gdy tak rozmawiano na progu kaplicy, Honorka pobiegła do Izydora w gęstwiny leśne de la Guerche. Izydor czekał tam na nią niecierpliwie, myśląc, że przyniesie mu coś do zjedzenia lub groszy parę, wyglądał już też niecierpliwie trochę z miłości do niej, była bowiem jego przyjaciółką. On to właśnie, ujrzawszy panie i panów[1] z zamku idących do kaplicy, uprzedził zaraz o tem Honorkę, aby pobiela popaść w ekstazę.

Skoro ujrzał ją, zapytał zaraz:

— Co ci dali? Pokaz!

A że nic nie przyniosła, zbił ją, nie robiąc jej przytem wielkiej krzywdy. Ona podrapała go i ugryzła.

— Na co się to zdało? — zapytała.

Chłopak odrzekł:

— Przy sięgnij, że ci nic nie dali!

— Przysięgła. A oni wyssawszy krew, sączącą się z ich biednych ramion, pogodzili się. A że nic nie mieli, zabawili się sobą, i jedno drugie-

mu dostarczyło Rozkoszy. Izydor, syn wdowy, pijaczki, nie miał wcale znanego ojca, życie spędzał w lasach, nikt się nim nie zajmował, nikt się o niego nie troszczył. O dwa lata młodszy od Honorki, o rzeczach miłości był już obyty. Była to nawet rzecz jedyna, na której brak nie cierpiał nigdy w zaroślach de la Guerche, de Lenonville i de Brece. Co robił z Honorką, robił z nudów, z braku innego zajęcia. Honorka czasem bardziej w tern gustowała. Ale nie mogła wielkiej wagi przywiązywać do czynów tak zwyczajnych i łatwych. To też lada królik, ptaszek, większy owad odwracał cd tego ich uwagę.

(Anatol France 1844-1924)
(Przełożył Jan Sten)

23.

Orbity

Zeszły się gwiazdy dwie śród swoich dróg—
Tam, gdzie niebieski szczyt,
I śnić poczęły, by ich ogień mógł
Coby się w bólu stopiwszy, co noc
Zmienić się w jeden byt,
Wspólnym promieniem kwitł.

I zapomniały w swym przedziwnym śnie,
W jakiej się dali snuł
Tor ich obiegu, że te gwiazdy dwie

Muszą śród swoich kół
Dążyć samotnie, że ich jedna moc
W żaden nie złączy spół.

Ryszard Le Gallienne (1865)
(Przełożył Jan Kasprowicz)

24.

Król Olszyn — Ballada

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamieci?
To ojciec z dziecięciem, jak gdyby wiatr leci;
Chłopczynę na ręku piastując najczulej,
Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.

— Mój synu, dlaczego twarz kryjesz we dłoni?
— Czy widzisz, mój ojcze? król olszyn w tej stronie,
Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija!
— To tylko, mój synu, mgła nocna się zwija.

— Chodź do mnie, chłopczyno, zapraszam najmilej,
Pięknemi zabawki będziem się bawili,
Chodź na brzeg tu kwiatki kraśnieją i płoną,
A moja ci mama da suknię złoconą.

— Mój ojcze! mój ojcze! czy widzisz te dziwa?
Król olszyn do siebie zaprasza i wzywa!
— Nie bój się, mój synu! skąd tobie te dreszcze?
To tylko wiatr cichy po liściach szeleszczę.

— Chodź do mnie, chłopczyno, poigras z zrozkcszą,
Mam córki, co ciebie czekają i proszą,
Czekają na ciebie z biesiady nocnemi,
Zaśpiewasz, potańczysz, zabawisz się z niemi.

— Mój ojcze! mój ojcze! ach, patrzaj... gdzie ciemno....
Król olszyn ma córki, chcą bawić się ze mną. —
— Nie bój się, mój synu, ja widzę to zdała,
To wierzba swe stare gałęzie rozwala. —

— Chodź do mnie, mój chłopcze, dopóki masz porę;
Gdy chętnie nie przyjdziesz, to-ć gwałtem zabiorę.
■— Mój ojcze! mój ojcze! ratujcie dziecinę!
Król olszyn mię dusi... mnie słabo... ja ginę...
Ojcowi bolesno... on pędzi, jak strzała,
Na rękach mu jęczy dziecina omdlała.
Dolata na dworzec.. . lecz próżna otucha!
Na ręku ojcowskich już dziecię bez ducha.

Goethe, (1749—1832)
(Tłum. Wł. Syrokomla)

25.

Dziewczynka

Penego wieczoru, znużony pracą całodzienną, leżałem na ziemi pod ścianą wysokiego domu murowanego — starej ponurej rudery; krwawe od blaski zachodzącego słońca oświecały głębokie szpary i narośle błota na murze.

Wewnątrz domu i w dzień i w nocy, niby szczury w ciemnej piwnicy, snuli się ludzie, nędzni i wygłodniali ;ciała tych ludzi zawsze były okryte strzępkami łachmanów, a posępne ich dusze — nagie i brudne, jak ciała....

Z okien domu powoli, powoli, niby szary dym pożaru, ulatywał monotonny gwar milknącego w nim życia. Wsłuchiwałem się w te tak dobrze mi znane szmery, dręczące duszę i smętne, i drzemałem, pewien, iż nie usłyszę już żadnych innych odgłosów...

Nagle, gdzieś niedaleko ode mnie, ze stosu pustych beczek i połamanych skrzyń, rozległ się cichy, łagodny śpiew: gibtJgg

“śpij, dziecino, już —
'Czarne oczka zmuruż...
Patrzaj, deszczyk pada tam,
Piesek szczeka, grozi nam...”

Zdumiałem się. Nigdy bowiem nie słyszałem przedtem, aby w tym domu ponurym jaka matka usypiała swe niemowlę tak piękną kołysanką... Wstałem zwolna z ziemi, i gdy wzrok mój padł na stos beczek, ujrzałem, że w jednej z pak siedzi mała dziewczynka. Schyliwszy nizko swą kędzierzawą, płową główkę, kołysała się całem ciałkiem i zadumana śpiewała:

“W dali dziad wyciąga rękę,
Pies poszarpał mu sukienkę,
Śpij, dziecino, uśnij już...”

W małych i brudnych rączynach dziewczynka trzymała trzonek wielkiej łyżki drewnianej, owinięty czerwoną szmatką, i utkwiła weń swe oczy — duże i smutne....

Jakże piękne miała oczęta! Jasne, łagodne, i tak jakoś niedziecinnie smutne. Dostrzegłszy ten ich-wyraz, nie widziałem już więcej *i* brudu na twarzy i na rękach biedactwa.

Ponad nią, w powietrzu, niby chmary popiołu i sadzy, unosiły się krzyki, wymysły, śmiech pijacki i płacz; wokoło niej na zaśmieconej ziemi panował nieład ohydny. Leżało tam wiele porozbijanych gratów i skrzyń, a promienie zachodzącego słońca, rzucając swój blask czerwony na cały szereg ustawionych beczek i pak, nadawały im dziwnie złowrogie podobieństwo do szczątków jakiegoś wielkiego organizmu, strawionego ciężką i bezwzględną ręką nędzy...

Poruszyłem się mimowoli.

Dziewczynka, zobaczywszy mię, drgnęła; utkwiła we mnie swe badawcze źrenice i skuliła się cała lękliwie, niby mysz przed kotem.. .

Z uśmiechem przyglądałem się jej smutnej i wylęknionej twarzyczce: usta miała mocno zwarte, wąskie zaś brwi jej drżały bez przerwy...

Wreszcie wstała, z pewną wprawą poprawiła swe zniszczone, niegdyś różowe ubranko', wsunęła do kieszeni “lalkę” i dźwięcznym, jako struna głosikiem, spytała:

— Czego tak patrzysz?

Z wyglądu mogła mieć lat jedenaście; wątła, cienka jak patyk, przyglądała mi się badawczo, a brwi jej drżały bez przerwy...

— No, cóż? — zapytała po chwili. — Czegóż tu stoisz?

— Nic... nie... Baw się dalej... Ja... już odchodzę.. .

Wtedy zbliżyła się do mnie i z wyrazem wstrętu na twarzyczce, odezwała się głośno, dobitnie:

Nie odrazu pojąłem, co mówi, jednakże

— Chodź ze mną... za złotów-kę.. .

dreszcz przeczucia jakiejś niezmiernej ohydy, wstrząsnął mną całym. ..

Ta zaś podeszła do mnie jeszcze bliżej, tak iż nieomal otarła się ramieniem o mój bok i, unikając mego spojrzenia, ciągnęła dalej, natrętnie:

— No,chodźże, cóż znowu... Przecież nie pójdę dziś na ulicę, nie mam w czem... Gagatek mamy przepił i moją sukienkę... No, chodź już, szkoda czasu!...

W milczeniu odsunąłem ją ręką, a wtedy zajrzała mi w oczy podejrzliwie — nieufnie, snadź się wielce zdumiała; wstręt wykrzywił jej usta; uniosła główkę i, patrząc, zda się, gdzieś w górę swemi szeroko rozwartemi, jasnemi i smutnemi oczyma wybuchła nów głośnym żalem:

— Cóż to się wzdragasz? Myślisz może: mała jestem — będę krzyczeć? Nie bój się, — nie będę... Dawniej krzyczałam, ale dzisiaj...

I nie dokończywszy mówić, splunęła obojętnie. .. Odszedłem, unosząc w duszy ciężar zgrozy i smutny wyraz niewinnych oczu dziecięcych...

Maksym Gorkij, (1863)
(Przełożył Józef Mondschein)

• 26.

Łabędzi śpiew romantyzmu

Czyli ci nie rwie duszy żaden cel młodzieńczy?
Czyż żadne mocne słowo w uchu twem nie dźwięczy ?
Czyż żadne wielkie imię, żadne święte hasło
Nie świeci oczom twoim pochodnią niezgasłą?

Czyż twej piersi potężny duch czasu nie wzrusza ?
Czyż się od jego żaru nie pali twa dusza?
Czyż się nie czujesz iskrą wielkiego ogniska,
Co na tysiąc serc bratnich swój płomień rozpryska ?

To, co natchnione usta podały ci w pieśni,
To, co przeżyli męże narodu boleśni,
To, czem przyszłość daleka i nęci i trwoży,
Czyż nie daje ci siły dla nowej żyć zorzy?

Robert Hamerling, (1830-1889)
(Tłum. Marja Konopnicka)

27.

Skarb Piotra Goldtwaite'a.

— A więc, Piotrze, odrzekł John Brown, zapinając wierzchnie odzienie na okrągłej pełni swego tułowia i wciągając rękawiczki. — Nie chcecie się nawet nad tą sprawą zastanowić? Więc wciąż odmawiacie sprzedaży swej starej, grożącej upadkiem rudery za tę okrągłą kwotę?

— Ani za tę, ani za trzykroć większą — odrzekł szczupły siwowłosy Piotr Goldthwaite, wąsko wciśnięty w zniszczony surdut. — Chyba, Brownie, będziecie musieli poszukać innego placu pod nowy dom i pozostawić tę posesję przy jego właścicielu. Gdyż i ja, mój panie, przyszłego lata zamierzam postawić wspaniały budynek na iundamentach mojej starej skrzyni!

— Piotrze! — zawołał Brown, otwierając drzwi kuchni — zadowolnijcię się wreszcie zamkami w powietrzu. Cegły i wapno nic was nie będą kosztować, a place są o wiele tańsze, niż tutaj na ziemi. Powietrzny fundament jest zupełnie odpowiedni dla waszej budowli, dla mojej zaś bardziej stosowny jest wasz grunt. W taki sposób i wilk może być syty i owca cała. Jak sądzicie?

— To samo, panie Brown, co zawsze sądziłem — odpowiedział Piotr z ugrzecznioną stanowczością. — Wracając do powietrznych pałaców, zapewniam pana, że dom mój będzie od nich

o wiele mniej wystawny, ale zato może równie trwały, co czcigodny budynek na składy, pracownie krawieckie i biura, jaki pan chciałby na tern miejscu wybudować.

— Ale koszta; Piotrze! — rzeki zniecierpliwionym głosem Brown, szykując się do odejścia.

— Pewnie liczycie na kredyt w banku warjatów!

John Brown i Piotr Goldthwaite przed dwudziestu, trzydziestu laty znani byli w świecie kupieckim pod firmą “Golddthwaite & Brown.” Lecz spółka rychło się rozwiązała, wskutek zbyt wielkiej różnicy charakteru obu udziałowców. Od tego czasu Brown, dzięki tym samym zaletom i tym samym ździerstwom, co tysiące innych Brownów na świecie, dorobił się wielkiej fortuny i stał się z pomiędzy Brownów jednym z najbogatszych. Natomiast Piotr Goldthwaite w następstwie przeróżnych interesów i spekulacyj, przy których cała gotowizna wypłynęła z kasy, a wszystkie banknoty wyfrunęły z kabzy, w padł w biedę, jakiej chyba nigdy nie klepał żaden oberwaniec. Od swego dawnego wspólnika różnił się, mówiąc krótko, tylko tern, że Brown, nigdy nie licząc na szczęście, zawsze je posiadał, gdy natomiast Piotr, który szczęście zakładał, jako podwalinę wszystkich swych zamierzań, chybiał go zawsze. Przy pełnej kasie interesy Piotra były Zakrojone na najwyższą skalę; z latami skurczyły się do drobnych prób, do loteryjnych i temu podobnych przedsiębiorstw. Za czasu gorączki złota Piotr przedsię-

wziął wyprawę na południe po cenne runo. Inni wypchali swe kieszenie kruszcem, on zaś swoją wypróżnił do reszty. Niedawno znów, odziedziczywszy po kimś dwa tysiące dolarów, nabył meksykańskie akcje; od jednego razu stał się właścicielem całej prowincji, która miała tylko jedną wadę, mianowicie: znajdowała się tam, gdzie za tę samą cenę można było wytargować rozległe państwo, to znaczy we mgle. Wrócił z odkrywczej • podróżly do tych włości tak zmizerowany i obdarty, że, ledwo znalazł się w Nowej Anglji, wszystkie napotykane strachy na wróble kiwały mu przyjaźnie głowami. — Chwieją się tylko na wietrze — mamrotał Piotr. Nie, stary, naprawdę kiwały, albowiem poznały swego brata!

W czasie, kiedy rozpoczyna się nasza opowieść, wszystkie jego dochody nie starczyłyby na utrzymanie budy, którą zamieszkiwał. Był to jeden z owych sędziwych, brudnych, omszałych budynków drewnianych, które tu i ówdzie sterczą jeszcze na ulicach naszych miast i, wysuwając swe ponure piętra ponad parterami, jakgdyby wygrażają się otaczającym je nowym budynkom. Chytry Piotr z pewnych tajemniczych względów nie chciał wypuścić z rąk tej spuścizny przodków. Nie potrafiły go skusić wcale pokaźne sumy, jakie ofiarowano za dom, ze względu na jego położenie na głównej ulicy miasta. Mogło się wydawać, że jakieś fatum łączy go z tern miejscem, gdzie się urodził; albowiem, chociaż nieraz, jak obecnie, stał nad krawędzią ostatecznej ruiny, ni-

gdy jednak nie dochodziło do tego, aby rnusiał oddać dom wierzycielom. Zamieszkiwał go samowtór ze swem nieszczęściem i cierpliwie czekał na uśmiech losu.

W kuchni zatem, w tem jedynem, pomieszczeniu, skąd ognisko wypierało chłód listopadowy, przyjął biedny Piotr bogatego eks-wspólnika. Kończąc rozmowę, spoglądał markotnie na swój przyodziewek, stary jak dni "dawnej firmy “Goldthwaite & Brown.” Surducisko połatane na łokciach było wyświechtane do ostatniej nitki. Pod niem — wąska jak futerał, wyłysiała czarna kamizelk której jedwabne guziki już dawno były zastąpione przez inne, różnej wielkości, różnych deseni i zróżnych materjałów; wreszcie, chociaż nie można było zaprzeczyć, że to, conosił na nogach, było parą szarych spodni, wszakże na skutek zwyczaju Piotra wygrzewania tyłu przy ognisku, stały się one nieprawdopodobnie brudne, wyszargane, a miejscami zamieniły nawet swój pierwotny szary kolor na ciemno bronzowy. Sam Piotr stanowił godne uzupełnienie swej garderoby. Chudy, siwowłosy, z zapadniętemi oczami, blademi policzkami, przedstawiał dokładny wizerunek człowieka, który dopóty żywił się plonnemi nadziejami i wietrznemi planami, póki nie stracił zdolności przyjmowania tej czy bardziej pożywnej strawy. Pomijając to, Piotr Goldthwaite z całą swą pomysłowością i prostotą zrobiłby świetną karjerę, gdyby swoją płodną wyobraźnię zużytko-

Wał w nieznającem granic królestwie poezji, zamiast zamorzyć ją w kupieckich pozycjach. Nie był złym człowiekiem, — wręcz przeciwnie — był szczery jak dziecko, uczciwy i prawy gentleman, jak tylko można nim być w takich tarapatach, Przy tak niepożądnym trybie życia.

Oto stoi przy kominku i rozgląda się po mrocznej kuchni.. Naraz w oczach jego zapłonął ogień natchnienia, który go nigdy nie opuszczał na długo. Podniósł rękę, zacisnął pięść i z rozmachem uderzył w zakopconą ścianę ogniska.

— Nadszedł czas! — rzekł. — Głupie to — znosić nędzę, gdy się posiada taki skarb w domu. Jutro rozpocznę od strychu. Nie zaznam spokoju, dopóki nie zburzę całego domu.

Zaszyta w kąt kuchni, jak czarownica w ciemnej jaskini, siedziała stara kobieta, reperując jedną z obu par pończoch, które chroniły od zimna nogi Piotra. Podeszwy były zbyt wystrzępione, aby je można było zacerować, to też podszywała je kawałkiem flaneli, wyciętym ze starej zniszczonej sukni. Tabita Porter była panną lat sześćdziesięciu, z których pięćdziesiąt pięć spędziła w tym właśnie kącie kuchni. Tyle bowiem czasu upłynęło odkąd dziadek Piotra wziął ją z domu sierot. Nie miała innego przyjaciela, Piotr zaś nie miał innej przyjaciółki. Póki Piotr posiadał dach nad głową, Tabita nie miała powodu do trosk. Gdyby jednak i dach straciła gotowa była Wziąć go za rękę i poprowadzić do swojej przy-

stani, do przytułku dla ubogich. Tak, miała dlań tyle miłości, że w razie potrzeby oddałaby mu ostatni kęsek i ubrała w swoją własną odzież. Tabita była dziwną staruszką. Chociaż nie przejęła się cudactwami Piotra, przecież tak przywykła; do jego mrukliwych przyzwyczajeń, że uważała je za naturalne. Słysząc jego okrzyki, zapowiadające zburzenie domu, oderwała tylko oczy od roboty i rzekła:

—Niech pan tylko kuchnię zostawi na ostatek, panie Piotrze.

Nie będziemy śledzili krok w krok Piotra bohaterskich wysiłków; wystarczy powiedzieć, że pracując jak parowa maszyna, przez jedną zimę dokonał tego, co tylko w połowie zdołali zrobić przez sto lat wszyscy poprzedni mieszkańcy tego domu, z pomocą czasu i żywiołów. Wyjąwszy kuchni, wszystkie pokoje i wszystkie komórki były wypatroszone. Z budynku nie pozostało nic, prócz wierzchniej łupiny.

Co on burzył, to Tabita spalała, gdyż zupełnie słusznie mniemała, iż, nie mając domu, nie będą potrzebowali opału, że zatem głupio byłoby oszczędzać. Skutkiem tego cały dom naprawdę z dymem wyleciał przez komin; przypomina to czyn owego człowdeka, który skoczył do własnego gardła.

— Wina daj, Tabby! — zawołał Piotr. — Mocnego starego wina moich antenatów! Teraz będziemy pić!

— Panie, — wtrąciła Tabita — czy będziemy Pić, zanim znajdzie się skarb?

— Znaleziony! — wykrzyknął Piotr dzikim głosem. — Kufer jest w moim ręku. Posiadam klucz, otworzę zardzewiały zamek. Lecz nasam-Przód pijmy!

Póki oboje nie wysuszą butelki, zwrócimy się w inną stronę.

Prawda, że owej burzliwej nocy, siedząc w iotelu sprężynowym przy napalonym kominku, który rzucał światło na cały, bogato urządzony Pokój, Brown nie czuł się dobrze. Był człowiekiem litościwym i dobrym. Okazywał miękkie serce, gdy niedola innych przenikała doń poprzez grubo wyścielone jego własne szczęście. Tego wieczoru myślał o starym przyjacielu Piotrze, o jego cudacznych planach, o jego wiecznych niepowodzeniach, o nędzy jego mieszkania. Miał go jeszcze przed oczyma: wychudzoną, rozwichrzoną marę, jaką oglądał niedawno w oknie rudery.

— Biedny człowiek — westchnął — biedny, obłąkany Piotr! Przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń powinienem zająć się nim i ulżyć mu twardą zimę.

Współczucie było tak silne, że mimo burzy Postanowił odwiedzić Piotra.

— Co to? — zawołała Tabita, przesuwając okulary i podnosząc lampę nad otwartym kufrem — szmaciany skarb Piotra Goldthwaite'a!

— Słusznie, Tabby — rzekł Brown, podnosząc garść tego skarbu. Były to stare asygnaty gminne, obligacje miejskie, banknoty krajowe z pierwszych czasów ich emisji, z przed stupięćdziesięciu laty aż do czasów rewolucji. Bony opiewające na tysiąc funtów pomieszane z papierowymi pensami, wszystko jednakowej wartości.

— Więc to jest skarb starego Piotra —- odezwał się Brown. — Był istotnie podobny do was, stary. Kiedy tę papiery, spadły na pięćdziesiąt procent, kupił je w nadziei, że znów pójdą w górę. Założył posesję, byleby zebrać jak największą gotówkę do tej idjotycznej tranzakcji. Lecz papiery coraz bardziej spadły, i wreszcie nie chciano ich przyjmować nawet za darmo. Wtenczas Piotr Pierwszy znalazł się w takiej samej sytuacji co Piotr Drugi: tysiące w skrzyni, a dziurawe portki na ciele —

—- Dom się wali na nas! — krzyknęła Tabita, gdy huragan uderzył ze wzmożoną siłą.

— Niech się wali — rzekł Piotr i, o puściwszy w rezygnacji ręce, usiadł na kufrze.

— Nie tak stary przyjacielu — odezwał się Brown. — W moim domu jest dość miejsca dla was i dla Tabby, a także znajdzie się odpowiednia kryjówka dla waszego kufra. Jutro zobaczymy czy będziemy mogli ubić interes. Plac w każdym razie zachowuje swoją wartość. Dam wam za niego słoną zapłatę.

— A ja, — odpowiedział Piotr, zrywając się z obudzonym zapałem — ja, Brownie, mam już świetny plan ogromnie korzystnej lokaty tych pieniędzy!

Nathanaeł Hawthorne (1804-1864)
Tłumacz nieznany.

28.

Intermezzo

Najmłodsza ma! gdy zejdziesz w grób —
Gdy w ciemnym legniesz już grobie —
Ja wtedy zstąpię do twych stóp,
Sam się przytulę przy tobie.

Całuję, w objęcia przyciskam cię swe, —
Ty cicha, ty zimna, ty biała! —
To płączę z rozkoszy, to z bólu znów drżę,
Aż martwe zostaną dwa ciała.

Umarli powstają.— już północ ich zwie,
I tańczą powietrznym swym rojem;
My dwoje zostajem w grobowym swym śnie
Ja leżę na sercu na twojem.

«

Umarli powstają na straszny ów sąd
Do niebios, lub w morze płomieni;
My, na nic nie bacząc, nie ruszym się stąd,
Wieczystym uściskiem złączeni...

Henryk Heine. (1799-1856).
(Tłum. Adam Asnyk)

29.

Wiosna

Zlekka słodkie po mej duszy
Przeciągają tony.. .
Dźwięcz, *w.iosenna piosnko moja,
Dźwięcz w dalekie strony.

Gdzie dom pełen świeżych kwiatów
Zdążaj potajemnie,
A gdy różę tam zobaczysz,
Pozdrów ją odemnie!

Henryk Heine
(Tium. Adam Asnyk)

30.

Myśli

Istnieją dwa rodzaje zawiści: — jedna słuszna, gdy zawidzi się złym ludziom czci, która staje się ich udziałem; i niesłuszna, jeśli się to czyni zględem ludzi uczciwych. Zresztą ludzie zawistni wychodzą na tem dwukrotnie gorzej, niż inni ludzie: bo gniewają się nietylko z powodu»własnego nieszczęścia, jak owi, lecz także z powodu cudzego szczęścia.

Z oszczerstwem jest sprawa tem gorsza, że niema na nią kary, jak za kradzież; a jednak o-

szczercy kradną nam najcenniejsze posiadanie miłość bliźnich. Przeto złe obejście się, które jest Przecie zbrodnią, jest właściwie lepsze, niż oszczerjstwo, bo nie składa się w ciemności.

Hippiasz. (560 przed Chr.)
(Przełożył L. Staff)

31.

Dwór Alkinoja

Odysseja.

Tak się tam modlił Odyss losem bity srodze,
Gdy pannę rącze muły uniosły po drodze,
W miasto wiodącej. Jakoż przed dwór okazały
Ojcowski gdy zajedzie, muły się wstrzymały
O pierwszej bramy. Bracia, piękni jak niebianie,
Wybiegli wszyscy razem na jej powitanie,
I muły wyprzęgali i wyprane szaty
2 wozu nosili. Panna do swojej komnaty
Szła wprost, gdzie ogień stara nieciła już niańka
Gurymetuza, ongi apejrocka branka.
Z Apejru w łódź feocką przed laty porwana
Za którym, jak za bogiem, lud wszystek przepada.
* przywieziona tutaj, na dar godny pana,
dostała się królowi, co Feakom włada —
^yniańczyła mu córkę białą jak lii ja,
Teraz warząc wieczerzę, przy ogniu się zwija,
^ięc Odyss się do miasta zbierał, gdy bogini
Atene, czuwająca nad nim, mgłę uczyni

I schowa go, by z dumnych Feaków tam który,
Spotkawszy go, nie złajał, lub nie spytał z góry,
Co zacz? A więc, gdy w miejskie wchodził już ulice,
Zabiegła mu Atene sowiooka, lice
Wziąwszy na się dzieweczki młodej, z dzbankiem w dłoni,
A gdy stanęła przed nim, on ozwał się do niej:
“Dzieweczko, wskaż mi, proszę, w tern mieście nieznanem,
Gdzie tu dwór Alkinoja, co tutaj jest panem?
Jam człek cudzy i nędzasz srodze nieszczęśliwy,
Z dalekich krain idę, więc i duszy żywej
Nie znam pomiędzy ludźmi tu mieszkającymi.”
Na to rzekła Atene z oczami lśniącemi:
“Chcesz, dziadku, to ci wskażę, kędy idzie ścieżka
Do dworu; tam w bliskości i ojciec mój mieszka,
Idź za mną, wżdy ostrożnie, ja cię poprowadzę;
W nikogo nie patrz, z nikim nie gadaj, tak radzę.
Na przybysze tutejszy mieszkaniec zawzięty:
Obcy nigdy tu nie był gościnnie przyjęty.
Lud ten puszczy mnogością żeglujących łodzi.
Po morzu wciąż upędza i daleko chodzi;
Bo lądotrzęs Psejdon dał im już dar taki,
Że ich nawy jak myśli lotne, lub jak ptaki.”
Powiedziawszy to Pallas, szła przed nim co żywo,
A Odyssej jej śladem zdążał nieleniwo.
Więc żeglowych Feaków uszedł jakoś wzroku,
Gdy samym środkiem miasta przerżnął się w ich tłoku.

Straszna bowiem i pięknie trefiona bogini
ćmi ich oczy i wkoło niego mgłę uczyni.
A Odyssej się dziwił korabiom w przystani:
Moc ich taka ! Toż placom, gdzie męże zebrani,
I długim murom miejskim w ostrokół warownym,
I wszystkiemu się dziwił dziwem niewymownym.
A tak gdy przed królewski szczytny dworzec
przyszli,
Atene jasnooka ozwie się w tej myśli:
“Oto, dziadku wędrowny, dwór, o który się pytasz,
Masz przed sobą; tu w kole biesiadnem powitasz
Władyki tego kraju, wszystko ród Zeusowy.
Idź prosto, nie trwóż sobą i nie trać nic głowy.
Śmiały idzie przebojem i przeto wygrywa,
Mniejsza, czy cudzoziemcem do obcych przybywa.
Wszedłszy tam, najprzód panią pozdrowić się
godzi;
Zwie się Aretą;
Mąż ją czci, żadna w świecie bardziej nie uczczona,
Trzymająca rząd domu mężowskiego żona —
A tę cześć tak serdeczną odbiera bez zmiany
Od samego Alkina, od dziatwy kochanej,
Od ludu, co bożyszczem nazywa ją swojem,
że gdy w mieście ją ujrzy, pcha się do niej rojem.
Bo to i rozum piękny i dowcip tej pani
Umie radzić, przejednać tych, co pogniewani.
Jeśli na ciebie okiem popatrzy łaskaw-em,
Toś wygrał i przyjaciół obaczysz niebawem.
I wrócisz w progi własne do rodzinnej ziemi.”
Rzekłszy to, córa Zeusa z oczyma sowiemi

Rzuciła smugi Scherji rozkosznej, i lotem
Minąwszy mórz pustkowia i Maraton potem,
Przebiegając w Atenach ulice i place,
Weszła w Erechtejoza zamczyste pałace.
Odyss w królewskie gmachy podążył w tej dobie
I długo stał przed niemi i rozważał sobie:
Czy ma nogą przestąpić pański próg spiżowy,
Gdzie, jak promień słoneczny lub blask księżycowy,
Wnętrze komnat pałało, ściany, wyłożone
Miedzią, biegły to w jedną, to w drugą znów stronę,'
Od progu w głąb i głębiej; wkoło gzyms niebieski,
Wewnątrz w każdej świetlicy drzwi ze złotej deski;
Próg miedny odrzwia srebrne dźwigał, a sklepienie
Ze srebrnej belki. U drzwi też złote pierścienie.
Psy złote i psy srebrne z obo.u stron podwoi,
Co je Hefajstos ukuł, ten mistrz w sztuce swojej
Leżały rzekomo stróże swego pana;
Ani śmierć, ani starość stróżom tym nieznana.
Od progu w głąb i głębiej w rząd, poustawiane
Pod ścianami, szły stołki; na stołkach zaś dziane
Kobierce, ręką niewiast misternie wyszyte.
Tam siadają feackie pany znamienite,
Jedząc, pijąc nie zbywa nigdy im na niczem.
Na podstawach dokoła z młodzieńczem obliczem
Stały złote posągi, trzymając kagańce,
Gościom przyświecające przy nocnej hulance.
Pięćdziesiąt tam niewolnic krzątało się w dworze.
Te obracały żarna, mieląc płowe zboże,
Inne przy krosnach, kądziel znowu przędły inne,
Jak liście na topoli, wciąż w ruchu, wciąż czynne,

Zbijały pasma tkanin mocno, aż z warsztatów
Tkackich tłustość ściekała. Bo jak tęższych
chwatów
Nad Feaki do morskich wypraw niema w świecie,
Tak dowcipem nie sprosta feackiej kobieście
żadna inna o tkaninach misternej roboty:
Atene im wyłącznie dała te przymioty.
Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony,
Czteromorgowy, wkoło płotem ogrodzony;
Kędy drzewa wysokie i kwieciem okryte
Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite.
Słodkie figi. Toż drzewa oliwne tam były;
Przez rok cały tak zima jak latem rodziły,
Bo w ciekawym'zefirze, co tam wciąż powiewa,
.Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa,
: Jabłko idzie po jabłku, gruszkę gruszka spycha,
Figa figę i owoc zawsze się uśmiecha.
Widać tam i winnicę bujną w winogrona,
Część jej duża na upał słońca wystawiona.
Ażeby schły i jagody; więc jedne w kosz biorą,
Drugie tłoczą. Wiośnianki dochodzą niesporo;
Tu kwiat ledwo, tam już się rumienią jagody.
Ze sadami warzywne leżały ogrody:
Grzędy ziół wonnych, kwiatów pstrokatych bez
liku;
Są dwie krynice: jedna wije się w poniku
Przez sady, druga pańskie podwórze obmywa;
Z niej wody na potrzebę lud wiejski używa.
Taka to nad królewskim domem łaska bogów!
Długo Odys tułaczy stał zdumion u progów.

A gdy wszystkiemu w duszy dość się nadziwował,
Próg przekroczył i w wnętrze komnat tych
wstępował.
Tam feackich bojarów zastał godujących,
I ostatnią z czasz winnych obiatę lejących
Na cześć Argusobójco. Zwykle biesiadnicy
Robią to, aby smaczny sen znaleźć w łożnicy
Boski Oddysej izbę prędkim mierzył krokiem,
Od Ateny widziany leciuchnym obłokiem,
Aż dopadł Alkinoja — siedział przy Arecie.
I gdy Odyssej dłońmi kolana jej splecie,
Naraz zeń święty obłok zsunął się ze wszystkiem
I w izbie zamilkli goście; zdumieni zjawiskiem,
Patrzyli na przybysza. On wniósł prośbę, którą
Miał w tych słowach: “Areto, Roksenora córo!
Błagam twego małżonka, ciebie i tych gości,
Ja tułacz — niechaj bogi dadzą wam w pełności
Zdrowia, szczęścia, by jeszcze i na zawsze dziatki
Godność od ludu dana spadła i dostatki —
Przez litość wrócić do dom pomóżcie mi prędzej!
Długo, długo się tułam w sieroctwie i nędzy.”
To rzekł i na ognisku raz usiadł w popiele
Przy ogniu. Goście zmilkli, chociaż ich tam wiele.
Aż wreszcie przerwał ciszę mąż najstarszy laty,
Siwy Echinepj, w słowa wymowne bogaty.
Dawnych wieków pamiętny, znał obyczaj stary,
Więc się zaraz odezwał mądrze i do miary:
“Ej! nie godzi się, królu, bo to nie w zwyczaju,
By w popiele siadywał gość z cudzego kraju,
Czekając na twój rozkaz, chowamy milczenie;
A zatem podnieś gościa, na srebrne siedzenie

Posadź tu obok z nami. Keryksom każ w krużе
Wino lać — cześć oddamy bogu, co grzmi w górze
Wszak pod jego opieką stoją nieszczęśliwi,
A klucznica z śpiżarni gościa niech pożywi."
Wzruszyła się tą mową Alkinoja dusza.
Powstał i, niezłomnego dłoń Odysseusza
Wziąwszy, podniósł z popiołu, posadził przy sobie
Na miejscu Laodama, co gościa osobie
Musiał ustąpić, chociaż ojca ukochanek.
Służebna na srebrzystej misie złoty dzbanek
Pełny wody przyniosła i ręce nią zmyła
Gościowi, poczem gładki stół mu przystawiła.
Potem skrzętna klucznica przyniosła mu chleba
I rozmaitych potraw z śpiżarni, co trzeba,
A boski tułacz Odyss jadł i spijał głodny.
Do Keryksa tak mówił Alkinoj, pan godny:
"Pontonoju! lej wino gościom , rozdaj krużе,
Aby obiatę bogu złożyć, co grzmi w górze
I wszystkich nieszczęśliwych pod skrzydła swe.
bierze."
Rzekł, i Pontonoj wino po jednym kraterze
Znowu gościom podawał. A tak, gdy ofiary
Każdy część wylał i sam napił się do miary —
Przemówił znów Alkinoj do wszystkich, co byli:
"Posłuchajcie, kniaziowie i władycy mili!
Mówię do was, co serce podaję do głowy:
Podjadłszy, idźcie do dom na sen wy wczasowy.
Jutro więcej starszyzny - zwołamy na koło,
Aby obcego gościa uraczyć wesoło,
A przy tern obiatami zjednać sobie bogi
I obmyślić, jak wróci ten człek w swoje progi,

Ąby wolen tułaczych niewygód i trosek,
Ż pomocą naszych ludzi do rodzinnych wiosek
Dostał się; a już mniejsza, czy drogi stąd kawał,
tyle w ciągu podróży strapień nie doznawał.
A gdy stanie na miejscu, niech się tam rozlicza
Z wyrokami przeznaczeń, jakie tajemnicza
Nić mu snuje, przez twarde prządki uprzędziona*
Kiedy na świat dziecięciem wyszedł z matki łona.
Lecz jeśli to zbieg z nieba który nieśmiertelny,
To znać, że bogi mają jakiś cel oddzielny;
Zwykle bowiem w vzidomej postaci się jawią,
Zasiadają wraz z nami, jedzą, pi ją, bawią,
Zwłaszcza jeśli ich sutym uczcimy prażnikiem,
Lub też zszedłszy się w drodze z samotnym
pątnikiem,
Biorą kształt ludzki, chętnie kumają się z nami,
Toż z grubymi Kiklopy, albo z Gigantami.”
Na to mądry Odyssej odpowiedział skromnie:
‘‘O Alkinoju! nie myśl, proszę cię, tak o mnie.
Przecieżem do żadnego niepodcbien boga,
‘Ani wzrostem, ni kształtem, chudzina uboga.
Lecz jeśli kogo znacie z chodzących po świecie
Najnieszczęśliwszym, to mnie równać z nim
i możecie; t
Któremi wyrok bogów ćwiczył mię i ćwiczy.
A i więcej bym cierpień naliczył i bieży,
Wżdy pozwólcie, niech zjem co, choć w oczach
łza stoi.
Nic głodnego żołądka pono nie ukoi:
¡Głód największym tyranem, ciągle się napiera,
¡'INie dbając, czy ból jaki duszę ci rozdziera.

że mi serce się kraje, nic to mi nie szkodzi:
“Jeść! pić!” co chwila woła żołądek, ten złodziejT
I wszystko, com wycierpiał na starość i z młodu®
Zapominam, dopóki nie napasę głodu.. .•
Więe błagam was, władycy, gdy ranek zaświta,'
Wyprawcie mię do domu, biednego rozbita!
Zniósłszy tyle, już życia nie żalby mi było,
Gdybym ujrzał włość moją, dworzec, czeladź miłą!”
Tó rzekł, i jego mowie przytakną książęta,
Odesłać go do domu rzecz słuszna i święta.
Więc wylawszy obiatę, gdyż sami dość pili,
Na smaczny wypoczynek do dom podążyli..
Boski Odyssej w izbie pozostał godowej,
Obok króla posadzon i obok królowej;
Gdy służebne ze stołów sprzątnęły naczynia —•"
Więc rzekła doń Arete, ta biała kniahinią,
Poznawszy na nim chiton i piękny odziewek,
Który sama utkała z pomocą swych dziewek —4
Zagabnęła go lotnym słowem w tym sposobie?:
“Gościu! pozwól, że jedno zapytanie zrobię:
Coś zacz? skąd się tu wziąłeś? czemu w tym
• ubiorze? /
Mówiłeś wżdy, żeć na ląd wyrzuciło morze?”
Na to jej mądry Odyss lał taką odpowiedź:
“Trudno mi od początku robić całą spowiedź
Tych bied, jakiemi bogi ścigają mię srodze,
Jednak twej ciekawości, królowo, dogodzę.
Stąd daleko na morzach jest ostrów niewielkie'
Zwań Ogigią, siedziba srogiej zwodzicielki, ,
Kalipsy pięknowłosej, a córki Atilisa —
Każdy bóg jej unika, człek tam nie popasa,

Mnie tylko nieboraka demon zagnał do niej,
Kiedy piorun Zeusowy na pełni mórz toni
Roztrzaskał mi łódź moją. W dom mię swój przyjęła,
Gościnnie nakarmiła, potem wmawiać jęła,
że mi da nieśmiertelność, a z nią młodość wieczną
Lecz się broniłem od niej odmową stateczną.
Siedem lat mnie trzymała, —- i nieraz łza padła
Na niebiańskie szatki, które na mnie kładła.
A gdy ósme już lato nadeszło w lat toku,
Sama nagli na odjazd. Nie wiem, czy z wyroku
Zeusa, czy jej serce doznało odmiany:
Dość, że na wątłej tratwie, wićmi powiązanej,
Wysłała mnie, żywnością, winem i odziewkiem
Niebiańskim opatrzywszy; i ciepłym powiewkiem,
Dmącym na jej rozkazy, gnała mię przez wody.
Całe dni siedemnaście płynąłem bez szkody;
W osiemnastym ujrzałem zarosłych gór czuby
Tej tu ziemi —- i widok weselił mię luby!
Biedny! nie przeczuwałem, jak srogie opały
Zgotował mi P esej da gniew zapamiętały.
Jakoż wnet rwącym wichrem pomieszał mi szlaki;
Wzdął wielkie morze, bałwan cisną na mnie taki,
żem na tratwie od strachu wzdychał i dygotał —•
Aż wichr wpadając na nią, do szczętu zgruchotał.
Wpław poszedłem i ramion użyłem za wiosła,
W końcu mię wie ja z falą na wasz brzeg doniosła.
Alić tam, gdym wynurzył się, bałwanem porwany,
Byłbym się w proch roztrzaskał o brzeżnych skał ściany,

,TeIe, żem się w czas cofnął i przylądek zdała
Opłynąwszy na rzekę trafiłem. Jej fala
Cichsza, brzeg płaski, bez skał, do wyjścia
dogodny.
Wyszedłszy, bez tchu padłem. Gdynastał mrok
chłodny,
Zaraz brzegi strumienia opuściwszy, w głuche
Krzaki zalazłem, zgarniając na się liście suche,
A ległszy, sen mi długi zesłał bóg w tej dobie.
Zmordowany, pod kołdrą liścia spałem sobie
Przez noc całą; poranek przeszedł i południe —
I dopierom się ocknął, kiedy słońce cudnie
Zaczynało zapadać. Spojrzę ku brzegom morza:
Tam igrały dziewczęta, między niemi hoża
Córa twa, istne bóstwo, dzieliła zabawę.
,Ją więc błagam i serce znalazłem łaskawe.
'Przyjęła mię, nad podziw, nad wiek swój sędziwa,
¡Choć wiek młody zazwyczaj nieroztropnym bywa:
Ona i jeść mi dała, i wino ogniste,
I obmyła w strumieniu, i w te szatki czyste .
Oblokła. Ot i szczerą zrobiłem ci spowiedź.”
. Na to mu Ałkinos taką dał odpowiedź:
“Gościu! wżdy córka moja za to sprawę zda mi,
Żeć nie odprowadziła tu z swemi dziewkami:
Przecieżeś się o pomoc najprzód uciekł do niej?”
Na to odrzekł Odyssej: “ Oniechże Bóg broni,
Królu ! żebyś naganiać miał to dziecko złote.
Właśnie, że mię ze sobą wziąć miała ochotę,
•Tednom się temu oparł z wstydu i bojaźni,
Czy mój widok twojego gniewu nie podraźni:

Obcy człowiek tak łatwo w podejrzenie wpada!”
Alkinoos mu na to tak wręcz odpowiada:
“Przecież gościu! krwią serce nie kipi tak u mnie,
By o nic wrzało: gniew mój hamuję rozumnie.
Obyż za sprawą Zeusa, Ateny, lub Feba.
Mąż, jak ty i jakiego właśnie mi potrzeba,
Trafił się dla mej dziewki, a dla mnie za zięcia!
Wiano sute, dom, włości — wszystko wziąłbyś
po niej,
Zostałby zawsze z nami. Ręka jej do wzięcia,
Lecz gwałcić cię ja nie chcę. O niech nas Bóg
broni
Od takiego postępku! Wiedz, że na jutrzejszy
Dzień twój odjazd naznaczam niech cię sny
One przez ciche morze ci potowarzyszą.
kołyszą!
Popłyniesz w kraj swój do dom, i gdzie chęć
powieje,
Choćby nawet i dalej gdzie za Eubeję,
Co ma leżeć najdalej, jak mówią ci, którzy
Z Radamantysem w tej tam bywali podróży,
Wożąc go do Titjosa z Gei zrodzonego —
Na tę drogę im dosyć było dnia jednego:
Bez trudu i napowrót do dom go odwieźli.
Sam zobaczysz i przyznasz, że wcale są nieźli
I tęgi wyćwiczeni ci moi żeglarze.”
Słowa te Odyss przyjął jak wieszczbę radosną
I tę modlitwę usty jął odmawiać głośno:
“Ojcze Zeusie! spraw, żeby Alkinoj mógł ino
Spełnić to, co obiecał. A iście nie- zginą

Jego czyny i sława pójdzie po rozłogach —
A ja przecież w ojczystych raz ujrzę się progach!” ■
Gdy taką między sobą rozmowę tam toczą,
Białoramienna pani dziewkom swym ochoczo
Słać kazała dla gościa pod wystawą łóżko,
Wymościć je prześliczną z czerwieni poduszką;
Na to kobierce, płaszcze znów na to wełniane
Dać do przykrycia. Dziewki z tern powyprawiane
Wybiegły z izby, sobie pochodniami świecą —
A gdy się uporały dla gościa z łożnicą,
Wróciły, zapraszając Odyssa w- te słowa:
“Gościu! idź spać: łojnica czeka cię gotowa.”
Słysząc to, rad był Odyss,. że sobie wypocznie,
I na miłe wywczasy udał się niezwłocznie.
Tak złożył boski tułacz głowę do snu skłonną
Na łożu, pod wystawą szczytną, echem dzwonną.
Zaś Alkinoj spał w-ewnątrz zamkowych pokoi,
Drży zdobiącej małżeńskie łoże żonie swojej.

Przypisy.

Alkinoj (Alkinoos) król Feaków, zam. wyspę Scherję.
Areta, żona Alkinoja.
Argusobójca inaczej Hermes, posłaniec bogów.
Atena Pallas, córka Zeusa, opiekunka Greków.
Atlas, jeden z Tytanów, trzymający ziemię ni barkach.
Echinej, Feak.
Eubeja, wyspa na morzu Eugejskiem.
Eeb, bożek słońca.

Hades, bóg podziemia.
Kalipso, nimfa, córka Tytana Atlasa, zam. na wyspie Ogygji.
Kiklopi inaczej Cyklopi, jednooka ludność mityczna.
Kronos, ojciec Zeusa, Posejdona i Hadesa.
Laodamos, syn Alkinoja.
Maraton, wioska w Attyce.
Odysseusz, Odyssej, Odyss, król Itaki.
Ogygja, legendarna wyspa.
Posejdon, bóg morza.
Zeus, ojciec bogów i ludzi.

-32.

Z “Legendy Wieków”: Kain.

W krwawej z dzikiego zwierza świeżo zdartej
 skórze, -
Z włosami rozwianemi przez wiatry i burze,
Kain z dziećmi uciekał przed gniewem Jehowy.
I gdy wieczór cień ziemi narzucał grobowy,
U stóp góry, co wielką płaszczyznę ocienia,
żonie jego i dzieciom zabrakło już tchnienia;
I rzekły: “Tu legnijmy i śpijmy na ziemi.”
I wzniósłszy głowę w górę, nad sobą wysoko
Kain nie spał, myślami trapiony czarnemi
Ujrzał w ciemnościach nocy wciąż otwarte oko,
Które nań spoglądało źrenicą błyszczącą.
Rzekł: “Jestem tu zbyt blisko jeszcze.” Ręką
 drżącą

Rozbudził synów śpiących i żonę zmęczoną,
I jął uciekać z nimi w przestrzeń niezmierzoną.
I szedł trzydzieści nocy i szedł dni trzydzieści,
Wylękły, blady, w niemej trwodze i boleści,
Bez spojrzenia za siebie, bez snu i bez chwili
Spoczynku. Aż nareszcie znużeni przybyli
W kraj nadmorski, co Assur miał mu nadać
miano:
“Tu, rzekł Kain do swoich, spocząc jest nam dano
Bezpiecznie; krańce ziemi już tu toną w morzu.”
Zatem usiadł i spojrzał po niebios przestworzu.
A tam znów straszne oko, jak przedtem, błyszczało.
Zachwiał się bratobójca, dreszcz przebiegł mu
ciało:
“Ukryjcie mnie, zawołał, to spojrzenie pali!”
I na ten przestrach ojca synowie patrzali
A więc rzekł do Jakuba, co pierwszy z pustyni
Z plecionej sierści zwierząt namioty poczyni:
“Płótno twego namiotu rozepnij z tej strony.”
I wnet się rozpostarły chwiejące opony,
A gdy je ciężki ołów przytwierdził do ziemi,
Spytała Tsylla, dziewczę z włosami jasnemi:
“Czyli już nic nie widzisz?” A Kain tej córze
Swych synów odrzekł: “Zawsze to oko tam
- w górze.”
Więc Jubal, co kraj świata plemię jego zwiedzi,
Bijąc w skórzane kotły i dmąc w trąby z miedzi,
Zawołał: “Ja zaporą ochronię cię nową.”
I ukuł mur miedziany ponad ojca głową.
A Kain rzekł: “To oko zawsze na mnie patrzy.”
Więc Henoch, kupę cegieł i gliny układszy,

Rzecze: “Trzeba wokoło zbudować tu mury
I wystawić wkrąg wieże sterczące do góry
I zamknąć, by tu żadni obcy nie zajrzali.”
Więc Tubalkain, który jest ojcem kowali,
Zbudował'wielkie miasto, co go wieże strzegą;
A kiedy on pracował, inni bracia jego,
Szukając synów Seta i wojując co dnia,
Oślepiali słrzałami każdego przechodnia,
A wieczorem ku gwiazdom wypuszczali strzały
I już wnet zamiast płótna granity sterczały,
A w każdy twardy kamień klin żelazny wrasta,
I gród do piekielnego podobny był miasta:
Cień murów noc na błonia rozsiewał wokoło,
Wieże dumne ku niebu podnosiły czoło,
A u bramy był napis: “Tu się wejścia broni
Bogu.” I gdyby swe miasto ukończyli oni,
Układli ojca w wieżę, co była jak skała
I wówczas znowu drżąca Tsylla zapytała:
Czyliż to oko znikło?” A*Kain z wieszoną
Głową rzekł: “O nie, zawsze tam nade mną ono!”
I rzekł dalej: “Schronienie zróbcie dla mnie
w ziemi,
Bym się tam już nie spotkał z twarzami ludzkiemi,
By mnie tam żadne ludzkie nie dosięgło oko.”
Więc jamę dla Kaina kopano głęboką,
I wszyscy go synowie spuścili w podziemie.
A kiedy nad nim piasku nasypano brzemię
I gdy na twardym głazie układł głowę sobie,
Straszne oko patrzyło na Kaina w grobie.

Victor Hugo. (1802-1885)
(Tłum. Wacław Szymanowski)

33.

Z ‘Roku Straszliwego’*: Kto winien,

**— Tyś spalił bibljotekę?
— Tak jest w słusznym gniewie
Własną ręką cisnąłem w te gmachy zarzewie!
•— Przeciw sobie samemu niesłychaną zbrodnię
Spełniłeś, niegodziwcze, swą własną pochodnię
Zgasiłeś, swego ducha przeciąłeś promienie!
Co zniszczyć twe wściekłe śmiało uniesienie,
lwem dobrem, twem dziedzictwem, twojem
dobrem było!
Książka jest twoim skarbem, książka jest twą siłą;
Książka broniła ciebie, jak pomni świat stary;
Kibljoteka jest wielkim, świętym aktem wiary
Pokoleń, zostających w zamierzchu pomroce,
Co świadectwo o zorzy dają w ciemne noce.
Jakto ? Na ten szacowny zbiór prawd wiekuistych,,
Na arcydzieła pełne błyskawic ognistych,
Iskier bożych, na groby przeszłości dalekiej,
Na olbrzymów zamierzchłej historji, na wieki,
Na upłynione dzieje, te przyszłości słońca,
Na to, co się zaczęło, by istnieć bez końca,
Na poetów, na Hjobów, Eschylów, co swemi
Kroroctwy oświecają widnokrąg tej ziemi,
Na niepożyte stosy wspaniałych Homerów,
Na potęgę rozumów, na Kantów, Wolterów:
bucha,

Rzucasz, zbrodniarzu, głownię, co płomieniem
I z dymem puszczasz blaski człowieczego ducha?
Jakżeś ty mógł zapomnieć, że z ciężkiej niewoli,
Jedna cię tylko księga, nędzniku, wyzwoli!
Ona świeci! Z nią w ręku, jej potęgą zbrojny,
Ty zdepcesz głód, pożogi, szafoty i wojny.
Ona woła: ja nie znam, co Negr albo Parja!
Otwórz księgę, przeczytaj Miltona, Beccarja,
Juvenala, Szekspira, a wnet się obudzi
W twoich piersiach olbrzymia dusza tamtych
ludzi.
I poczujesz się takim, jakimi są oni.
Czytaj ich, a zaduma czoło twe osłoni,
Poczujesz w sobie ludzi tych, rosnących w góry,
Oświecą ci twój umysł, jak jutrzenka mury;
Im bardziej się zatapia w nich twa własna dusza,
Tern więcej cię ich wielkość uspokaja, wzrusza,
Czujesz kię dobrym, lepszym... Z ich dzieł
Zda ci się, że w nich czytasz swoje własne dzieje,
światłość 'wieje.
To światło było twoje! A teraz? O wstydzie!
Ku swojej własnej szkodzie twój czyn niecny
idzie!
Ty sam zgasiłeś światło, swem własnem
ramieniem.
Wszystkie cele, o których marzysz z uniesieniem,
Księgi już osiągnęły. Duch ich w ciebie wpływa,
Rozdziela prawd i błędów splątane ogniwa,
Bo wierzaj, że gordyjskim węzłem jest sumienie.
Książka to twój przyjaciel, lekarz, ostrzeżenie.

Ona leczy nienawiść, szały, ich przyczyny.
Widzisz więc, coś utracił z własnej swojej winy!
Księga to skarby twoje — to mądrości prawa,
Obowiązki i cnoty, wolność, postęp, sława,
Myśli, co na twą korzyść zaczynają świtać...
I tyś to wszystko zniszczył?
— Ja nie umiem czytać!

Victor Hugo. (1802-1885)
(Tłum. Mikołaj Biernacki)

34.

Z “Ostatniego Snopa”: Szunia.

Suka Szunia nie głupia. Zwierzę pomysłowe!
Wracamy — pod me ręce wciska swoją głowę,
Czuje burzę, więc drżąca przycupnęła, słucha.
“Dlaczego — pytam, zlekka dotknąwszy jej ucha, —
Szunia źle się prowadzi za domem, śród ludzi?
Ile razy wyjdziemy, Szunia gniew mój budzi:
Biegasz, szczekasz i skomlisz i skaczesz przez krzaki,
Skoro szczenię lub dzieciak pokaże się jaki?
Koguta ujrzysz — wrzawa! I nieraz szeptano:
— Ten jegomość ma sukę głupią lub pijaną! —
To nas wstydem okrywa, oburza, niestety,
Przechodniów. A posiadasz niemałe zalety:
W domu jesteś posłuszna, zmyślna, wierna, cicha,
A za domem głupiejesz!” — Szunia drży i wzdycha...

Victor Hugo. (1802-1885)
(Tłum. Klemens Podwysocki)

35.

Wróg ludu.

Burmistrz: Czyż trzeba było wszczynać te badania poza memi plecami?

Stockmann: Póki nie miałem całkowitej pewności należało...

Burmistrz: A teraz wydaje ci się, że masz tę pewność?

Stockmann: No, o tern mogłeś się chyba sam przekonać!

Burmistrz: Czy zamierzasz przedstawić ten memorjał zarządowi zakładu, jako dokument oficjalny?

Stockmann: Oczywiście. W tej sprawie trzeba przecież coś przedsięwziąć — i to natychmiast.

Burmistrz: Używasz, jak zwykle, bardzo o-Strych wyrażeń w swych wywodach. Piszesz między innemi, że to, ,czem zakład nasz darzy swych pacjentów, jest właściwie stałem ich zatruwaniem.

Stockmann: Ależ, drogi Janie, może znajdziesz na to wyrażenie łagodniejsze? Pomyśl tylko, proszę cię: woda zatruta zarówno w kąpielach, jak i w zdroju, przy zewnętrznem i wewnętrznem użyciu! A służyć ona ma tym biednym chorym, którzy z całą ufnością powierzają się opiece naszej, oddając nam swe pieniądze wzamian za odzyskanie zdrowia.

Burmistrz: A w wywodach swego memorjału dochodzizs do wniosku, że należałoby zbudować zbiornik na te domniemane nieczyste ścieki z Doliny Młyna oraz, że należałoby przełożyć rury wodociągowe.

Stockmann: Może znajdziesz inny sposób wyjścia? Ja go nie widzę.

Burmistrz:Złożyłem dziś wizytę budowniczemu miejskiemu i naprowadziłem rozmowę — napół żartem — na twoje propozycje, jako na coś, co może kiedyś należałoby wziąć pod uwagę.

Stockmann: Później ? Kiedyś ?!

Burmistrz: Przyjął to oczywiście z uśmiechem, jako pomysł nazbyt osobliwy. Czy nie zadałeś sobie trudu zastanowienia się nad tem, ile, mniej więcej, kosztowałyby proponowane zmiany? Według objaśnień, jakie otrzymałem, przeszło kilkaset tysięcy koron.

Stockmann: -Aż tyle!

Burmistrz: A nie jest to jeszcze rzeczą najgorszą w tem wszystkiem. Robota trwałaby co najmniej dwa lata.

Stockmann: Całe dwa lata, powiadasz?! Dwa lata!...

Burmistrz: Co najmniej. A co mamy tymczasem począć z zakładem? Zamknąć go może? Nic innego nie pozostawałoby chyba. I czy myślisz, że choć jeden chory przyjechałby do nas, gdyby rozeszła się tfrieść, że woda jest tu niebezpieczna dla zdrowia.

Stockmann: Ależ, Janie, taka woda jest rzeczywiście !

Burmistrz: A wszystko to zaczynasz teraz właśnie, kiedy uzdrowisko nasze rozwija się tak wspaniale i zyskuje rozgłos. W sąsiednich miastach można również urządzić dobre kąpiele morskie. Sądzisz, że nie poruszą tam natychmiast wszystkich sprężyn, aby napływ przyjezdnych skierować ku sobie?
Uczynią to niewątpliwie. A my tymczasem osiądziemy na mieliźnie. Nie pozostawałoby nam prawdopodobnie nic innego, jak przeznaczyć na zburzenie cały nasz wielce korzystny zakład — a wtedy zrujnowałbyś doszczętnie swe miasto rodzinne !

Stockmann: Zrujnowałbym?... Ja?...

Burmistrz: Wszak ten zakład jedynie daje miastu widoki jakiejkolwiek przyszłości. Niepodobna byś nie rozumiał tego równie dobrze, jak i ja.

Stockmann: Więc co czynić, twojem zdaniem ?

Burmistrz: Z rozprawki twej nie wyniosłem bynajmniej tego przeświadczenia, że warunki, dotyczące wody w zakładzie, są istotnie tak niepomyślne, jak je przedstawiasz.

Stockmann: Są one może jeszcze gorsze — a raczej będą latem, gdy nastaną dni upalne.

Burmistrz: Jak powiedziałem, przesadzasz bardzo we wszystkiem. Sprawny lekarz powinien dostosować do okoliczności swój sposób postępo-

Wania: przeciwdziałać wpływom szkodliwym i u-’Rieć zaradzić złemu, gdyby ono objawić się miało W sposób zgoła niedwuznaczny.

'Stockmann: A więc?... Cóż dalej?

Burmistrz: Przeprowadzony wodociąg jest faktem, z którym liczyć się trzeba. W właściwym Czasie będzie dyrekcja prawdopodobnie skłonna do rozważenia możliwości pewnych ulepszeń, odpowiednio do ofiar pieniężnych, jakie będzie mogła Ponieść.

Stockmann: I ty sobie wyobrażasz, że ja Mógłbym dać się zjednać takim podstępem?

Burmistrz: Podstępem ?!

Stockmann: Tak, byłby to podstęp jedynie, °szustwo, kłamstwo, wręcz zbrodnia, popełniona fta kuracj uszach, na społeczności samej!

Burmistrz: Jak rzekłem, nie mogłem nabyć tego przeświadczenia, że grozi tu istotnie niebezpieczeństwo.

Stockmann: Nie?! To być nie może! Moje Przedstawienie rzeczy jest zbyt oczywiste, nazbyt Prawdziwe i słuszne! Przekonało ono i ciebie, Janie — nie chcesz tylko wyznać tego. Sam bowiem Przeparłeś swego czasu to, że budynek zakładu i Wodociągi zbudowano właśnie w tem miejscu, gdzie S1§ znajdują obecnie, a to jest właśnie w calem Przedsięwzięciu tym przeklętym błędem, do którego nie chcesz się przyznać. Ba, myślisz, że cię nie przeglądam w tej chwili nawskroś?

Burmistrz: A gdyby nawet tak było istotnie? Jeżeli z pewną lękliwością czuwam nad zachowa-

niem swej powagi wśród współobywateli, dzieje się to również w interesie miasta. Bez moralnego autorytetu nie zdołam kierować interesami tak, jak to uważam za korzystne dla dobra powszechnego. Z tego więc powodu — oraz dla wielu innych względów — twój referat nie powinien dojść do rąk dyrekcji zakładu. W interesie ogółu musi rzecz cała pozostać między nami. Później porusz? ją sam, tymczasem czynić będziemy wszystko, *co* tylko okaże się możliwem — ale z całej tej fatalnej historji nic nie powinno się przedostawać do wiadomości publicznej.

Stockmann: Temu, mój drogi, nie da się już zapobiec.

Burmistrz: A jednak to stać się musi — tak będzie.

Stockmann: Mówię ci, że to jest niemożebne! zbyt wiele osób wie już o tern.

Burmistrz. Więc wiedzą już o tern ludzie obcy? Kto mianowicie? Chyba, u licha, nie ci panowe z "Gońca Ludowego," ci!....

Stockamann: Wiedzą o tem i oni. Wolnomyślna, niezależna prasa postara się już o to, abyś spełnił swój obowiązek.

Burmistrz: Jesteś człowiekiem wielce nierozważnym, Ottonie! Czyś nie pomyślał, jakie to mieć może następstwa dla ciebie samego?

Stockmann: Następstwa? Dla mnie?

Burmistrz: Tak 'jest. Dla ciebie i dla twej rodziny.

Stockmann: Co chcesz przez to powiedzieć?

ma Burmistrz: Sądzę, że cię nie zawodziła nigdy pomoc braterska?

Stockmann: Bez wątpienia — to też żywię dla ciebie szczerą wdzięczność.

Burimistrz: Obejdzie się bez niej. Byłem 2resztą do tego poniekąd zmuszony — przez wzgląd tla siebie samego. Łudziłem się zawsze tą nadzieją, że zdołam trzymać się nieco na wodzy, gdy C1 zapewnię lepszy byt materjalny.

Stoickmann: Jakto?.... Więc tylko przez Wzgląd na siebie samego?! '

Burmistrz: Poniekąd, rzekłem. Rzeczą bardzo przykrą dla urzędnika jest to, gdy się jego Najbliżsi kompromitują nieustannie.

Stockmann. Mniemasz, że ja to czynię?

, Burmistrz: Niestety — choć nie zdajesz so- •D le z tego sprawy. Masz usposobienie niespokoj- ile> zapalczywe, buntownicze. I ta nieszczęsna skłonność twa do występów publistycznych — we ^szystkich możliwych i niemożliwych sprawach! Bada pomysł wystarcza ci, by natychmiast pisać 0 tem wielki artykuł, lub całą broszurę nawet!

Stockmann: Czyż to nie jest obowiązkiem °bywateli dzielić się z publicznością, gdy go jaka ^yśl nowa nawiedzi ?

Burmistrz: Ach, nacóż publiczności myśli no- ^e? Stare, powszechnie uznane myśli wystarczą Jej •w zupełności.

Stockmann: I wypowiadasz rzecz taką z całą ^Wartością ?l

Burmistrz: Raz wreszcie muszę z tobą, pomówić otwarcie. Unikałem tego dotychczas, wiedząc, jak bardzo jesteś pobudliwy, ale teraz muszę ci powiedzieć całą prawdę. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak dalece szkodzisz sobie swą nierozważną bezwzględnością. Uskarżasz się na urzędy, ba, nawet na rząd sam! Rzucasz nań wszelakie inwektywy, twierdząc równocześnie, że cię sfery rządowe odsuwają od wszystkiego, prześladują nieomal. Ale czegóż innego oczekiwać może obywatel tak uciążliwy ?

Stockmann: Co takiego?... Jestem w dodatku jeszcze i uciążliwy?

Burmistrz: Ależ tak, Ottonie, jesteś bardzo uciążliwym współpracownikiem. Sam tego doświadczyłem. Lekceważysz wszystkie względy. I zdajesz się zapominać o tern, że to miejsce zdrojowego lekarza zawdzięczasz wyłącznie mnie.

Stockmann: Nie! Należało się ono mnie jedynie, a nikomu innemu. Ja pierwszy doszedłem do przekonania, że miasto nasze stać się może kwitnącem uzdrowiskiem; byłem jedynym, który wówczas w to wierzył. Lata całe walczyłem o urzeczywistnienie tej myśli mojej: pisałem wciąż, pisałem bez końca!

Burmistrz: Nie przeczę, ale wówczas nie nadeszła jeszcze właściwa pora ku temu. Nie mogłeś tego, oczywiście, osądzić z twego zapadłego kąta na północy. Lecz, gdy nastał czas właściwy, wziąłem się wreszcie ja wraz z innymi do rzeczy.

Stockmann: Tak, by rozkoszlawić całkowicie mój wspaniały plan. Okazuje się teraz jawnie, jacyście to byli mądrzy!

Burmistrz: Według mnie okazuje się to tylko, że potrzebujesz nowego celu dla ataków tw7ej wojowniczości. Chcesz dać się we znaki zwierzchnikom twoim — jest to przecie stary nałóg twój. Nie znosisz żadnego autorytetu, spoglądasz krzywem okiem na każdego, kto piastuje jakikolwiek wyższy urząd, uważasz go wręcz za osobistego wroga, wobec którego każda broń jest dobra. Tym razem zwróciłem ci jednak uwagę, jakie to interesy miasta całego — a więc i swoje — stawiasz na kartę. I dlatego uprzedzić cię muszę, Ottonie, że z nieubłaganą surowością nalegać będę na wypełnienie tych kilku wskazań i żadań moich.

Stockman: I cóż to za żądania ?

Burmistrz: Ponieważ w tak drażliwej sprawie, która powinna była zostać tajemnicą dyrekcji, wynurzyłeś się już przed osobami niepowołanemu, więc cała sprawa zatuszować się już oczywiście nie da. Poczną się niebawem rozpowszechniać pogłoski wszelakie, *a* ludzie złej woli będą je podsycali dodatkami i wymysłami swemi. Będziesz rnusiał publicznem wystąpieniem przecwdziałać tym pogłoskom.

Stockmann: Ja? W jaki sposób? Nie rozumiem ciebie.

Burmistrz: Możemy chyba oczekiwać co najmniej tego, że po powtórnem zbadaniu rzeczy ca-

tej dojdziesz do wniosku, iż nie jest ona tak»groźna, jak wyobrażałeś to sobie w pierwszej chwili.

Stockmann: Aha! — Więc tego oczekujesz?

Burmistrz: Poza tern będziemy wymagać od ciebie dowodu większego zaufania, z czem będziesz rnusiał wystąpić publicznie, wypowiadając nadzieję, że dyrekcja po sumiennem zbadaniu każę niewątpliwie ‘naprawić możliwe wadliwości w urządzeniach kąpielowych.

Stockmann: Partactwem bylejakich zarządzeń nie zdołacie tego uczynić w żaden sposób. Jest to moje najgłębsze przekonanie.

Burmistrz: Jako urzędnikowi nie wolno ci kierować się zdaniem osobistem.

Stockmann: Nie wolno mi?!

Burmistrz: Jako urzędnikowi, mówię. Jako osoba prywatna — ach, mój Boże! — możesz myśleć, co ci się żywnie podoba. Lecz jako podwładny urzędnik zakładów kąpielowych nie masz prawa wygłaszać sądów, stojących w jawnej sprzeczności z poglądami twych zwierzchników.

Stockmann: O, tego już doprawdy zawiele! Jako lekarz, jako uczony nie mam prawa...

Burmistrz: Sprawa ta nie jest zagadnieniem czysto nauko wem, lecz zawiłą kwest ją techniczno-ekonomiczną.

Stockmann: Co mnie to wszystko do stu djabłów obchodzi! Zastrzegam sobie przedewszystkiem swobodę zdania we wszystkich możliwych sprawach..

Burimistrz: Wolna wola. Z wyjątkiem tej jedynej sprawy: zakładu kąpielowego — bo tego ci zabraniam.

Stockmann: Zabraniacie mi?... Wy? Ludzie, którzy....

Burmistrz: Zabraniam ci ja, jako twój zwierzchnik najwyższy. A skoro ci zakazuję tego, winieneś słuchać ulegle.

Stockmann: Janie, doprawdy, gdybyś nie był bratem moim....

[7] (Henryk Ibsen. 1828-190«)
(Przełożył Wacław Berent)

36.

Pieśni Poetów Japońskich.

Noc mi się dziś tak wlecze, dłuży,
jak rozpuszczony ogon pawi,
tysiące uczuć pierś mą burzy,
noc mi się dziś tak wleczy, dłuży.

Ach, jak samotne łoże nuży,
gdy tęskność młode serce zdławi!
Noc mi się dziś tak wlecze, dłuży,
jak rozpuszczony ogon pawi.

Kakinomo-to-No-Chitomaro (690-737)

♦ * ♦

Cisza... opada mgła na góry,
słychać przeciągły bek jeleni,
słońce przyćmiły czarne chmury,
cisza... opada mgła na góry.

Ach, jak żałośny i ponury
krajobraz górski w czas jesieni!
Cisza... opada mgła na góry,
słychać przeciągły bek jeleni.

Sarumaru-Taju (żył w VIII wieku)
(Przekład Remigiusza Kwiatkowskiego)

* * *

Patrzę na księżyc złotorogi,
czy i nad górą Mika świeci?
Daleko zagnał mnie los srogi,
patrzę na księżyc złotorogi. . .
Nie tu, lecz tam- są moje bogi,
i to, co w sercu miłość nieci....
Patrzę na księżyc złotorogi,
czy i nad górą Mika świeci?

Abe-No-Ńakamaro
(VIII wiek po Chr. kreśli wyrazy tęsknoty za ojczyzną podczas dłuższego — pobytu na studjach w Chinach).

* * ♦

Powiędły kwiaty, woń straciły,
pókim błąkała się po świecie,
ufałam nadto w swoje siły,
powiędły kwiaty, woń straciły.
Jesienne wichry już zawyły,
ponura żałość serce gniecie,
powiędły kwiaty, woń straciły,
pókim błąkała się po świecie.

Dama Ono-No-Komaczy
(IX wiek po Chr. Słynęła z talentu, urody i rozpusty; zmarła jakoby w okropnej nędzy na ulicy).
(Przekład Remigiusza Kwiatkowskiego)

O, niech mój smutek do dom płynie!
zanieście go, rybackie łodzie,
w obcej już będę trwał krainie,
o, niech mój smutek do dom płynie!
i łzy utoną, w morskiej wodzie,
Nim brzeg z przed oczu moich zginie
o, niech mój smutek do dom płynie,
zanieście go, rybackie łodzie!

Radca Takamura
(IX wiek po Chr. napisał swoją "utę" w łodzi, wiozącej go na wygnanie na wyspy Oki).

* * *

Dziewczyno ty moja, kochanie ty moje,
bez ciebie, cóż życie me warte?
Nie odchodź! Raz jeszcze pozostań we dwoje,
dziewczyno ty moja, kochanie ty moje...
Wprzód bałem się śmierci, lecz już się nie boję,
ostatnią odwrócę dziś kartę....
dziewczyno ty moja, kochanie ty moje,
bez ciebie cóż życie me warte?

Książę Motojoszy
(Żył około 900 r., pędząc żywot hulaszczy, pełen przygód miłosnych).
(Przekład Remigiusza Kwiatkowskiego)

* ♦ *

Ze smutkiem witam każdy świt,
łza perli się w mem oku,
ach, jakże moment ten mi zbrzydł,
ze smutkiem witam każdy świt....

Kończy się wtedy słodki mit
z kochanką, w nocnym mroku —
ze smutkiem witam każdy świt,
łza perli się w mem oku.

Mibu-No-Tadamine (zm. w r. 955).

/ * * *

Mówisz, żeś widział łódź bez wiosła,
płynącą oślep poprzez Jurę,
tak cię namiętność będzie niosła,
jak tę, coś widział, łódź bez wiosła...
Nie daj, by w sercu skrycie rosła,
bo życie czeka cię ponure,
mówisz, żeś widział łódź bez wiosła,
■płynącą oślep poprzez Jurę.

Śone-No-Joszitada (żył w drugiej połowie X w. Jura-cieśnina)
(Żył w drugiej połowie X w. Jura—cieśnina)
' ' (Przekład Remigiusza Kwiatkowskiego)

* * *

Ach, jakże g-orzko teraz płacę
za szału krótką chwilę,
we łzy i bóle się bogacę,
ach, jakże gorzko za to płacę!....
Nawet już imię dobre tracę —
noc jedna winna tyle,
ach, jakże gorzko za nią płacę
za szału krótką chwilę!....

Dama dworu Suwo, (znana poetka XI wieku)

(* * *

Wiśnie osypał już kwiat biały,
upojna wonność bije z gór,
znowu wiosenne dni nastały,
wiśnie osypał już kwiat biały....

Oby się wichry nie zerwały
i nie przywlokły kłębnych chmur,
wiśnie osypał już kwiat biały,
upojna wonność bije z gór.

Radca Masafusa (zmarł w 1110 r.)
(Przekład Remigiusza Kwiatkowskiego)

37.

Kruk i Lis.

Bywa często zwiedzionym,
Kto lubi być chwalonym.
Kruk miał w pysku ser ogromny;
Lis niby skromny
Przyszedł do niego i rzeki: “Miły bracie,
Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.
Cóż to za oczy!
Ich blask aż mroczy!
Czyż można dostać
Takową postać ?
'A pióra jakie!
Lśniące, jednakie;
A jeśli nie jestem w błędzie
Pewnie i głos śliczny będzie.”
Więc Kruk w kantaty: skoro pysk rozdziawił,
Ser wypadł, Lis go porwał i Kruka zostawił!

Jean de la Fontaine. (1621-16S0
(Tłum. Ignacy Krasicki),

38.

Jezioro.

Tak więc zawsze ku nowym brzegom popychani,
Na wieki otoczeni wiecznej nocy mgłą,
Nigdyż nie będziem mogli na czasu otchłani
Kotwicy wrazić w dno ?

O jezioro, rok ledwie krótkie skończył życie,
A patrz! ku brzegom twoich tak drogich nam wód
Sam przychodzę i siadam na tej skały szczycie,
Gdzieś ją widziało wprzód!

Tak-eś szumiało wtedy pod stromem urwiskiem,
Tak-eś się roztrącało o skał brzeżnych słup,,
Tak wiatr miotał pian twoich srebrzystym wytryskiem
Do jej wielbionych stóp.

Czy pamiętasz ten wieczór? Płynęliśmy w ciszy;
Na wodzie i niebie, w niezmierzoną dal
Wionął tylko szmer wioseł, co nakształt klawiszy
W twych biły struny fal.

Nagle czarowne dźwięki, nieznane na ziemi,
Zbudziły echa skryte w skalnych berzgów cieśń!
Toń słuchała ciekawie, a głos drogi temi
Słowami śpiewał pieśń:

*‘O czasie, wstrzymaj lot! i wy, chwil błogich
mgnienia,
Wstrzymajcie pęd bez tchu!
bajcie nasycić się rozkoszą upojenia
W najsłodszym życia dniu.

Wszak nieszczęśliwych dość na ziemi was tu
błaga:
Niech im pośpiesza czas;
Im brzemię bierzcie dni wraz z nędzą, co ich
smaga;
Zostawcie szczęsnych nas!

Lecz próżno proszę, łkam, o kilka chwil się korzę,
Czas pierzcha, pierzcha w skok;
Powiadam nocy tej: Płyń wolniej! i wnet zorze
Rozproszą nocy mrok.

Kochajmy Więc! i te, które nam los odmierza,
Zużyjmy. w szczęściu dni!
Przystani nie ma człek — i nie ma czas wybrzeża,
On mknie — mijamy my!”

Czasie zawistny, jakto? Więc upojeń chwile,
Gdy miłość złotą falą szczęście leje wkrąg,
Podobnie ulatują, niestałe motyle,
Jak dni klęsk, trosk i mąk?

Jakto! więc nawet cień ich nie zostaje blady?
Więc mijają na zawsze? Więc mrze ton, co ścichł?
Ten czas, co nam je dał, co ich zaciera ślady,
Już nam nie wróci ich?

O, wieczność, nicość, przeszłość! Głębie pełne.,
cienia,
Jakiż los chwil, co waszych przeszły progi bram?
Oddacie-ż nam tych wzniosłych ekstaz uniesienia»
Któreście wzięły nam?

O jezioro! skał ciszy! lesie ciemny! góry!
Wy, które czas oszczędza i odmładza rad,
Zachowajcie z tej nocy, o cuda natury,
Wspomnienia chociaż ślad!

Niechaj ono zostanie w twych ciszach i burzach',
Piękna głębi, w słodyczy, którą dyszy błoń,
W tym czarnym gaju sosen, w skał dzikich,
przedmurzach,
Co patrzą w twoją toń!

Niech odżyje w zefirze, co zadrży i pierzchnie,
W szumach brzeżnych, co echem w drugi dzwonią
brzeg,
W gwieździe srebrnej, co rzuca na twoją
powierzchnię
światłości miękkiej śnieg!

Niechaj wiatr, co się skarży, trzcin muzyka cicha,
Niech wonie śniące w twojej balsamicznej mgle,
Niech wszystko, co się słyszy, widzi, czem
oddycha, —•
Brzmi tern: “Kochali się!”

Alphonse de Lamartine. (1790-1869)«
(Tłum,, Miriam)

39.

Głaz

Głaz, dopiero co wodą wypłukany z piasku,,
Wielki leżał na wzgórzu u krawędzi lasku
Uroczego, nad sianą kamieniami drogą,
W towarzystwie ziół, które w rozlicznych barw mnogo
Zdobiły kwiaty swoje. I widząc kamienie
W stos zebrane, na drodze u dołu, — życzenie
Powziął, ażeby stoczyć się w dół, mówiąc sobie::
“Między ziołami temi, cóż ja tutaj robię?
Zamieszkać w towarzystwie pragnę swoich braci,"
I kiedy w dół się stoczył, śród rodzeństwa traci
Szybkość swojego pędu. Ledwie pobył nieco,
Jął poznawać mąk ciągłych od kół, które lecą
■Grogą, od kopyt końskich żelaznej podkowy,
Gd stóp wędrowców; ten go przewrócił, a owy
Nadkruszył. Czasem dźwignął się nieco swem ciałem,
Gdy brud lub jakie bydlę okryło go kałem.
Próżno patrzał ku miejscu, skąd tu przybył w gości,
Ku miejscu spokojnemu ciszy, samotności,

Leonardo da Vinci. (1452-1519)
(Z prozy na wiersz przerobił L. Staff)

40.

Figowiec

Dopóki przy gościńcu stał owoców próżny —
Nie spojrzał na figowiec ni jeden podróżny,
Gdy wydał. owoc, chcąc zań pochwały po trudzie
— Pogięli i gałęzie złamali mu ludzie.

Leonardo da Vine’
(Z prozy na wiersz przerobił L. Staff)

41.

Nieskończoność

Lubiłem zawsze to samotne wzgórze
I ten drzew szpaler, co nie daje oczom
W widnokręgowym utonąć lazurze.
Kiedy tam siedzę i dumam, duch tworzy
Świat nowy — pustych, milczących przestworzy —
I marzy ową uroczystą ciszę,
Gdzie nic nie wstrząśnie serca. A gdy słyszę
W dole huczący wiatr, tę nieskończoną
Cichość i głos ten, *a* potem ich sprzeczność
W myśli mej ważę, to czuję w nich wieczność,
Epokę zmarłą i dawno minioną —
I teraźniejszość, w której tętni życie.
Tak w nieskończonść myśli moje toną:
— I słodkie mi jest w morzu tern rozbicie.

Giacomo Leopardi. (1798-1837)
(Tłum. Edward Porębowicz)»

42.

Excelsior

Szybko zapadał wieczorny mrok;
Alpejskiem siołem przez górski stok
Szedł młodzian, niosąc w śniegu i lodzie
Sztandar z tem dziwnem godłem na przodzie:
Excelsior!

Czoło miał smutne, ale z pod brwi,
Jakby miecz z pochwy, oko mu lśni;
Jak srebrnej fletni głos kryształowy,
Dźwięczny ton jego nieznanej mowy:
Excelsior!

Widzi on światło szczęśliwych chat,
Jasny i ciepły domowy świat;
Nad nim lodowców groźne widziadła —
Więc smutna skarga z ust się wykradła:
Excelsior!

“Nie próbuj przejścia!” — rzeki starzec doń
“— Burza nad głową, potoku toń
“Wezbranym nurtem huczy w parowie!”
Na to donośny głos ten odpowie:
Excelsior!

“Stój! — rzekło dziewczę — zmęczoną już
“Na mojej piersi głowę swą złóż!”

Łza w modrem oku błysła promieniem
Lecz odpowiedział tylko westchnieniem:
Excelsior!

“Strzeż się gałęzi, idąc przez bór,
“Strzeż się lawiny lecącej z gór!”
Tern go wieśniacy słowem żegnali...
A głos im odparł na górze w dali:
Excelsior!

O świcie kiedy niebieska straż
Uczniów Bernarda chyląc swą twarz,
Zanosi w niebo modły gorące,
Ten okrzyk przedarł powietrze drżące:
Excelsior!

Wędrowca wierny odnalazł pies:
On w śnieżnej zaspie znalazł swój kres;
Lecz trzyma jeszcze w ręku skostniałem
Ten sztandar z godłem dziwnem a śmiałem:
Excelsior!

Tam w szarem świetle porannych zórz,
Martwy, lecz piękny spoczywa już
A z toni niebios pogodą tchnącej,
Głos nakształt gwiazdy mknie spadającej:
Excelsior!

Henry Wadsworth Long-fellow. (1807-1882)
(Przekład Adama Asnyka)

43.

Wiejski Kowal

Pod rozłożystym stoi kasztanem
Kuźnia wśród wiejskiej ustroni;
Silny, barczysty kowal w niej panem,
O grubej żylastej dłoni.
A jego ramion mięśnie stalowe
Potrafią złamać podkowę.

Włos kędzierzawy, czarny i długi,
Twarz jego jak dębu kora;
Po czole potu spływają strugi,
Od rana aż do wieczora.
Lecz patrzy dumnie z swojego domu,
Gdyż nic nie winien nikomu.

Przez cały tydzień z pod jego strzechy
Słychać gwar dziennej roboty,
Słychać sapiące powietrzem miechy
I spadające w takt młoty,
Które tak dźwięczą czysto i śmiele
Jak dzwony w bliskim kościele.

Powracająca dziatwa ze szkoły
Przez drzwi zagląda z rozkoszą...
Bawi ją widok ognia wesoły
I miechów, co się podnoszą,
I pryskających na wszystkie strony
Iskier ze sztaby czerwonej.

W niedzielę zato, w skupieniu ducha,
Czeladce on towarzyszy,
Świątecznych modłów i kazań słucha....
A kiedy śpiewy posłyszy,
Głos córki w świętem poznając pieniu,
W głębokiem duma wzruszeniu.

Ten sam co matka, głos ma dziewczyna;
Lecz matka śpiewa u Boga...
Więc z rozrzewnieniem o tej wspomina,
Co jeszcze w grobie mu droga —
I szorstką dłonią ociera oczy,
Skąd łza po twarzy się toczy.

Tak w trudzie, w smutku, cichem weselu,
Przez życie idzie swym torem;
Rano -— zadanie świeże na celu,
A koniec pracy — wieczorem;
I co dzień świeże zbierając żniwo
Na noc zarabia szczęśliwą.

O, przyjacielu, przyjm dziękcynienia
Za tę naukę nam daną:
Tak w kuźni życia pośród płomienia
Do pracy wstawać trza rano
I każdy zamiar, każdy czyn potem
Pod twardym urabiać młotem.

Henry Wadsworth Longfellow. (1807-1882)
(Przekład Adama Asnyka)

44.

O Rzeczywistości

Miło, gdy wichry mącą powierzchnię na ogromnem morzu, miło jest patrzeć z brzegu na wielki trud innego, nie żeby czyjaś męka sprawiała przyjemność i rozkosz, lecz że miło jest widzieć, jakich utrapień sam nie dozna jesz. Miło jest także oglądać wielkie zapasy wojenne, toczone po polach bez twego udziału w niebezpieczeństwie. Ale niemasz nic słodszego, jak zajmować wyniosłe, dobrze uwarowane uczonością mędrców, pogodne przybytki, skąd można spozierać na innych i widzieć ich wszędzie, jak błądzą w rozprószeniu, szukając drogi życia, współzawodniczą w zdolnościac, idą o lepsze w dostojności rodu, noce dnie trawią na nadludzkim trudzie, by tylko wypłynąć na szczyty potęgi i owładnąć światem. O nędzne umysły ludzkie, o serca rażone ślepotą! W jakich mrokach życiowych i w jak strasznych niebezpieczeństwach mija ta odrobina żywota! Zali można nie widzieć, że natura o nic innego się nie dopomina, jak jeno ażeby bez bólu, oddalonego od ciała, zażywać umysłem przyjemnego uczucia bez troski i lęku? Widzimy tedy, że cielesnej naturze niewielu rzeczy naogół potrzeba, a wszystkie co ból odejmują, mogą jeszcze być źródłem wielu wielkich uciech. Choć po komnatach złociste posągi młodzianów nie dzierżą w prawicach jarzą-

cych się głowni, by nocnym biesiadom nie zabrakło światła, choć dom nie lśni od śrebra i nie skrzy się od złota, ¡choć nie odbrzmiewają lutni wycinane i złocone stropy, to milej nieraz, jako że tych rzeczy natura zgoła nie pożąda, rozkłada się grono przyjaciół na miękkiej murawie, opodal strumienia wody, pod konarami wysokiego drzewa i bez wielkich zachodów ucztuje wspaniale, zwłaszcza gdy sprzyja pogoda, a pory roku obsypują kwiatami zielone trawy. I z ciała nie ustępują gorączkowe żary rychlej, jeśli się miotasz na wzorzystych kobiercach i na czerwonej purpurze, niż gdy leżeć trzeba na nędznym barłogu. Skoro więC w naszem ciele nic nie sprawiają ni skarby, ni ¡dostojność rodu, ni sława z królowania, to myśleć pono należy, że i duchowi żadnej nie niosą pomocy. Chyba, że kiedy widzisz, jak harcują f,) rozległem polu w udanych zapasach wojennych twoje legjony, skrzepione potężnemi posiłkami i silną konnicą, posągi, okryte zbroją i jednym ożywione duchem, chyba że wówczas przerażone temi rzeczami zabobony pierzchają ci trwożnie z ducha, a strachy przed śmiercią wówczaC pierś ci zostawiają swobodną i bez troski wolną, kiedy widzisz harce floty i jej szerokie zagony* Skoro jednak widzimy, że są to rzeczy godne śmiechu i urągowiska, naprawdę zaś ludzkie obawy i zajadłe troski nie lękają się ni szczęku oręża, ni srogich pocisków, lecz zuchwale zadają się z królami i mocarzami tego świata, nie szanują ni blasku złota, ni wspaniale lśniącej purpurowej

szaty, to czego wątpisz, że tę moc ma jedynie światłość nauki, zwłaszcza gdy w ciemnościach całe życie chroma? Albowiem jak dzieci biegają w popłochu i w ślepych ciemnościach wszystkiego się boją, tak my się boimy na świetle takich nieraz rzeczy, jakich zgoła więcej bać się nie należy, aniżeli owych strachów, urojonych przez dzieci W ciemnościach. Ten tedy ducha lęk i te ciemności muszą rozprószyć nie słońca promienie, ni jasne dnia pociski, leez dokładne i głębokie poznanie natury.

Lukrecjusz. (Zmarł około 51 r. przed Chr.J
(Przetłumaczył Adam Krókiewicz)

45.

Pocnwała boksu

Pośród wielu zajęć intelektualnych wypada czasem człowiekowi czasów naszych zwrócić uwagę na ciało swoje, a specjalnie na ćwiczenia wzmagające siły jego, zręczność i wszystkie zalety tego pięknego, zdrowego zwierzęcia, wzbudzającego respekt w przeciwniku, gotowego do spełnienia Wszystkiego, czego życie odeń wymaga.

Przyjrzawszy się dobrze samym sobie, mu.-simy, zrzuciwszy pychę z serca, przyznać, iż zaliczamy się do istot najgorzej obronnie wyposażonych, nagich jak żadne inne, kruchych, miernych, poprostu najnędzniejszych pod słońcem.

Weźmy do porównania naprzykład owady, tak doskonale przysposobione do ataku, tak fantastycznie, rzec można, opancerzone. Spójrzmy na mrówkę bodaj, którą można bez żadnej szkody, bez jakiegokolwiek wrażenia niemiłego przytłoczyć ciężarem, przekraczającym dziesięć, lub dwadzieścia tysięcy nawet razy ciężar jej ciała.

Kierując się logiką przyrodzoną, wzorem innych istot żywych, winnibyśmy korzystać z prawa używania broni potężnej tylko w walce z wrogami innego gatuku, a stosować wobec podobnych sobie jedynie te środki atakow[7]ania i obrony, jakich dostarcza nam własne ciało.

Gdyby ludzkość liczyła się z wyraźnym zamiarem natury, pięść, będąca człowiekowi tern, czem jest róg dla wołu, a ząb i pazur dla lwa, starczyłaby w zupełności dla celów obrony, wymiaru sprawiedliwości i zemsty.

Kopnięcie konia, cios rogów byka, ukąszenie psa mechanicznie i anatomicznie doskonałe i ulepszyć ich nie podobna. My tylko nie umiemy wymierzyć jak należy ciosu pięścią.

Nie wiemy nawet, jaką jest właściwa broń naszego gatunku. Zanim, nauczyciel po wielu trudach i wysiłkach nie wyuczy nas metodycznie co czynić mamy, niezdolni jesteśmy wyzwolić skoncentrowanej w naszem ramieniu, olbrzymiej stosunkowo siły i posłużyć się bronią, jaką jest zjednoczona energja kinetyczna rąk, grzbietu i miednicy. Przykry nad wyraz widok przedstawia bójka dwu woźniców, czy chłopców zwaśnionych i

rozgrywających doraźny pojedynek. Po obfitem i niewybrednjrm obustronnym tuszu obelg i pogróżek chwytają się za gardła, za włosy, kopią się, drapią i popychają wściekli, a nieruchomi niemal. Żaden nie chce puścić drugiego, a gdy któremuś uda się wyswobodzić ramię, bije wówczas na oślep, często wymierzając w próżnię drobne, szybkie, słabe, dziecięce, naiwne, bezcelowe ciosy, tak, że bitka nie skończyłaby się nigdy, gdyby nie wychynął nóż zdradziecki niemal spontanicznie z jednej lub drugiej kieszeni.

Spójrzmy teraz na dwu bokserów. Nie miotają niepotrzebnych słów, nie wahają się ,co czynić, nie płoną gniewem. Spokojni są, pewni, świadomi swego zadania. Atletyczna postawa obronna, jeden z najpiękniejszych gestów męskiego ciała ujawnia logicznie całą muskulaturę organizmu. Nie idzie na marne ani odrobina siły od stóp do głowy. Każda cząsteczka posiada swój biegun W jednej z pięści potężnych, przesyconych utajoną energją. Następuje atak szlachetny w prostocie swojej. Trzy jeno ciosy, nie więcej, będące owpcem wiekowego doświadczenia wyczerpują z matematyczną dokładnością tysiące bezużytecznych możliwości, stosowanych przez profanów. Trzy ciosy syntetyczne, nieodporne, nie podlegające udoskonaleniu. Z chwilą kiedy jeden z nich dosięże jawnie i otwarcie przeciwnika, walka ustaje ku. zupełnemu zadośćuczynieniu zwycięzcy, któremu triumf jest tak niezaprzeczalny, że nie czuje żadnej chęci nadużywania zwycięstwa. Zwy-

ciężonemu nie zagraża też żadne niebezpieczeństwo, jest on poprostu doprowadzony do wyczerpania, czy bezwładu i nieprzytomności, trwającej zazwyczaj dość długo, by uraza miała czas pierzchnąć i ulotnić się bez śladu. Niebawem pokonany wstaje i okazuje się, że nie poniósł obrażenia ciała, pociągającego poważniejsze skutki, albowiem odporność kości ludzkich i organów ciała jest ściśle i naturalnie ustosunkwaną do siły ramienia człowieka, który wymierza ciosy.

Maurycy Maeterlinck. (1862)
(Tłum. F. Mirándola)

46.

List otwarty do króla Karola Alberta

Najj aśniej szy Panie!

Ozyś nigdy nie objął spojrzeniem, jednein orłem spojrzeniem z liczby tych, w których objawia się świat, Italji, kraju cudnego jak uśmiech natury, uwieńczonego dwudziestu wiekami wspomnień podniosłych, ojczyzny genjuszu, kraju, którego potędze, rozpętaniu skutych w nim możliwości brak tylko jedności, tych Włoch, strzeżonych tak dobrze przez naturę, że jedna mocna wola i kilka piersi mężnych starczą za mur ochronny przed zniewagą obcych? I czyś nie powiedział nigdy: krajowi temu sądzone przeznaczenie wielkie? Czyś się nie przyjrzał nigdy temu ludowi, zawsze wspaniałemu mimo cień niewoli roz-

postarty nad jego czołem, wielkiemu przez swój instynkt życia, przez światło swej inteligencji, przez ^noc namiętności straszliwych lub niedorzecznych, gdyż inne umierają zduszone w dzisiejszych warunkach, gdyż niema miejsca na inne, choć są jednakże one czynnikami, z których Powstają narody? Czyś się przyjrzał dobrze narodowi temu, który jest wielkim naprawdę, skoro klęski nie ftiogły go złamać, nie mogły mu odebrać nadziei?

Czy nie zrodziła się w głowie twej myśl: stwórz, jak Bóg z chaosu, świat z tych rozpierzchłych atomów, połącz rozproszone członki i powiedz: Włochy należą całe do mnie i są szczęśliwie, Będziesz wówczas wielki jak Bóg i Stwórca i dwadzieścia mil jon ów ludzi zawoła: Bóg jest w niebiesiech, Karol Albert na ziemi.

Królu, sam tę ideę wyznawałeś, krew wrzała W twych żyłach, gdy ci się objawiła ona idea w Aureoli chwały i nadziei, idei tej poświęciłeś sen niejednej nocy, dla niej stałeś się spiskowcem. Bacz, byś się nie wstydził tego, królu! Niema' ha świecie zadania świętszego nad dzieło spiskowca: mściciel ludzkości — jest tłumaczem praw Wiekuistych natury. Czasy nie sprzyjały nam Wówczas. Lecz czyżby przeciąg lat dziesięciu, czyż korona niepewna zniweczyć zdołały ukochanie twej młodości, marzenia nocy twoich?

Ą jeśli naprawdę dusza twa, królu, umarła dla orlich myśli; jeśli panując, pragniesz być tylko godnym następcą poprzedników nędznych i małych; jeśli masz duszę wasala, zostań wtedy

gdzie jesteś, pochyl głowę przed berłem teutońskiem i bądź tyranem, ale tyranem prawdziwym.

• Jeden bowiem krok jeszcze i Austrja, ta Austrja, której się tak boisz, będzie twym wrogiem. Austrjak nie ufa tobie, spróbuj wszakże rzucić mu pod nogi dziesięć, dwadzieścia głów, podwój ciężar kajdan, dźwiganych przez żywych, odpłać mu przywiązaniem bezgranicznem za pogardę, którą ci okazał dziesięć lat temu, a być może wtedy tyran Włoch zapomni, żeś niegdyś spiskował przeciw niemu, pozwoli ci, być może, strzec dlań tej zdobyczy, na którą ostrzy zęby od 1814 roku.

Jeżeli zaś słowa przeniosą duszę twoją do chwili, gdy ambicja twoja sięgała wyżej niż po koronę wasala rakuskiego, jeżeli obudzą w tobie głos: Urodziłeś się do czynów wielkich, — ach, idź za tym głosem: to głos genjusza, głos czasu, który cię woła przez pochód wieków ku nieśmiertelności, to głos całej Italji, czekającej jednego jedynego słowa, by stać się twoją. Wypowiedz je. Stań na czele narodu i wypisz na swym sztandarze: Jedność, Wolność, Niepodległość! Zapowiedz świętość myśli! Ogłoś się mścicielem, tłumaczem praw narodowych, odrodzicielem Włoch! Uwolnij Włochy od barbarzyńców! Zbuduj przyszłość! Nadaj wiekowi swe imię! Rozpocznij od siebie nową erę!

Królu! zadanie to może się wydać ponad siły dla ludzi, umiejących cenić tylko przewagę liczebną, dla ludzi, którym się wydaje, że przewroty państwowe jedną tylko drogą dokonać się mogą:

drogą układów i targów. Lecz twoja droga wtedy tylko stanie się drogą pewnego triumfu, gdy potrafisz w całej pełni zrozumieć położenie swoje; powiedz sobie twardo i mocno, żeś to ty właśnie powołany jest do spełnienia wysokiej misji, jeśli potrafisz działać jawnie, nieodwołalnie i energicznie.

Opinja powszechna, królu, jest potęgą, która równoważy wszystkie inne. Tajemnica wielkich czynów kryje się nie w zawieraniu traktatów, jeno w odgadywaniu ducha czasu. Wola jest tajemnicą potęgi. Wybierz drogę, zgodną z myślą całego narodu, trzymaj się jej niezłomnie, bądź stanowczym i wybierz odpowiednią chwilę — zwycięstwo jest w twoich rękach. Królu, jeśli ty działać nie będziesz, będą działać inni, bez ciebie i przeciw tobie.

Nie daj się zwieść oklaskom ludu, które cię witały pierwszego dnia panowania twego; wniknij w przyczynę twych oklasków, spytaj myśli tłumów: oklaski wybuchły, gdyż witając ciebie, witają nadzieję, gdyż imię twe było imieniem człowieka z roku 1821! Zawiedź to oczekiwanie, a dreszcz wściekłości zastąpi poprzednią radość, która osnuta była tylko na nadziei, tylko na przyszłości.

Królu! Powiedziałem ci całą prawdę. Ludzie wolni czekają twej odpowiedzi w czynach. Lecz niezależnie od tego, jaką ta odpowiedź będzie, bądź pewnym, że potomność cię ogłosi:

pierwszym wśród mężów Italji lub ostatnim z liczby jej tyranów.

Wybieraj [

Giuseppe Mazzini. (1805-1872)
(Tłum. S. Posner)

X

47.

Sonet do Le Vayera na śmierć jego syna

Nie broń wylewać oczom swym łez, Le Vayerae:
Żałoba twoja słuszna, chociaż nie zna tamy;
Gdy na zawsze się traci to, co los ci bierze,
Wiera mi płakać przystoi i mądrości samej.

Próżno z stu sposobami wchodzimy w przymierze,
By bez łez na zgon patrzeć tego, co kochamy.
Barbarzyństwo to w oczach wszechświata
i zwierzę
Zdradza raczej, niż cnotę, której cześć składamy.

Prawda, drogiego syna nie wróci łez siła,
Gdy ci go niespodziana śmierć uprowadziła;
Niemniej jednak są srogie twej straty katusze.

Cześć w wszystkich cnoty jego budziły
najprawsze:
Miał wielkie serce, piękny umysł, piękną duszę?
A rzeczy to, po których płakać trzeba zawsze.

Moliere. (1622-1673)
(Tłum. Leopold Staff)

48.

Błahostka

żywot jest marny:
Miłości cień,
Złości wiew parny..
I — dobry dzień!

Żywot jest krótki:
Nadziei moc,
Marzenia, smutki...
I — dobra noc!

Leon Montenacken.
(Tłum. Miriam)

49.

Na filiżankę z Satzumy

Serce — krucha filiżanka,
Co naprzemian trochę gości,
Zanim pryśnie jak mdła pianka,
Nienawiści i miłości.

Jeśli chcesz zachować długo
Sprzęt ten wielkiej wrażliwości,
Nie lej weń kipiącą strugą
Nienawiści ni miłości.

Aby z krwią w żył twoich kiści
Wciąż drgać mogły namiętności,
Obojętność — w nienawiści,
Spokój pomnij mieć w miłości.

Leon Montenacken
(Tłum. Miriam)

50.

Ostatnia róża lata

Ostatniej róży lata
Samotny płonie kwiat;
Odeszły ją towarzyszki,
Zagasł ich wdzięk i zbladł,
żadna się nie nachyli,
By ją całować w skroń,
Zrumienić się jej rumieńcem
Oddać jej woń za woń.

Nie będzie schnął w pustkowiu
Twój krzew samotny ten!
Gdy inne już posnęły,
I ty zapadnij w sen.
Pozrywam ja twe listki,
Rozrzucę je na śnieg,
Gdzie drogich przyjaciółek
Z warzony pokos legł.

I ja tak niechaj zginę,
Gdy przyjaźń znajdzie kres,
Gdy jasny krąg miłości
Zmieni się w krople łez;
Gdy wierne serce zamrze,
'A słodkie pójdzie już,
Któż chciałby jeszcze zostać
W tym świecie mgieł i burz?,..

Tomasz Moore. (1779-1852)
(Przekład Jana Kasprowicza)

51.

Morlach w Wenecji

Gdym ostatniego cekina 'postradał,
I gdy mnie chytra zdradziła niewiasta,
Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
“Dymitry! Pójdźmy do morskiego miasta:
Piękne dziewczęta znajdziem w jego murach
I grosza więcej, niż kamieni w górach.

żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą
I dobrze pi ją i dobrze się bawią:
Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą
I bogatego do domu wyprawią.
Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błyśnie,
Na srebrnym sznurku twój kindźał zawiśnie.

Gdy wnijdziesz do wsi — kędy się. obrócisz,
Do okien będą cisnąć się kobiety,
A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
Będą ci sypać do czapki bukiety.
Pójdźmy, Dymitry. Do okrętu wsiędziem,
Pojedziem w miasto i bogaci będziem.”

Wierzyłem, głupi, rzuciłem ojczyznę
I, góral, wszedłem w ten okręt z kamienia.
Tu czuję w chłebie powszednim truciznę,
W powietrzu darmo szukam odetchnienia;
Ni wolnej myśli, ni wolnego ruchu —
Przykuty zdycham, jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziewczętom rozwodzę me żale,
Dziewczęta szydzą z mojej obcej mowy:
Tu nawet moi rodacy górale
Przyjęli język i obyczaj nowy.
Jestem, jak drzewo, przesadzone w* lecie:
Słońce je spali, a wicher rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego!
Wszystko to byli przyjaciele starzy.
“Witaj — wołali — synu Aleksego!”
Tu nie spotykam żadnej znanej twarzy:
Jestem jak mrówka, wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie.

Z Serbskiego
(Tłum. Adam Mickiewicz)

52.

Do Ninon

Gdybym ci jednak rzekł, że kocham cię szalenie,
Kto wie, cobyś odrzekła, czarowna ma pani?
Miłość — sama wiesz dobrze — to wielkie cierpienie,
To ból straszny — ty znasz go, świadczy to wstchnienie;
Możebyś jednak chciała ukarać mię dla niej.

Gdybym ci rzekł, że czas ten, gdy milczałem stale,
Był mi mąk i pożądań bezrozumnych zdrojem —■
Pani, tyś przenikliwa i lubisz niedbale
Poznać się, niby wróżka, na miłosnym szale —
Możebyś mi: “Wiem!” rzekła z zupełnym spokojem.

Gdybym ci rzekł, że słodkie, szalone pragnienia
Zrobiły ze mnie cień twój, co twych kroków strzeże:
Minka melancholijna i pełna zwątpienia,
Ty wiesz, pani, miluchno twarz twoją ocenia;
Możebyś mi odrzekła wpół smutno: “Nie wierzę.”

Gdybym ci rzekł, że w duszy przechowuję na dnie
Z każdej naszej rozmowy najdrobniejsze słowo;
Wzrok obrażony — pani, myśl twa łatwo zgadnie
W dwie błyskawice zmienia twe oczy tak ładnie;
Możebyś mi kazała wyjść, z minką surową.

Gdybym ci rzekł, że czuwam co noc, wsparłszy
głowę,
że modlitwą i płaczem witam ranne zorze;
Pani, ty wiesz, uroki śmiech ci daje nowe,
W nim pszczoła za kwiat weźmie twe ustka
wiśniowe.
Gdybym ci to powiedział, śmiałabyś się może.

Ale ty tego nie wiesz, — jam nakształt kielicha
Zamkniętego, gdy siadam z tobą na uboczy;
Słyszę głos twój, pierś twojem powietrzem
oddycha
Ty możesz odgadywać, wątpić, śmiać się zcicha,
Nic — coby mniej słodkiemi zrobiło twe oczy.

Ja kwiecie tajemnicze, wonne zbieram w ciszy:
W wieczór melodji dźwięków słucham z upojeniem,
Które dłoń twa powiewna dobywa z klawiszy,
A kiedy w wirze walca pierś twa szybciej dyszy,
Jak gniesz się w mem objęciu, odczuwam
ze drżeniem.

A w nocy, kiedy świat nas rozdzieli zazdrośnie,
Gdy, wróciwszy do domu, w myślach się zagrzebię,
— Serce tysiącem wspomnień burzy się i rośnie,
I sam, sam jeden z Bogiem, jak skąpiec, radośnie
Otwieram ten swój skarbiec, pełny tylko ciebie.

Kocham — i umiem mówić z tobą obojętnie,
Kocham — i nie znać tego; że kocham — wiem
jeden;

Drogą mi tajemnica, choć wrę namiętnie;
Przysiągłem, że nadziei zrzekam się doszczętnie,
Lecz nie szczęścia; — widzę cię — to mój raj, mój eden!

Bo nie dla mnie najwyższe szczęścia uniesienie,
By skonać w twych objęciach, życie niosąc w dani.
Wszystko mi to zwiastuje, nawet me cierpienie...
Gdybym ci jednak rzekł, że kocham cię szalenie,
Kto wie, cobyś odrzekła, ma czarowna pani?

Alfred de Musset. (1810-1857)
(Tłum. Miriam)

53.

Dzień dobry, nędzo!

...Kto we drzwi moje kołata? —
Dzień dobry, Nędzo! Nie strasznaś mi wcale.
Wejdź w próg mój ty — lodowata!
Wyprostowana, jak żołnierz na wale,
Przyjmuję ciebie, bezzębny szkielecie,
W twarz ci się śmiejąc... Patrz przecie! —

Nie dosyć? — Ha, postąp krokiem!
Dalej, upiorze ohydny, przeklęty!
Zabij nadzieję twym wzrokiem,
Rozszarp mi piersi szponami na szczęty,
Rozciągnij czarne skrzydła do ostatka
Nad łożem, gdzie kona — matka!

.Wścieknij się! — i cóż ci znaczy
Ta młodość moja i to życe moje?
.Przecież nie! Ty mnie nie ujrzysz w rozpaczy
Upadającą! Ja — stoję!
Nad rumowiska, nad wichry, zamieci
Mych lat dwudziestu kwiat świeci.

Nie wydrzesz mi boskiej siły,
Co w sercu mojem płomieni się żywa?
I nie zatrzymasz u szczęścia mogiły,
W promiennym locie, który mnie porywa!
O, czarna ksieni, twe jady nie mogą
Zabić mnie! Idę mą drogą.

Patrz, co na świecie jest słońca,
Ile róż młodych pąki rozwija!
Słuchaj, jak piosnka dzwoniąca
Z gniazd skowronkowych ku niebu się wzbija..«-
Co wzlotów ducha w nadziemskie przestrzenie,
Jakie namiętne piór drżenie.

Wiedźmo ty blada, bezkrwista,
Której trupie oblicze chusta czarna kryje,
<— Jam dziecko ludu! Ognista
Krew, nowa, świeża krew w mych żyłach bije!
Depcę twe groźby! Depcę mroków troski!
W przyszłości lecę świt boski!

Za berło chwytam królewskie
Pracy, przed którem tronem ludy kiedyś klękną!
Za natchnień światło niebieskie,

Za nieśmiertelnej sztuki wieczne piękno!
Uśmiech lazurów chwytam, wonie kwiatów,
Gwiazd pocałunki i światów!

Ty — mijasz, czarna władczyni,
Jako złowróżbna chmura, co blask kiyje słońca,
A ziemia jasną się czyni, —
Z czerni — fijołków, tchnie woń czarująca...
— I ja zrywam twe pęta i wśród skrzydeł bicia,
Lecę — i śpiewam hymn życia!

Ada Negri. (1870)
(Tłum. Marja Konopnicka)

54.

Prządka

Wirują szpulki, nić wije się żwawo...
    Ja śpiewam pieśni radosne,
Mam piękne oczy i chustkę jaskrawą,
    A w sercu miłość i wiosnę.

Gdy rudą grzywę rozwiążę, rozplotę,
    Gdzie słońce promień swój mruży,
Kto spojrzy rfa mnie, ma w oczach skry złote,
    A w piersi błyskanie burzy,

Idę i nie dbam, choć cudne nadzieje
    Szepce mi chwalca zuchwały,
Bo mam kochanka, co gdy się rozśmieje,
    Oddam za niego świat cały.

Kocham go! On król ognistej kuźnicy,
Szyny żelaza on zgina,
On panem młota! Rosły, śniadolicy,
Ja przy nim — ot, jak dziecina.

Gdy kuje sztabę od żaru czerwoną,
Gdy łuny grają mu w twarzy,
Gdy skry się sypią, gdy oczy mu płoną,
Gdy ciemną szyję obnaży, —

Jam taka dumna z mojego siłacza,
że nic o piekle, o niebie
Nie wiem, nie myślę — Bóg miłość przebacza —
A tylko chcę go dla siebie!

Kiedy go czekam w izdebca poddasza,
A chwila schadzki przemija,
Coś mi dech dławi, coś boli, przestrasza
I w serce jakby nóż wbija.

W tem krok znajomy po schodach się skrada,
Drzwi stukną, zaskrzypią progi,
A mnie drżą ręce, i zrywam się blada,
Jakby dostały piór nogi.

Od dymu czarny, od kochania jasny,
Z uśmiechem wchodzi schylony,
Już mnie przytulił, już w uścisk mnie ciasny
Drogiemi objął ramiony!

Ada Negri. (1870)
(Tłum. Marja Konopnicka)

55.

Dziedzic

(Podług obrazu T. Pattiniego)

Noc — deszcz — zawieja. — W pustej i zimnej
izbie poddasza
Uboga lampka niepewnym błyskiem ciemność
rozprasza.
Na gołej glinie trup sztywny leży, nie wie...
nie słyszy...
Pod żgłem śmiertelnem spoczął nareszcie i zasnął
w ciszy.
To wyrobnika potężne ciało, co aż do końca
Trwał w ciężkiej pracy, spalony żarem płodnego
słońca.. .
W rodzajnych polach, w winnicach złotych, w łąk
sianokosach,
W żywicznych lasów gęstwie i szumie, w trawach
i w rosach...
W kącie izdebki kobieta siedzi, bólem zmartwiała.
A dziecię igra na gołej ziemi tuż blisko ciała.
Nie wie co troska, co nędza nie wie, co prace
znojne....
Igra niewinne,' jasne, radosne, silne, spokojne.
A z mroków izby patrzą na niego mar dziwnych
oczy...
I wieją szmery, westchnienia wieją i szept
proroczy.

"... Z dzikich uścisków, w nędznej komorze
na świat zrodzony,
Jakiż los w górze, o, synu ludu, jest ci sądzony?
— Motyka ^ciebie czeka błyszcząca, i lemiesz pługa,
I skwar południa, i wicher burzy, i dżdżów
szaruga...
Zjadliwa febra, co ponad bagnem ryżowisk lata,
Pot uznojenia, czarny kęs chleba i ciemna chata!
Na co wyrośniesz tern slabem ciałem, żywionem
nędzą ?
W jakie cię winy ciemnoty poszept i głód twój
wpędzą ?”

(Ada Negri. 1870)
(Tłum. Marja Konopnicka)

56.

Trzeba nauczyć się kochać

Trzeba nauczyć się kochać. — Tak dzieje się z nami w muzyce: naprzód trzeba się wogóle jakiejś figury lub zwrotki nauczyć słuchać, dosłuchiwać, rozróżniać, odosabniać" jako pewne życie dla siebie i odgraniczać; potem trzeba trudu i dobrej woli, by ją znosić mimo jej obcości, mieć cierpliwość dla jej spojrzenia i wyrazu i dobrotliwość dla tego co w niej dziwne — w końcu przychodzi chwila, gdy do niej przywykamy, kiedy jej oczekujemy, gdy przeczuwamy, że brakłoby nam jej, gdyby jej zbrakło i teraz zniewala nas ona i wywiera swój czar ciągle, ciągle i nie prze-

staje dopóty, dopóki nie staniemy się jej pokornymi i zachwyconymi kochankami, którzy niczego lepszego nie chcą od świata, tylko jej i znowu jej. — Tak jednak dzieje się z nami nietylko W muzyce: właśnie tak nauczyliśmy się kochać .wszystkie rzeczy, które kochamy. Otrzymujemy ostatecznie zawsze nagrodę za naszą dobrą wolę, cierpliwość, sprawiedliwość, łagodność względem obcości — w tern, że obcość odrzuca zwolna swą zasłonę i nowe niewysłowione ukazuje piękno: — jest to jej podzięka za naszą gościnnść. —• Tak samo jeśli kto samego siebie kocha, nauczył się tego tą samą drogą. Niema żadej innej drogi. I kochać trzeba się uczyć.

Fryderyk Nietzsche. (1844-1900)
(Przełożył Leopold Staff)

57.

Z poezji Fryderyka Nietzschego.

Mędrzec mówi:

Tłumom potrzebny, choć gardzący tłumem,
płynę — to blaskiem słońc, to burzy szumem^
a zawsze — górą nad tym tłumem.

Moja srogość.

Sto szczebli wzwyż przejść trzeba mi,
a za mną skarga wasza brzmi:
“Tyś srogi sądzisz, żieśmy głaz?”

Sto szczebli wzwyż przejść trzeba mi,
a szczeblem być nikt nie chce z was!

Vademécum — Vadetecum.

Ty radbyś mieć mnie swoim wzorem
i za mną iśćby ci się chciało?
Postępuj tylko własnym torem,
a pójdziesz za mną! śmiało, śmiało!

Stracona głowa.

Ona ma rozum! — Skąd go ma ta pani?
Mężczyzna niegdyś stracił głowę dla niej;
mózg jego pono miał wielkie zalety, —
poszedł do licha! — nie, nie! — do kobiety!

Prawda.

Prawda —
kobieta, nic więcej!
Nieszczery jest jej wstyd:
¡nie chce się przyznać do tego,
co miećby chciała najbardziej;
palcami oczy zakrywa...
Czemu się podda? — tylko przemocy!
Użyjcie zatem przemocy!
srodzy mi bądźcie najmędrsi!
Pogwałcić ją trzeba,
— wstydliwą Prawdę!
Do szczęścia swego
potrzebuje przymusu,
<— bo jest kobietą, nic więcej.

(Przekład Jerzego Żuławskiego)

58.

Sonet 47.

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów, i dnia cząstka, i . owa godzina,
I chwila, i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczucia mi natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Skąd Amorek wygląda i łuczek napina.
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach! i dotąd strzela.

Błogosławię ci, pierwsza piosnko nieuczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potem ojczysta powtarzała strona.

Błogosławię cię, pióro, którem w czas daleki
Wsławiłem ją, i moja pierś błogosławiona,
W której Laura mieszkała i mieszka na wieki!

Francesco Petrarca. (1304-1371)
(Tłum. Adam Mickiewicz)

59.

* Sonet 96.

Chcecie wiedzieć, co cierpię, rówiennicy moi?
Odmaluję najwierniej, ile pióro zdoła.
Mary ja dotąd pośród pamiątek kościoła
Myślą gonię, i duch mój- o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, ówdzie zamyślona stoi,
Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła,
Tu gniewna, tam posępna, tu znowu wesoła,
Tu swe lica w łagodność, tam w powagę stroi.

Tam piosenkę nuciła, tu mi dłoń ścisnęła,
Tu usiadła, tam naszej rozmowy początek —•
Stąd biegła, tu na piasku imię moje kreśli.

Tam słówko powiedziała, tu zcicha westchnęła,
Tam się zarumieniła. — Ach, śród tych pamiątek
.Wiecznie pląta się serce i plączą się myśli.

Fr. Petrarca-
(Tłum. Adam Mickiewicz)

60.

Sonet 123.

Widziałem tu na ziemi anielskie uroki
I niebiańskie piękności, jedyne bez skazy;
Bo pierzchają z przed oczu, jak senne obrazy.
Gdy wspomnę, czuję rozkosz, razem ból głęboki:

Widziałem światła, przez łez patrzące obłoki —>
Których blask zazdrość słońca ^vidział tyle razy,
I słyszałem płynące w westchnieniach wyrazy,
Zdolne poruszać góry, powstrzymać potoki.

Miłość, rozum i cnota, tkliwość i cierpienie —-
W taką słodką harmonję w płaczu się zlewały,-’ ■
Jakiej usłyszeć ziemskie nie zwykły przestrzenie.

I tak się w tę harmonję wsłuchiwał świat cały,
że na gałązkach nawet listki się nie chwiały,
A słodycz wypełniała każde wiatru tchnienie.

Fr. Petrarea
(Tłum. Adam Asnyk)

61.

Kruk.

Raz w godzinie widm północnej
Rozważałem w ciszy nocnej
Mądrość dawnych ksiąg przesławnych
Zapomnianych dzisiaj już.
W tem znużoną chyląc głowę,
Na pożółkłe karty owe
Słyszę oto w nocną ciszę
Kołatanie do drzwi, tuż.
Gość to myślę, u podwoi,
Zapóźniony u dzwi stoi.
Pragnie wejść choć późno już.
Gość, lecz jaki? Któżby? 'Któż?...
' Grudzień to był wichrem śpiewny,
Lampy mojej blask niepewny
Kładł u stóp mych cienie drżące
Jak gasnących płatki róż.
Chciałem, nim dnia wróci białość
W starych księgach uśpić żałość,
Za promienną, rzadką dziewą
Gdzieś zniknioną w blaskach zórz.
Za straconą, opłakaną

Dziś Lenorą w Niebie zwaną
Co w dal senną, bezimienną
Poszła i nie wróci już.
Słyszę smętne snując mary
Purpurowej szum kotary.
Fantastycznym zdjęty lękiem
Nie wiem, co mam myśleć już.'[1]
Tłumiąc trwożne serca bicie
Chciałem lęk ów uśpić skrycie
Powtarzając: “U podwoi
Gość spóźniony jakiś stoi,
Pragnie wejść choć późno już
Cóż innego? Cóżby? Cóż?
Wreszcie płonnej zbywszy trwogi
Bez wahania szedłem w progi,
Gdzie u wnijścia, mego przyjścia
Czeka gość wśród nocnych burz.
— Panie! — rzekłem — czy też Pani!
Wasze lekkie kołatanie
Tak ostrożne, ciche, trwożne,
Ledwie do mnie doszło już.
Byłem senny, śniłem może,
Raczcie wejść, wnet drzwi otworzę.
Otworzyłem, lecz na dworze
Nic, prócz nocnych wichrów, burz.
Nie śmiąc wejść w te pustki ciemne
Stałem długo... Sny tajemne...
Marząc, jakich nikt śmiertelny...
W taką noc nie wyśni już.
A przedemną ciemność głucha,
Wicher tylko z jękiem dmucha,

Niosąc jedno imię smętne,
Tej, co gasła w blaskach zórz.
Imię to Lenora! śpiewne,
Wyrzekł ktoś... To ja zapewne
Sam je rzekłem w tę noc burz
Bo któż inny Któżby ? Któż ?
Więc na miejsce wracam dawne,
By znów badać księgi sławne
Lecz znów słyszę, w nocną ciszę
Kołatanie, bliżej, tuż!
Czując żar płonący w łonie
Myślę: “...chyba w nocnej toni
Wicher w szyby okien dzwoni,
Wiehr, co jęczy w tę noc burz.
Ono w ciemną noc otworzę
Wicher w szyby dzwoni może
Cóż innego! Cóżby Cóż?
Otworzyłem. I wnet potem
Szumnym, pewnym, równym lotem
Czarnopióry kruk wspaniały
Prosto do mnie leciał już.
Ni się wstrzymał, ani zbaczał,
Ku dzwi moim lot zataczał
Gdzie u góry biust Pallady
Jak domowy świeci stróż.
Na Pallady posąg biały
Wzleciał czarny kruk wspaniały
Czarnonióry demon burz.
Nie chcąc by gość hebanowy
Przejrzał marzeń mych osnowy
, Nawał mętnych myśli smętnych

Co mój duch obiegły już.
Rzekłem siląc się na żarty:
— Choć czub nosisz mocno zdarty,
Wiem, żeś nie jest zwykłym kurem
Co przy ziemi gdacze tuż.
Tyś wędrowny kruk prastary
Co piekielne rzucił mary
Z Plutonowych spiesząc wzgórz
Powiedz jak cię tam nazwano?
Jakie nosisz wśród nich miano
A kruk rzecze:
— Nigdy już!

Lęk ogarnął mnie bezradny,
Na ten dziw tak bezprzykładny,
że się do mnie ten twór ptasi
Tak odrazu ozwał już.
Bo pomyślcie tylko sami!
Jak to dziwnie!? gdzieś nad drzwiami
Kędy biały biust Pallady
Jak domowy świeci stróż
Widzieć taki twór ponury,
Wyschły, straszny, czarnopióry
Co się zowie:
— Nigdy już!

Na popiersiu cicho tkwiący
Siedział czarny kruk milczący
Jakby w słowie, które wyrzekł
Całą duszę zawarł już.
Więc ja w smętnej rzekłem mowie:
— Jak odbiegli mnie druhowie
Jak nadziei jasne gońce.

W zmierzch wieczornych zgasłych *zórz,*
Tak nim ranny brzask zaświeci
Gość skrzydlaty mnie odleci!
A kruk rzecze:
— Nigdy już!

Słysząc znów tak trafną mowę,
Rzekłem wznosząc trwożnie głowę,
Gdzie nad cichą biel posągu
Wzleciał czarny demon wróż.
•— Bez wątpienia, w słów twych treści
Echo. się dalekie mieści,
Myśli smętnych mar natrętnych,
Co odległy w tę noc burz,
Pewien duch, którego śladem,
Idzie troska z czołem bladem,
Wiecznie za nim kroczy tu
By w niezmiennej mu kolei
Nucić zgasłych pieśń nadziei
Jedną zwrotkę:
— Nigdy już!

Lecz znów chciałem pokryć śmiechem
Lęk i smutek. Więc z pośpiechem -
Odwróciłem krzesło w stronę
Gdzie posępny zasiadł wróż
Potem twarzą w twarz patrzący,
Jąłem sam rozważać drżący,
Co chciał rzec ten cicho tkwiący
Czarnopióry poseł burz?
Jakie mógł złowróżbne mary?

Snuć upiorny kruk prastary
Kracząc swoje:
— Nigdy już!

Na poręczy wsparłem głowę
Wciąż domysły snując nowe,
Już nie rzekłszy nic do ptaka,
Co nad biustem siedząc tuż
Oczy we mnie wpił błyszczące,
Jako żagwie dwie płonące,
Paląc serce mego łona
Jak pożarnych ogniem zórz.
I tak dziwnych mar osnowie
Czoło wsparłem o wezgłowie
Gdzie się kładły mętne blaski
Jak opadłych płatki róż.
Na wezgłowiu głowę kładę,
Gdzie Lenory czoło blade
Już nie spocznie nigdy już!
Naraz w nocnej ciszy łonie
Słodkie się rozeszły wonie,
Jakby miękko, cicho ręką
Ktoś wonności rozlał kruż,
Chłonąc wonnych dym kadzideł,
Usłyszałem jakby skrzydeł,
Jakby lekkich stóp anielskich
Cichy szelest blisko, tuż!
— Panie! — rzekłem Ty łask zdroje
Przez anioły szlesz mi swoje,
Balsamicznych lek nektarów
Gdzieś z niebiańskich zsyłasz zórz,
Przychyl ustom wonnej czary,

Bym przepomniał smętnej mary
A ból we mnie zmilknie stary
A kruk rzecze:
—• Nigdy już!
— Kruku! — rzekłem — Hej wróżbito!
Czarnych potęg zły najmito!
Czy piekielnych mocy wróż?
Powiedz czyś ty twór śmiertelny
Z jakich burz niezlękłych gromem
Nad tym smętnym zwisłeś domem
Jakby nocnych wichrów złomem,
Z Plutonowych zwiany wzgórz.
Powiedz błagam wróżu stary!
Czy te rajske wód nektary?
Czy ta Serafinów dłonią
Kołysana wonna kruż
Zniszczy we mnie żalu piętno,
Za Lenory marą smętną
A kruk rzecze:
— Nigdy już!
— Kruku! — rzekłem zów — wróżbito!
Czarnych potęg zły najmito!
Nie wiem czyś ty twór śmiertelny?
Czy piekielnych poseł burz?
Lecz na święte Niebios godło
Co z nicości nas wywiodło
Powiedz, błagam dziwny ptaku!
Z Plutonowych zwiany wzgórz
Mów! czy ból mój i tęsknota,
Za Edeńskie spłyną wrota,
Gdzie Lenory duch promienny

Wśród niebiańskich gości zórz
Czy w Edeński kraj daleki
Wnijdę złączeń z nią na wieki?
A kruk rzecze:
— Nigdy już!

Więc gniew we mnie wezbrał mocny
I krzyknąłem: ptaku nocny!
Niech cię znów na zrąb piekielny
Grom niezlękłych niesie burz.
Zwiń te skrzydła co się ścielą
Nad posągu cichą bielą.
Zdejm mi z serca dziób twój ptas?
Co jak ostry razi nóż.
<Niechaj kłamny twój byt zgaśnie
Jak przebrzmiałych echo baśni,
Snem śmiertelnym cicho zaśnij!
W bezpamiętnych toni mórz.
Precz odemnie! W kraj daleki
Odejdź stąd, lub zgiń na wieki
A kruk rzecze:
— Nigdy już!

I wciąż siedzi cicho tkwiący
Kędy blady biust Pallady
Czarnopióry kruk milczący
Jak domowy świeci stróż.
A wzrok jego w snów pomroce
Błyskiem dziwnych skier migoce
Jak sennego wzrok demona,
Co z piekielnych spłynął wzgórz.
Lampy mojej światłość blada
Na twór ptasi cicho pada

Czarnopióre cienie drżące
U stóp moich kładąc tuż.
A z tych cieni co się włóczą
U stóp moich marą kruczą
Już mnie żadne moce władne
Nie wyzwolą
— Nigdy już!

E. A. Poe. (1809-1849)
(Przełożyła Barbara Beaupre)

62.

Psałterz Dawidów.

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całym prawie sercem ufa Jemu,
śmiele rzec może: mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga.
Ciebie on z łowczych sideł wyzuje
I w zaraźliwym powietrzu ratuje;
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,.
Pod jego pióry ulężesz bezpiecznie.
Stateczność Jego tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny.
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.
Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Stąd drugi tysiąc: ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny, a ¿ty przedsię swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemu
Iżeś rzekł Panu: Tyś nadzeja moja.

Iż Bóg Najwyższy jest ucieczka twoja:
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się najdzie w domu twoim szkoda.
Aniołom swoim każę cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz: którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś, idąc drogą,
Na ostry krzemień nie ugodził nogą.
Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.
Słuchaj, co mówi Pan: iż mię miłuje,
A przeciwko mnie szczerze postępuje,
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapomnę, i owszem wspomogę;
Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie, ode mnie obrony '
Niech pewien będzie, pewien i zacności,
I lat sędziwych i mej życzliwości.

Jan Kochanowski.

63.

Przypomnienie

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I 'noc, wpół-przejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę —

Wtenczas mnie, samotnemu, rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką,
Wtenczas mnie ukąszenie serdecznej gadziny,
Bezczynnemu, srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i z przestrachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam
I serdecznie żałuję, i gorzkie łzy leję —-
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

Z Aleksandra Puszkina. (1799-1837)
(Tłum. Adam Mickiewicz)

64.

Orzeł

Za kratą, z lochu grubemi murami,
Ja orzeł zamknięty, strzeżony, —
Mój smutny towarzysz, trzepocąc skrzydłami,
Pod oknem łup krwawy chciwemi rwie szpony.

Rozdziera, pożera i patrzy w loch dziki,
Jedną myśl, jedną chęć w naszych duszach niecim,
Przyzywa mnie głosem, przyzywa mnie krzykiem,
I zdaje się mówić: Ulecim! ulecim!

My ptaki swobodne, już pora, jedyny!
Gdzie góry za chmury wierzchołkiem sięgają,
Gdzie obce za morzem sinieją krainy,
Gdzie wiatr tylko igra i orły bujają!

(Z Puszkina)

(Tłum. Wł. Syrokomla)

65.

Stance doParteniki.

Parteniko, nikt krasie nie oprze się twojej;
Władza twa równa się władzy Bogów
w nadobłoczu;
A kto, widząc cię, swojej nie oddał ci zbroi,
Zaiste jest bez duszy, albo nie ma oczu.

Co do mnie, wyznam, ledwo zobaczyłem ciebie,
Bez oporu poddałem się tobie odrazu;
Rozum mój uległ, zmysły utonęły w niebie,
'A serce poszło w służbę twojego rozkazu.

Bez boleści ujrzałem w jarzmie swoją wolność;
Brak jej nie był okrutny dla mnie ni straszliwy;
Używania jej, życia nią straciłem zdolność,
Czułem się niewolnikiem i byłem szczęśliwy.

Ujrzałem, że twe piękno nie ma tu równego:
Blask oczu twoich oczy me olśnieniem mami;

Uszy moje urzekła słodycz głosu twego;
Vᵣęzły twych włosów stały się memi więzami.

Lecz widziałem nietylko jawne czary owe.
Odkryła mi się głębi twej skarbnica cała,
Poznawszy, uwielbiłem piękno niezmysłowe,
- Co twego ducha zdobi krasą twego ciała.

,Gdym ujrzał wartość, która etanowi twą chlubę,
Zmysły me ubóstwiły cię wszystkie z radością,
Nic nie widziałem w tobie, by nie było iube,
Nie czułem w sobie, aby nie było miłością.

Tak wniknąłem w kochania szczęsne tajemnice;
Upodobałem sobie w słodyczy gołębiej;
Mam zawsze w duchu twoje lica i źrenice,
Mam zawsze Partenikę w serca swego głębi.

Odkąd płomieniem gorę dzięki ócz twych krasie.
Oddycham raczej tobą, niż tchnień swoich siłą;
Miłość zajęła miejsce mojej duszy, zda się,
I nie żyłbym już, gdyby jej we mnie nie było.

Wy, którym Patreniki oglądać nie dano,
»O łasy, źródła, skały, gdzie czar słodki gości,
Pozwólcie, aby brzmiało tu jej piękne miano,
I nie zabądźcie chwały jej i mej miłości.

Jean—Baptiste Racine. (1639-1699)
(Tłum. Leopold Staff)

66.

Wrażenie.

W modre letnie wieczory pójdę miedzą kłośną
Lech tany zbórz kitami, deptać trawy płowe:
Marząc, czuć będę świeżość pod stopami rośną,
Dozwolę wiatrom kąpać nagą moją głowę.

Nie będę mówił, myślał. W ciszy niewysłowne)
W duszy miłość ogromna wzbierze mi z pogodą;
I pójdę, hen, daleko, jak cygan wędrowny,
W Naturę, — szczęsny taki, jak z kobietą młodą.

Arthur Rimbaifd. (1854-1891)
(Tłum. Miriam)

67.

Nokturn.

Im częściej dusza w próżnię życia wchodzi,
Widzi, jak sny spadają w nicości głębiny:
Nic bezmiernej tęsknoty smutku nie łagodzi
I nic nie pociesza stroskanej godziny!

Wiecznie znane już brzegi, niezmienne pejzaże,
Biegi wód zamyślonych, kędy łabędź płynie —
I żadna niespodzianka — wciąż te same twarze,
Nie dające dźwięku nowego godzinie!

I zawsze, z powolnością, podobną do słoty
Plączącej w dni jesienne — gdzie przedmieście
sine,
Jakiś młyn, powolnemi swych skrzydeł obroty,
Krąży bezustannie i miele godzinę!

Georges Rodenbach. (1855-1898)
(Tłum. Wincenty Korab-Brzozowski)

68.

Łasiczka.

Przed trzema miesiącami dostałem zamówienie na skrzynię i wielki kredens do jednego z pobliskich pałaców, ale nie rozpoczynałem roboty. Za konieczne uważałem zobaczyć na własne oczy dom, komnatę i obrać miejsce. Piękny model — to coś, jak dojrzały owoc, widniejący wśród szpaleru drzew. Niemógłby istnieć bez drzewa, a takim będzie, jakiem jest drzewo.

Nie rozumiem zgoła, jak coś może być pięknem, w każdem postawione miejscu, coś, co zgadza się w każdem otoczeniu! Wydaje mi się jak dziewczyna, która temu się przymila, kto jej najlepiej płaci. To Wenus z rozstajnych dróg. Sztuka w mojem zrozumieniu, to członek rodziny, to dobry duch domowego ogniska, przyjaciel i towarzysz, który wypowiada wyraźnie to, co jeno niejasno odczuwamy. Ponieważ jest to — dar — domu, musisz poznać dom.

Wyruszyłem tedy poznać miejsce, gdzie miałem umieścić meble i spędziłem tam znaczną część dnia, oczywiście nie zapominając o piciu i jedzeniu. Duch nie powinien zaniedbywać ciała, jak iwoźnica swego konia.

Nasyciwszy tedy ducha i ciało, wybrałem się z powrotem tą samą drogą, którą przyszedłem i ¡maszerowałem wesoło ku domowi. Znalazłem się niebawem na rozstaju, i mimo, że wiedziałem dobrze, którędy należy iść, zerknąem ku drugiej ciekawie. Wiła się przez łąki pomiędzy krzewami okrytemi kwieciem.

Jakżeby to dobrze było powałęsać się trochę tamtędy. Nie cierpię gościńca, wiodącego prosto do celu. Dzień jeszcze długi, pogoda piękna, nie należy poruszać się prędzej, jak boski Apollo. I tak jakoś dojdę. Moja stara nic na tern nie straci, przeciwnie, będzie miała więcej powodu do gdakania. Jakaż piękna ta smarkata śliwka, jak czupurnie zadziera główkę. Muszę się jej przypatrzyć, to zaledwo kilka kroków. Wiatr unosi płatki jej kwiatów, niby śnieg, ptaki świegocą... czysty raj! A ten strumyk. .. toczy się, pomrukując, pomiędzy ziołami, jak kociak goniący kłębek po dywanie. Muszę zobaczyć... oho .. zastąpiła mu drogę grupa drzew... złapany, nie ujdzie. Oo... płynie dalej! Którędyż się prześliznął? Tędy, tędy, przebiegł pod samą nogą starego klonu, garbatą, sękatą i brzmiąłą. A to filut!

Ale dokądże wieść może ta drożyna? Tak się zabawiłem, idąc w ślad za swym gadatliwym cieniem, obłudnie udając, iż nie wiem, dokąd zdążam. Nie łżyj Colasie! Nie lżyj stary gałganie, nie udawaj Ulisesa. Wiedziałeś, gdzie cię ciągnie w chwili wyjśca z pałacu. Godzina drogi dzieli cię od domu twej dawnej umiłowanej, Celiny. Zrobimy jej niespodziankę. Ale któż z was dwojga będzie więcej zdziwiony. Tyle lat jej nie widziałem... Cóż się stało z jej ślicznym, złośliwym pyszczkiem, z buziaczkiem mojej łasiczki.

Chyba mogę teraz stanąć przed nią bezkarnie, chyba dzisiaj już nie zgryzie mego starego serca ostrymi ząbkami ? Oj to serce... wyschło jak podeszew starego buta. A czyż ona ma jeszcze te same ząbki ? Oj łasiczko droga moja, jakżeś ty umiała śmiać się i gryść jednocześnie! Dosyć się naigrałaś z biednym Colasem, dosyć mu nazawracałaś głowy! Miałaś zresztą rację, byłem osłem dardanelskim!

Pamiętam, jak się w nią wpatrywałem oparty łokciami o mur ogrodu mistrza Medarda, który mnie uczył rzeźby. Po drugiej stronie podwórza, służącego za pracownieę, był ogród warzywny. Celina uwijała się pośród grządek sałaty, poziomek, rzodkiewek, zielonych ogórków i złotawych melonów . Była zawsze bosa, obnażone miała ramiona i szyję. Z głowy spadała jej fala miedzianych włosów. Ubrana jeno w kofezulę na poły rozwartą na jędrnych piersiach i krótką spódnicę po kolana, piękna, zwinna, ponętna, kołysała

w prawo i w lewo wielką polewaczką, miotając silnemi, opalonemi rękami rzęsisty deszcz na główki roślin, a kwiaty otwierały dziobki i piły chciwie. Ja też. otwierałem dziób, który nie był mały i stałem oczarowany z gębą otwartą, by lepiej widzieć. Czasem łasiczka, mając dość tego patrzenia, wołała gniewnie:

— Dosyć mi się napatrzyłeś z przodu, z tyłu! Cóż chcesz więcej zobaczyć? Znasz mnie już dokładnie, pocóż się gapisz?

Odpowiadałem mrugając chytrze oczyma:

— Nie można wcale poznać oczyma niestety, ni melona wonnego, ni znacznej kobiety!

Chętnie bym sobie odciął kawałek tego owocu, a może i owoc nie miałby nic przeciw temu. Byłem młody, miałem gorącą krew, kochałem się we wszystkich dziewczętach... Czyż ją kochałem naprawdę... ją jedną? W pewnym Wieku można zakochać się w miotle ubranej w spódnicy.

Doskonaleśmy się zrozumieli. Spędzaliśmy całe godziny na przekomarzaniach. Oboje mieliśmy obrotne języki. Ona miotała mi na głowę obelgi, ja zaś oddawałem je z nawiązką. Jedno i drugie strzępiło sobie język i zgrzytało zębami. Czasem śmialiśmy się do rozpuku. Dla większej wygody w śmianiu, gdym jej dociął należycie, przysiadała na grządkach, zupełnie, jak kura na jajach. Wieczorem podchodziła do samego muru i rozmawialiśmy poufale. W niedzielę spotykaliśmy się na przechadzkach, lub sali zabaw. Tańczyliśmy... Ani na chwilę nie ustawała między

nami walka. O, jakaż była napastliwa. Zasypywała mnie przycinkami do mego koślawego, krzywego nosa, albo do wielkiej, szerokiej paszczęki, gdzie, jej zdaniem, możnaby jak w rurze kuchennej upiec pasztet.

— Nie będę twoją, Golasie!

Przymrużyłem oczy, jak kotek skromny, wygrzewający się na murze, który przez szczelinę pół otwartych źrenic śledzi biegającą myszkę i odpowiadałem:

— Zobaczymy... zobaczymy...

Najgorsze było to, że celem tem lepszego dokuczenia mi wzięła w sidła drugiego wróbla, a był nim mój serdeczny przyjaciel Pinon. Byliśmy ze sobą jak dwa palce u jednej ręki.

Pinon stracił tę resztkę rozsądku, jaki mu jeszcze pozostało i odtąd obaj wystawalśmy u muru, gapiąc się na łasiczkę.

— Słuchaj Colas! — prosił — ustąp, ona woli mnie 1

— Nie... mnie woli! — oświadczyłem.

— A więc, spytajmy jej samej. Odrzucony pójdzie sobie precz!

— Zgoda! Niech wybiera!

Ale czyż warto pytać się dziewczyny o wybór, gdy cały urok właśnie leży w tem przeciąganiu decyzji. Ma zawsze czas, waży, rozważa zalety i wady tego, to znów tamtego, wreszcie odwraca się od obu... Oczywiście nie zdało się na nic owo pytanie. Łasiczka odpowiedziała wybuchem śmiechu.

Wróciliśmy do warsztatu i zdjęliśmy surduty.

— Ha trudo... jeden z nas musi zginąć! Zaczął się taniec, jak się należy. Było na co patrzeć, choćby za biletami. Za chwilę obaj ociekaliśmy krwią, która się nam obficie lała z nosów i doprawdy nie wiem, czy któryś nie byłby naprawdę oddał ducha, gdyby nie sąsiedzi, oraz majster Medar, który ponadto wziął od jakiegoś woźnicy bat i smagał gdzie padło, wiedząc, że Burgund musi dostać baty, by wrócił do równowagi.

To nareszcie odniosło skutek. Po bitce wszystko się nam obu jakoś wyklarowało w głowach. Spoglądaliśmy na siebie wzajem zawstydzeni, a wówczas zbliżył się do nas Gifflard, wysoki, rudy, krągły na gębie młynarz, o świdrowatych oczkach i takie nam palnął kazanie:

— Głupie koguty! I cóż wam z tego przyjdzie, że sobie powyrywacie grzebienie, pióra i powydrapu jecie oczy? Czy sądzicie, że któryś z was dostanie kwoczkę. Nieprawda! Widzicie przecież sami, że z was kpi, radując się tylko z waszej bójki. Każda samiczka przepada za tem, by włóczyć za sobą czeredę adoratorów, którzy ją obwąchują na wszystkie strony. Czy chcecie dobrej rady? Oto odwróćcie się obaj na pięcie i idźcie sobie obaj precz! To jej da bobu... widząc, że traci jednego i drugiego, będzie się musiała zdecydować. Ale każdy myślał, rozważał i zdumiewał się coraz bardziej nad genjalną wprost taktyką wspólnego przyjaciela i doradcy. Wszakże pozbył się w ten sposób obu i został sam w kojcu!

U okna łasiczki zwisła gałęź jabłoni, a na niej... czy to jabłko? Nie... Boże wielki... to kapelusz młynarza!

Pinon, niby ranny dzik, rzucił się naprzód, jelenim skokiem znalazł się na murze, potem na jabłoni i wpadł oknem do izby, skąd niebawem rozebrzmiały straszliwe wrzaski, jęki, skowyty zarzynanego cielęcia, klątwy...

Łatwo pojąć, że te wrzaski zbudziły wszystkich i cała dzielnica zbiegła się pod okno domu łasiczki.

Zresztą młynarz nie miał zgoła małżeńskich zamiarów i gdyby nie awantura, wywołana przez Pinona, jego gruby paluch nie byłby trafił nigdy w małą obrączkę łasiczki. Teraz jednak rnusiał nastąpić ślub. Wpadł w zatrzask, chcąc schwycić dziewczynę, przyciął sobie ogon. Złapali się tedy wszyscy: on, ona i... ja! śmiej się tedy, Golasie... jest z czego...

Właśnie, kiedy się zaśmiałem, ujrzałem w odległości dwudziestu pięciu kroków, w głębi szpaleru drzew dom o czerwonym dachu, zielonych okiennicach i białych ścianach, okrytych skromnie liśćmi winorośli. Drzwi były otwarte, a przed nimi ujrzałem pod rozłożystym orzechem u studni, strzeżonej kamiennem ujęciem, czerpiącą wodę, znaną mi, ach, jak dobrze znaną (chociaż tyle lat niewidzianą) kobietę.

Na ten widok nogi się ugięły podemną.

— A skądże to Bóg prowadzi?

— Widzę, że czekałaś na mnie! — odparłem pyszałkowato.

— Głupstwa pleciesz! Zapomniałam już jak wyglądasz!

-— Dalibóg, ja także! A to doskonale...

Weszliśmy w podwórze. Zamknęła drzwi. Staliśmy zupełnie sami pośród rozgdakanych kur. Nagle ozwała się:

-— Colas. ..

Zatkało mi oddech.

— Colas! — powtórzyła.

Patrzyła mi *w* oczy, potem rzekła:

— Pocałuj mnie!

Nie dałem się prosić! Gdy się jest tak starym, można sobie pozwolić. To nawet robi dobrze czasem... (zawsze robi dobrze...) Uczułem na swych szorstkich pomarszczonych policzkach zwiędłe policzki Celiny i nagle rozjaśniły mi się oczy, dotąd łzami wezbrane. Uczułem teraz dopiero łzy, ale, oczywiście nie rozpłakałem się.

— Broda twoja kłuje! — powiedziała.

— Szkoda, że nie wiedziałem rano, że cię będę całował, — odparłem — byłbym się ogolił. Przed trzydziestu laty broda moja była miększa, a wówczas chętnieby się też była otarła o twą krągłą rumianą buzię!

— Więc myślisz o tern jeszcze?

— Nie... nie myślę nigdy!

Weszliśmy do domu i zasiedliśmy przy stole.

— Colas... czy wiesz? Nie powiedziałam tego nikomu... Teraz mogę już, bo przepadło... Oto kochałam ciebie jednego!

Odparłem:

— Wiem o tem i wiedziałem...

— Wiedziałeś nicponiu! I czemuż mi tego nie powiedziałeś ?

. — Przez samą chęć przekomarzania; byłabyś powiedziała, że to nieprawda!

— To i, cóż. Czułam inaczej. Całuje się przecież usta, nie zaś słowa, które z nich wychodzą!

— Twe usta nie zadowalniały się słowami. Byłem pod domem tej nocy, kiedyś wpuściła do swego młyna... młynarza.

— To twoja wina. Młyn czekał na ciebie. Prawda, że i ja byłam winna, ale odpokutowałam to gorzko. Wiesz wszystko. Ale nie wiesz, że wzięłam go z rozpaczy, dowiedziawszy się o twem odejściu.

Roześmiała się kątami ust i mówiła dalej: Gdym się dowiedziała o twej bójce z tamtym krasym byczkiem, prałam właśnie bieliznę na rzece. Powiedziano mi, że cię dusi, rzuciłam przeto kijankę, którą porwał prąd i depcąc bieliznę, przewracając kumoszki, stojące mi w drodze, boso, pogubiwszy roboty, biegłam jak szalona. Chciałam krzyczeć: Colas, durniu jakiś, co wyrabiasz, wiesz przecież, że cię kocham! Nie dajże sobie wyrywać kawałków ciała, bo chcę męża kompletnego z wszystkimi członkami! Tymczasem ' cóż

się stało ? Oto ty, mój ukochany... polazłeś razem z tym nosorożcem do szynku, zapomniałeś zaraz, o co się biłeś, a potem pod ręką z przyjacielem poszedłeś sobie precz!

Przyszło mi na myśl, że nie powinienem ją zostawić rozżalonej, przeto zacząłem:

— Ej... droga łasiczko, może to i lepsze co się stało! Zważmy, że właściwie nie wiele straciłaś. Dobrzeby nam było ze sobą przez kilka pierwszych dni. Ale życie całe... - ha, ha, ha! Znam ja siebie dobrze. .. oj, znam i powiadam ci: miałabyś mnie dosyć! Jestem wartogłów, próżniak, pyszałek, pijaczyna, obżartuch, gaduła, uparciuch, złośliwiec, kłótnik, marzyciel, choleryk, lunatyk.. . słowem, droga łasiczko, byłabyś wprost nieszczęśliwa i mściłabyś się na mnie za swe rozczarowanie.

Patrzyła na mnie poważnie i odrzekła po chwili, podnosząc głowę:

— To prawda. Wiem o tern... jesteś wielkim nicponiem. Założę się, że biłbyś mnie, ja bym ci przyprawiała rogi. Ale to bicie i te rogi to rzecz ludzka... czyż więc nie lepiejby było załatwiać to ze sobą? .

— Zapewne... — odparłem — zapewne...

— Mówisz to z wahaniem?

— O nie... nie! No, ale trudno, musimy się obejść jakoś bez <óbu tych przyjemności.

Wstałem i powiedziałem na zakończenie:

— A więc nie żałuj niczego, droga łasiczko? Pamiętaj, że czyśmy się kochali, czy nie, to teraz

rzecz bez znaczenia... Minęło, przeszło... a co było, a nie jest, nie piszę się w rejestr!

— Kłamco szkaradny! — zawołała. (I miała rację...).

Romain Rolland (1866)
(Przełożył F. Mirando!»)

69.

Bramanizm.

Z księgi pierwszej.

Złą dolę znoś, jak dobrą, mając to na względzie,
Że gdy będziesz źle znosił — gorzej ci z tem będzie.
Gdy cię przyjaciel zrani, przebacz — prekonany,
że sam cieipi: inaczej nie zadałby rany.
Gdy znajdziesz cierń w miłości, kochaj jeszcze wierniej:
że masz różę przy sobie — poznajesz to z cierni.

Z księgi drugiej.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który daje
Wszystkie inne — a siebie zrysować nie daje.
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się Skaleczyć, niż samo zadraśnie.

Z księgi dziesiątej.

Gdy gardzisz poprzedników myślami wszystkiemi
Jak chcesz, by myśl twą potem ważono na ziemi!!

Nawet nie możesz wiary mieć we własne zdania,
Kiedy do myśli ludzkiej nie masz zaufania.

Z księgi trzynastej.

Drzewo, gdy ptaszek siedzi, ciężaru nie czuje,
Lecz Zachwieje się gałąź, gdy on odlatuje:
Tak ty nie czujesz szczęścia, gdy w twych piersiach gości,
Lecz gdy uleci, — czujesz utratę radości;
Tak świat zacnych człowieka dążeń nie spostrzeże,
Póki z świata powierzchni śmierć go nie zabierze.

Rueckert Fryderyk (1788—1866)
(Tłum. Adam Asnyk)

70.

Szacunek dla Kobiet.

Powszechnie utarło się pojęcie, iż obowiązani jesteśmy oddawać głęboki szacunek kobiecie, zwłaszcza tej, o uczuciach której względem nas samych nić jeszcze dokładnego ani pewnego nie wiemy i której zalet duszy i serca zgoła nie znamy. Natomiast, wedle tegoż pojęcia, nie uważamy wcale za potrzebne darzyć takimże samym szacunkiem i poważaniem kobietę, która, jak to wiemy, pała dio nas serdeczną miłością i której charakter znamy na tyle, iż bez wahania złożylibyśmy w jej ręce dalsze losy życia naszego. Brak logiki i podłość takiego pojmowania są chyba jaskrawe.

John Ruskin (1819—1900)
(Tłumacz Nieznany)

71.

O miłości i o kobiecie.

La Rochefoucald jest zdania, że gorąca miłość przypomina majaki, o których wszyscy mówią, ale nikt ich nie widział. Również Lichtenberg w swojem “studjum o potędze miłości” powątpiewa o istotności i naturalnym charakterze tego uczucia.

Ponieważ miłość od niepamiętnych czasów jest głównym tematem dzieł poetów i powieściopisarzy, więc trudno wierzyć, by genjusz ludzki w ciągu wieów wysilał się na opisywanie czegoś, co jest zupełnie obce, naszej naturze. Doświadczenie zaś mówi, iż w pewnych warunkach miłość jest zdolna przeistoczyć się nawet w gwałtowną namiętność. W rzeczywistości wszakże miłość ma swoje źródło w instynkcie, który na równi z przywiązaniem. do życia stanowi najczynniejszy i najsilniejszy bodziec. Opanowuje ona uczucia i myśli młodego pokolenia; jest głównym celem wszystkich prawie wysiłków człowieka; wywiera wpływ ¡niepokojący na najważniejsze sprawy życiowe; jest zaporą wśród zajęć najpoważniejszych i sprawia niekiedy zaburzenia i przewroty w umysłach ludzi żelaznej woli. Nie są w stanie oprzeć się jej mężowie stanu, ludzie nauki, podsuwa ona liściki miłosne i jedwabiste pierścienie włosów do **tek** mini ster jalnych i pomiędzy kartki rękopisów

flozoficznych. Miłość posuwa się często nawet do żądania ofiary z życia, zdrowia, majątku, stanowiska i szczęścia; pozbawia wszelkich skrupułów ludzi najsumienniejszych, lojalnych zaś ¡czyni zdrajcami, a wszystko to za cenę, by każdy zdobył swoją każdą.

Widok ciała kobiecego wskazuje odrazu, że kobieta nie jest przeznaczona ani do wytężonej pracy umysłowej, ani do ciężkiej pracy fizycznej. Jej rola jest nie tyle czynna, ile bierna: wydaje ona na świat dzieci, wychowuje potomstwo i, podlegając woli męża, nowocześnie dodaje mu odwagi.

W trudnych sprawach rada kobiet niekiedy bywa bardzo ¡cenną z tego względu, że kobieta dostrzega odrazu najkrótszą drogę dojścia do celu, widzi ona zrazu tylko rzeczy bliskie, zaś mężczyzna szuka, nie widząc częstokroć tego, co leży tuż przed jego nosem.

Kobieta nie zwraca uwagi na braki intelektualne mężczyzny. Celem bowiem głównym małżeństwa nie są rozmowy myślowe, ale zapewnienie potomstwa. Wszak małżeństwo jest związkiem serc a nie umysłów.

Artur Schopenhauel (1788—1860)
(Tłumacz Nieznany)

72.

Sonet.

Jak szumne fale do morskiego brzegu
Tak do swych kresów płyną nasze chwile;

Niema przystanku w tym mknącym szeregu:
Jedna przed drugą w równej dąży sile.

Wszystko, co wyszło ze światłości łona,
Dojrzewa, w blaskach coraz większych rośnie,
Aż ich promienie ciemna noc pokona:
Czas swoje dary niszczy bezlitośnie.

Czas kosą swoją młode ścina kwiaty,
Czas bruzdy ryje na piękności czole,
Cuda przyrody zmienia w swe objaty.
żadne się przed nim nie ostoi pole:

Mych pieśni jednak, które sławią ciebie,
Dłoń jego krwawa w mrokach nie pogrzebie.

Wm. Shakespeare (1564—1616)';
(Tłum. Jan Kasprowicz^,

73.

Sonet.

Znużon tern wszystkiem, tęsknię li do skonu![1]
Widzę, jak cnocie dają kij żebraczy
I jak się nicość dmie na wyżach tronu,
Jak zdrada wszędzie swoje ślady znaczy —<

I jak się bezw-syd czci koroną mieni
I jak zdeptano niewinność dziewiczą
I w jakiej hańbie żyją zasłużeni,
Jak moc praw7dziw7ą między słabość liczą.

Jak władza sztukę poniża do błota
I jak nad wiedzą pieczę mają błaźni
I jak za głupstwo uchodzi prostota,
Jak zło zamyka wszelkie dobro w kaźni.
Znużon tem wszystkiem, chciałbym odejść
w ciemnię,
Tylko, że miłość zmarłaby bezemnie.

Wm. Shakespsare (1564—1616)
(Przekład Jana Kasprowicza)

74.

Pozorne anachronizmy.

Jedyna metoda napisania sztuki, któraby szerokiej publiczności wrażenie epoki starożytnej, polega na tem, żeby osoby mówiły białym wierszem i powstrzymywały się od wzmianek o parze, telegrafie, lub jakichkolwiek warunkach materjalnych swego istnienia. Im większymi nieukami są ludzie, tem głębiej przekonani są, że ich mała paraf ja, i mała ich kaplica to szczyt, do którego cywilizacja i fiłozofja z trudnością utorowała sobie drogę, wznosząc się po piramidzie czasu z pustyni dzikości. - Dzikość — mniemają — stała się barbarzyństwem; barbarzyństwo stało się starożytną cywilizacją; starożytna cywilizacja stała się paulińskim chrześcijaństwem; chrześcijaństwo paulińskie stało się rzymskim katolicyzmem; rzymski katolicyzm stał się wiekami średniemi;

a wieki średnie naostatku oświecone zostały przez instynkty protestanckie rasy anglikańskiej. Cały ten proces określany jest w czambuł, jako postęp przez duże P, a każdy starszy jegomość postępowego ducha przyświadczy, że polepszenie, jakie nastąpiło od jego lat chłopięcych, jest olbrzymie.

Jeżeli zaś policzymy pokolenia postępowych starszych panów od, powiedzmy, Platona, i dodamy razem stopniowe olbrzymie ulepszenia, jakie każdy z nich stwierdzał, uderzy nas cdrazu niewytłumaczony fakt, że świat, zamiast polepszyć się do niepoznania w ciągu 67 pokoleń, przedstawia się naogół we “Wrogu ludu” Ibsena mniej czcigodnie, niż w “Republice” Platona. 1 w istocie, objęty historją okres czasu jest taki krótki, że nie może się w nim ujawnić widoczny postęp w zwykłem znaczeniu “Rozwoju rodzaju ludzkiego.” Wyobrażenie, że istniał taki postęp od czasów Cezara (niespełna 20 wieków temu) jest zbyt śmieszne, by je rozważać. Cała dzikość, barbarzyństwo, wieki średnie i wszystko, co, jak nas uczy historją, istniało w przeszłości, istnieje i w chwili obecnej. Cieśla lub murarz brytański może wskazać, że pobiera dwa razy większą zapłatę za pracę swoją niż jego ¡ojciec, a jego dworek podmiejski z kąpielą, fortepianem, szeregiem pokojów, albumem z fotografiami zawstydziłby prostotę siedziby jego babki. Ale potomkowie baronów feudalnych, żyjący w niechlujnych mieszkaniach i pobierający piętnaście szylingów płacy tygodniowej, zamiast mieszkać w zamkach i

mieć książęce dochody, nie winszują światu tej zmiany. Zmiany takie, istotnie, niczego nie dowodzą.

Z najdawniejszych kronik wiadomo, że człowiek, żyjący w stanie dzikim w lasach, różni się od człowieka zamkniętego w norze miejskiej; że pies rozumie lepiej pastucha, niż drwal albo woziwoda może zrozumieć astronoma, i że wyhowanie, troskliwe pielęgnowanie, zbytkowne odżywianie i mieszkanie wytwarzają gatunek człowieka, odmienny społecznie od zwyczajnego robotnika. To samo sprawdza się w stosunku do koni i psów. Widzimy zatem jasno, że istnieje możność wprowadzenia wielkich zmian na świecie, przez powiększanie procentu jednostek starannie wychowywanych i troskliwie pielęgnowanych, tak, żeby doprowadzić każdego mężczyznę i każdą kobietę do najwyższego stopnia doskonałości. Ale ta możliwość istniała tak samo za czasów Hetytów, jak istnieje dzisiaj.

Nadto istnieje złudzenie o "spotęgowanej władzy nad Przyrodą," przez co należy rozumieć, że bawełna jest tania i że dziesięć kilometrów drogi wiejskiej na bicyklu zastąpiło cztery przebyte pieszo. Ale nawet, gdyby spotęgowana władza człowieka nad Przyrodą obejmowała spotęgowani Władzę jego nad sobą samym (jedyny rodzaj władzy, mogący spowodować jego przemianę na istotę wyższą), faktem jest, że tylko ucieczka od władzy nad Przyrodą na wieś, gdzie Przyroda posiada jeszcze pierwotną władzę nad człowie-

kiem, może go uzdrowić, bo wyzwoli go ze skutków wpływu dymu, zaduchu, stęchłego powietrza, natłoku, wrzawy, szpetoty, brudu, czyli tego wszystkiego, co nas kosztuje tania bawełna. Jeżeli praca fabryczna oznacza postgp, w takim razie, czy Anglik gotów jest uznać, że Amerykanin stoi wyżej od niego, jako istota ludzka? Zadaję to pytanie dlatego, że brak robotników w Ameryce w stosunku do ich zapotrzebowania doprowadził tam do rozwoju systemu maszynowego, a stąd do takiego "spotęgowania władzy nad Przyrodą," że dzisiejszy obywatel Chicago uważa, iż nasze metody angielskie są przeważnie średniowieczne. To znaczy, że Amerykanin ma nad Anglikiem wyższość zupełnie tej samej natury, co Anglik nad współczesnym* Cycerona. Czy Anglik jest skłonny wysnuć ten sam wniosek w obu wypadkach? Nie sądzę, że Amerykanin oczywiście wysnuje go z ochotą; ale wówczas muszę go zapytać, czy skoro Murzyn nowoczesny posiada większą "władzę nad Przyrodą" niż posiadał Washington, mamy stąd wyciągnąć, wynikający z poprzedniego, wniosek, że miarą rozwoju ludzkości od Washingtona jest Murzyn współczesny.

Bernard Shaw (1856)
(Tłum. Br. Neufeldówna)

75.

Anglja w Roku 1819.

Król, stary ślepiec, szaleniec wzgardzony,
Książęta, szczepu zgniłego odpadki, •
Cuchną i brudzą naród rozjątrzony;

Sternicy państwa — pijawki; ostatki
Krwi ludzkiej chłonąc, głusi na stłumiony
Jęk, czynią rozbój pośród drogi gładkiej;

Lud, który z głodu w pustem polu ginie;
żołnierz, dławiciel cnej wolności sprawy,
Miecz obosieczny dla wszystkich, co ninie

W zdrój krwi i w złoto zmieniają ustawy;
Wiara, wznosząca bez Boga świątynie,
I zbeszczeszczone prawodawców ławy — j

Oto mogiły, z których niech w godzinie
Burzy ognisty dla nas blask wypłynie!

Percy Bysshe Shelley, (1792—1822)
(Przekład Jana Kasprowicza)

76.

x Ozymandyas.

Podróżnik wracający z starożytej ziemi
Rzeki do mnie: — Nóg olbrzymich z głazu dwoje
sterczy
Wśród puszczy bez tułowia, W pobliżu za niemi

Tonie w piasku strzaskana twarz. Jej wzrok
szyderczy,
Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu
świadczą, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu
Odtworzył skryte żądze, co, choć w poniewierce,
Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce.
A na podstawie napis dochował się cało:
"Ja jestem Ozymandyas król królów. Mocarze I
Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą
Gińcie z rozpaczy!" Więcej nic już nie zostało.
Gdzie stąpić gruz bezkształtny oczom się ukaże
I piaski bielejące w pustyni obszarze.

Percy B. Shelley.
(Tłum. Adam Asnyk)

77.

Chmura.

Świeże ulewy
Na spragnione krzewy
Przynoszę z morza lub z rzeki;
Dostarczam cieniu
Listkom, co w znużeniu
Wśród dziennej spoczęły spieki.

Na skrzydłach niosę
I otrząsam rosę,
Budząc tłum pączków uroczy,
Śpiące gromadki
Na piersiach swej matki,
Co wkoło słońca się toczy.

Gadami zionę:
I łąki zielone
Pokrywam białym całunem;
W deszcz je przemienię
I mknąc już w przestrzenie,
Znów się uśmiechnę piorunem.

śniegiem zawieję
Gór lesiste knieje,
Aż sosny gna się i dyszą,
I na noc całą
Mam poduszkę białą,
Gdy wichry śpiącą kołyszą.

Duchy wód i ziemi —
Rodzicami memi,
Piastunką — przestrzeń powietrzna;
Przenikam w obiegu
Tkań morza i brzegu,
Wciąż zmienna a jednak wieczna.

Choć z deszczową rosą
Wiatry mnie rozniosą
I w górze istnieć przestanę;
Choć słońca promienie
Błękitów sklepienie
Bez skaz utkają świetlane:

Ja z swego pogrzebu
Wzlatuję ku niebu
Z jaskini deszczów ukrytej;

Jak duch z grobu łona
Nowo-narodzona
Przesłaniam znowu błękity.

Percy B. Shelley
(Przekład Adama Asnyka).

78.

Skłonność do ozdób i błyskotek.

Słuszną jest bardzo uwaga, że w ludzkości, po* czy nająć od czasów najbardziej odległych, skłon-j ność do strojenia się i do wszelkiego rodzaju o*i zdób i błyskotek zawsze poprzedzała rzeczywistą[1] potrzebę ubieraia się. Ludy, które poddają się największym mękom jedynie w celu ozdobieni^ swego ciała wspaniałem tatuowaniem, znoszą ro2W maite odmiany klimatu, nie troszcząc się wiele o nie i nie starając się od nich zabezpieczyć. Humboldt powiada, że Indjanin z Orinoco, nie dbający wcale o dobrobyt materjalny, w ciągu dni pięt-: nas tu oddaj e się jednak pracy, a to w tym celu, aby za zapracowane ^pieniądze kupić farby; bo jest przekonany, że wymalowany, wzbudzi powszechny zachwyt. Kobieta, która bez najmniejszego wahania opuszcza swój szałas, nie mając na sobie nawet cienia jakiegokolwiek ubrania, ukazanie się jednak bez tatuowania na ciele, uważa za najokropniejsze pogwałcenie zasad przyzwoitością Podróżnicy jednomyślnie stwierdzają fakt, że drobne cacka i błyskotki u plemion dzikich, daleko[1] większe mają powodzenie, niż wyroby z bawełny

i .całkowite ubrania. Nawet pomiędzy nami zdarzają się często osoby więcej o zbytek i wytworność, niż o wygodę dbające.

Musimy dalej zaznaczyć, że stosunek ten istnieje i w dziedzinie umysłowej.

Pragienie wzbudzenia zachwytu i podziwu góruje u kobiet nad chęcią posiadania ciepłego i dogodnego stroju; kolczyki, pierścienie bransolety, — skomplikowane uczesania włosów, — róż i bielidło, któremi się kobiety posługuj ą; niezmierne cierpienia, jakie znoszą, przywdziewając suknie modne; wszelkie niewygody, którym się z własnej woli poddają, aby się tylko do mody stosować: oto dowody na poparcie naszego twierdzenia. Obciążają one pamięć swą datami i opowiadaniami o urodzeniach, małżeństwach i śmierciach królów, nie ze względu na użyteczność tych wiadomości, lecz dlatego jedynie, że w świecie uważają je za stanowiące część niezbędną dobrego wychowania; nie umieć tych rzeczy —- znaczyłoby narazić się na pośmiewisko ogółu.

Panować, odbierać hołdy, zjednywać sobie możniejszych i wyższych: oto jest powszechna walka, w której się tracą główne siły żywotne. Każdy stara się pokonać innych, a to albo bogactwem; sposobem życia, przepychem stroju, albo też potęgą swej wiedzy lub umysłu; w ten to sposób tworzą się tysiące stopniowań i hierarchij społeczych, jakby oczka sieci ze sobą w jedną całość powiązane.

Nietylko wódz plemienia dzikiego stara się wzbudzić w swych poddanych uczucie trwogi, zapomocą tatuowania i skalpów, zawieszonych u pasa. Nietylko piękna światowa kobieta marzy o zwycięstwach zapomocą wdzięcznego i umiejętnego ubioru, wykwintnego układu i niezliczonych talentów. Uczony, historyk, filozof w tym samym celu posługują .się nabytą przez nich wiedzą, żaden z nas nie chciałby na tem przestać, aby jego zdolności osobiste, chociaż z największą swobodą, rozwijały się nietylko dla niego jednego. W naturze ludzkiej istnieje nieustanna potrzeba narzucania innym własnej indywidualności i chęć, aby inne osoby jej ulegały. Okoliczność ta tłumaczy właśnie szczególny charakter naszego wychowania. Nie troszczymy się o wartość wewnętrzną wiedzy, lecz pragniemy tylko, aby wiedza ta dała nam jak najlepsze wyniki praktyczne, abyśmy przy jej pomocy dojść mogli do powodzenia, zaszczytów, szacunku, do tego co robi człowieka wpływowym, co mu daje stanowisko w świecie; do tego jednem słowem, co stawia nas wyżej od bliźnich naszych i nakazuje względem nas szacunek. Tak więc w ciągu całego życia,najważniejszym dla nas warunkiem jest nie być, lecz wydawać się.

Herbert Spencer, (1820-1903)
(Przełożył Michał Siemiradzki)

79.

Sonet.

Zwierciadło serca mego, piękne oczy!
Tych waszych spojrzeń dziwna jest osnowa
W niej kształt chmurnej śmierci i uroczy
Obraz żywota jednako się chowa.

Dusza ma życiem i miłością zdrowa,
Gdy się łagodność lśni w waszej przeźroczy,
Lecz jak piorunem rażona ma głowa,
Kiedy się gniewnie wzrok wasz na mnie boczy.

rAle że człowiek chętniej w życie kroczy,
Niźli ku śmierci, przeto niech miłośnie
Blask się wasz z ogniem mej piersi jednoczy —<«

Niechaj to życie ku czci waszej rośnie,
'A śmierć niech stłumi jego żarne jaśnie
^Wówczas, gdy żar wasz na wieki zagaśnie.

JEdmund Spenser (1552-1599}
(Tłum. Jan Kasprowicz)

' 80.

Nocleg.

, Był późny listopadowy wieczór 1456 r. Nad Paryżem padał bezustanie śnieg; od czasu do czasu dmący wicher, wzbijał go w tumany, chwilą-

mi spokój następował, ale śnieg padał i padał z pod ciemnego nieba. Biednym ludziom, patrzącym z pod mokrych rzęs, wydawało się wprost nieprawdopodobnem, skąd się tego nabiera bez końca.

W pogrążonej w śnie dzielnicy, tuż za murena cmentarnym czaił się maleńki domek, w którym ludzie jeszcze nie spali, kryjąc się przed czujnem okiem nocnych straży. Od strony ulicy nikłby się tego nie domyślił; tylko wstęga ciepłego dymu z kamiennego komina roztopiła śnieg na dachu, a przed drzwiami widniały ślady stóp. Wewnątrz dcmku François Villon, poeta z uniwersyteckim tytułem “magistra sztuk” — poza tern parę osób ze złodziejskiej szajki, którym poeta dotrzymał towarzystwa, spędzali czas na pijatyce. Wielkie gorejące głownie na kominku rzucały jaskrawe światło. Tuż obok kominka siedział z rozkraczonemi nogami dom Nicolas, pikardyjski mnich w bardzo poszarpanym habicie, wyciągnąwszy tłuste, nagie golenie w stronę ognia. Jego ogromny cień przepołowił całą izbę tak, że refleks płonącego ognia przebiegał z jednej strony jego kolosalnej figury na drugą i padał na maleńką kałużę, znajdującą się między jego rozkraczonemi nogami. Twarz mnicha o barwie niebiesko-purpurowej z powodu ustawicznego pijaństwa była pokryta cała siecią nabrzmiałych żył, zazwyczaj czerwonych, a obecnie jasno-lilj owych. Spadły na tył głowy kapiszon był podobny do jakiejś narośli, wznoszącej się na jego karku bawolim.

Na prawo przywarci do siebie, Villon i Tabarie byli pochyleni nad kawałkiem pergaminu : Villon tworzył balladę o “Gotowanej rybie,” a Tabarie, patrząc przez jego plecy, wyrażał swój szczery zachwyt. Poeta był typem oberwańca o podejrzanym wyglądzie; mały, chuderlawy, z zapadniętemi policzkami, o spadających długich czarnych lokach. Swoje dwadzieścia cztery lata przeżył Villon z gorączkowym pośpiechem. Brak ■wstrzemięźliwości w życiu można było wyczytać z tych licznych zmarszczek okalających oczy i z tego niemiłego uśmiechu na jego wyrazistem, ale nie pięknem i nie pociągającem obliczu. Dziwna to była twarz; posługując się określeniami samego poety, malowała się na niej “świńska zmysłowość i wilcza zwierzęcość... ” Ręce miał zręczne, palce zaś, któremi nader sprawnie operował, były podobne do węzłowatych sznurków. Natomiast Tabarie, był to człowiek o ogromnej postawie, bardzo uczciwy, niebywale głupi, co zresztą można było poznać po miękkim nosie i sterczących wargach; został złodziejem tak samo, jakby mógł zostać najuczciwszym mieszczuchem, dzięki wszech mocnemu przypadkowi, który kieruje życiem zarówno ludzi-gęsi, jak i ludzi-osłów.

Po drugiej stronie stołu Montigny i Ponset zajęci byli jakąś grą hazardową. W Montigny’m można było wyczuć ostatki szlacheckiego pochodzenia i przyswojonych manier towarzyskich. Była to smukła, gibka, a awet pełna uroku postawa o twarzy orlej i posępnej. Szczęście dopisywało

Pensetowi w dwójnasób: po obiedzie dokonał bowiem eleganckiej kradzieży na przedmieściu św. Jakóba, a teraz przez cały czas wygrywał w karty. Z jego ust nie schodził trywialny uśmiech; łysiejąca głowa z wianuszkiem krótkich, rudych kłaków poróżowiała z zadowolenia — a kiedy zgarniał wygraną, jego sterczący brzuch trząsł się z milczącego chichotu.

— No, a teraz przeczytamy balladę! — zawołał Villon i wybijając takt rękoma, zaczął deklamować, zwróciwszy się w stronę Tabariego.

Nie zdążył jeszcze dojść do czwartej strofy, gdy nagle zaszły niespodziewane wypadki... Gra była skończona, i Penset ledwo zdążył swe usta otworzyć, aby nową obwieścić wygraną, gdy Montigny, podniósłszy się z szybkością żmij i, wraził mu nóż w serce.

— Trzeba obejrzeć, co on ma — zauważył Montigny, i jął opróżniać sprawną ręką kieszenie zabitego. Potem rozdzieliwszy pieniądze na cztery równe kupki, rozłożył je na stole.

— Bierzcie — rzekł.

Mnich wziął swoją część z głębokiem westchnieniem, spojrzawszy ukradkiem na martwego Penseta, który już zaczął się osuwać i zwalać ze stołu.

— A tośmy się oporządzili! — wołał Villon. — Ten kawał pachnie szubienicą wszystkim tu zebranym młodzieńcom. Poczem, wsunąwszy swą część do kieszeni, jął tupać nogami, aby się rozgrzać i pobudzić krew do krążenia.

Nakoniec i Tabarie wziął swoją kupkę i pbiszedł na drugi koniec izby.

— Hej, towarzysze! trzeba jak najrychlej zwiewać! — podniósł głos Montigny, wycierając nóż o kaftan ofiary.

— Niech będzie przklęta jego czerwona głowa — krzyknął nagle poeta. — Od niej to zaschło mi zupełnie w gardle. Jakiem prawem może mieć człowiek rudą głowę, gdy raz już zdechł?

I tû znowu “magister sztuki” ciężko zwalił się na stół i zakrył twarz rękoma.

Montigny i dom Nicolas głośno zarechotali; nawet Tabarie starał się ich słabo naśladować.

•— Płaksa! — rzeki mnich.

— Mówiłem zawsze, że Villon niczem baba .— dorzucił Montigny z pogardą.

Ale mnich wyzyskał swój czas jak najlepiej. W chwili bowiem, kiedy osłabiony i drżący na całem ciele Villon siedział na tym samym stołku, gdzie przed trzema minutami tworzył balladę, dom Nicolas spokojnie wykradł mu z kieszeni sakiewkę. Montigny i Tabarie na migi dopraszali się o swoją część w zdobyczy, mnich zaś chowając niespostrzeżenie maleńki pierścień za koszulę, milcząco obiecywał im podział.

Tymczasem wiatr rpzpędził wszystkie chmury na niebie. Gdzie niegdzie tylko lekkie obłoki szybko przesuwały się wśród gwiazd. Było bardzo chłodno. Villon przeklinał swój los. żeby jak najrychlej umknąć!

i Nagle daleko przed sobą zauważył poeta jakąś ciemną masę i kilka latarni. Masa posuwała się naprzód wraz z błyszczącemi się latarniami. Był to patrol przechodzący wpoprzek drogi Villona, Poeta uznał za bardziej rozsądne możliwie jak najrychlej zniknąć z jego pola widzenia. Akurat po prawej jego stronie znajdowała się oberża z wieżyczkami i szeroką przed drzwiami kolumnadą; dom do połowy rozwalony, wionął pustką; zauważył to poeta. Podniósł się on tedy na trzy stopnie i ukrył w głębi portyku. . Nagle potknął się o ciało zmarłej kobiety. Villon połaskotał kieszenie trupa; były zupełnie puste, tylko w pończosze pod podwiązką zdołał poeta wyłuskać dwie drobne monety. Trzymając monety w ręku, rozmyślał on nad zagadką ludzkiego życia: Henryk iV-ty, król Anglji, zmarły w Vincennes i to w chwili pokonania Francji, i ta biedna ulicznica, kończąca u progu ludzkiego domostwa, nie zdążywszy przedtem puścić swoich pieniędzy, to wszystko wydało mu się zanadto okrutnem.

, Mimo późnej pory, Vilon na wszelki wypadek pocieszał się zresztą bardzo wątpliwą nadzieją, że może mu się uda spędzić noc u swego ojca chrzestnego, proboszcza kościoła Saint-Benoit.

Pędził tedy przez całą drogę, wreszcie dotarł do domu i tchórzliwie zapukał.

— Ojcze chrzestny! puście tylko na tę noc, a Bogiem się świadczę, że już nigdy tutaj nie Wrócę!

— Trzeba było przyjść wcześniej — zimno odparł proboszcz. — Idź sobie, będzie to dla ciebie najpożyteczniejsza nauka.

Nagle przypomniał sobie Villon matkę. O, gdyby tylko wiedział, że ona jeszcze żyje? Z pewnością znalazłby u niej przytułek.

Myśląc tak, podążył w stronę rzekomego mieszkania matki; — była to ostatnia deska ratunku.

Dom, do którego się zbliżył, był jak i sąsiednie pogrążony w ciemnościach; wszelako po kilku uderzeniach w drzwi, poeta usłyszał jakiś nad głową ruch, otwierające się drzwi i głos: czego mu potrzeba. Villon wypowiedziawszy swoje nazwisko, jął nie bez strachu oczekiwać wyniku. Czy będzie też długo czekał? Aż tu nagle otworzyło się okno i pełne wiadro pomyj bryznęło na stopnie schodów przed domem.

Pozostał mu tylko jeden sposób znalezienia noclegu — t. j. zdobyć go gwałtem.

Dom, do którego się zbliżał Villon, na pierwszy rzut oka, był pogrążony w ciemnościach, wszelako po gruntowniej szem zbadaniu, z której strony należy napad rozpocząć, poeta zauważył słabe światełko łuczywa za okiennemi firankami.

Podszedł śmiało, do drzwi i pewną ręką zapukał. Słuszna, muskularna męska postać, chuda i cokolwiek pochylona, ukazała się przed Villonem. Nieznajomy miał głowę wprawdzie wielką, ale nader urodziwą. Przepyszna linja nosa łączyła się z parą wyrazistych, prostych brwi;

usta i oczy okalały drobne zmarszczki, a całą twarz obramiała siwa broda, skrupulatnie rozczesana. Możliwe, że przy świetle mrugającej lampki cała postać wydała się dostojniejszą, niż zazwyczaj — w każdym razie było to oblicze piękne, — raczej dostojne, niż rozumne, zresztą mocne, jasne i prawdziwe.

— Pan dosyć późno pukasz — rzekł starzec dźwięcznym głosem uprzejmie. Pan zziębnięty i głodny? — ciągnął starzec. — Proszę wejść — zapraszał zachęcającym gestem.

Poprowadził poetę na górę do większego, ogrzanego pokoju i oświetlonego plafonową lampą. Ozdób było mało; wszelako na kredensie rzucała blask złota zastawa. Villon zauważył nadto kilka foljałów i półkę z bronią między oknami. Na ścianach wisiały przepiękne dywany o kompozycjach przedstawiających w jednem miejscu rozpiętego Chrystusa, w drugiem zaś pasterzy i pasterki przy płynącej rzeczułce. Nad kominem widniał herb rodzinny.

Gospodarz postawił talerz z jedzeniem na stole i dał znak Villonowi, aby się zabrał do spożywania; poczem podszedłszy do kredensu, wziął z niego dwie czarki i napełnił je winem.

— Za pańskie zdrowie! — rzekł i trącił się z Villonem.

— Za naszą znajomość! — odparł poeta i z łapczywością rzucił się na mięso, starzec zaś, usunąwszy się cokolwiek, przypatrywał mu się ze spokojną ciekawością.

— U pana znać krew na plecach — zauważył.

Widocznie Montigny rnusiał go dotknąć okrwawioną ręką, kiedy Villon schodził. W duchu więc zaklął towarzysza.

«. — Ne jestem wcale ranny — zamamrotał poeta.

■— I ja też nie przypuszczam — spokojnie podkreślił gospodarz. — Ozyś nie brał pan udziału w jakiej bójce.

— Tak, coś w tym guście — potwierdził Z drżeniem artysta.

— A może kogo zabito?

O, bynajmniej, nikogo nie zabito bronił się niezręcznie Villon, — poprostu grali w karty... Został zabity nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Nie brałem w tern udziału, o niech mnie Bóg skarżę, jeżeli kłamię — dodał już widoczie zmieszamy.

— Czy masz pan jakie pieniądze — zagadnął starzec.

— Mam tylko drobną monetę, jeden grosz >— śmiejąc się, odparł poeta. — I to wydostałem z pończochy umarłej prostytutki. Oj, ciężka to zima tegoroczna — dla wilków, nierządnic i takich, jak ja włóczęgów.

— Ale kim pan właściwie jesteś — przerwał starzec. — Co do mnie, to nazywam się Felier. A pan?

— Nazywam się François Villon, jestem biednym magistrem tutejszego uniwersytetu. Mogę

pisać wiersze, ballady, korowodowe pieśni i inne podobne utwory — ale przedewszystkiem przepa* dam za winem. Urodziłem się, jak to mówią, na poddaszu, a skończę wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na szubienicy. Mogę to jeszcze dodać,- dostojny panie, że od tej nocy pozostaję pańskim najpokorniejszym sługą!

— Absolutnie nie sługą, a moim gościem na dziesiejszą noc, i to tylko.

— Gościem nad wyraz wdzięcznym — uprzejmie oświadczył Villon i wypił wino z milczącym ukłonem w stronę gospodarza.

— Pan jak widzę jesteś utalentowanym człowiekiem — zaczął starzec, stukając palcem po głowie — bardzo utalentowanym : pan się uczyłeś, posiadasz tytuł naukowy, a jednak zabierasz pieniądze umarłej na ulicy kobiecie. Czyż to nie jest w swoim rodzaju złodziejstwem?

— To przecież ten sam gatunek kradzieży^ który się stale praktykuje na wojnie — zauważył poeta.

— Wojna, to pole czci i honoru — rzekł Z godnością gospodarz. Człowiek ryzykuje swe żyt, cie w obronie króla, Boga i jego świętych aniołów. Pan zaś robisz dla korzyści, ale nie dla czci.

— Dla korzyści? — powtórzył poeta, wzruszając ramionami. — Biedak potrzebuje kolacji i wydostaje ją. Nie inaczej postępuje żołnierz w. czasie marszu. Bo i czemże innem są te wszyst-

¡kie rekwizycje, o których tyle słyszymy? I gdy •wojskowi popijają wino przy ogniskach, biedny mieszczanin znękany rekwizycjami, musi własne ogryzać paznokcie. Widziałem mnóstwo rolników, kołyszących się na drzewach, na jednym nawet wiązie naliczyłem aż trzydzieści trupów — a kiedy zapytałem, za co zostali powieszeni, odpowiedziano mi, że nie umieli zaspokoić potrzeb wojska.

— Niestety — mówił starzec — takie wypadki są nieuchronne w czasie wojny. Nie przeczę, że niektórzy naczelnicy działają bardzo okrutnie. Ale wszędzie są ludzie pozbawieni litości. Istotnie, są wojskowi nie lepsi od rozbójników.

— Widzi pan, sam pan nie możesz przeprowadzić różnicy między wojskowym a rozbójnikiem, działającym tylko przezorniej.

— A teraz powiem panu kim pan jesteś — oświadczył starzec — pan jesteś, kochany panie, łajdakiem — głupim, łajdakiem i włóczykijem. .Chcesz pan wyjść frontem, czy oficyną?

— Jak panu wygodniej — odparł poeta, wstając — wierzę w' pańską skrupulatną cześć.

— A niech się Bóg nad panem zlituje — rzeki gospodarz przy drzwiach.

— żegnajcie mi, ojcaszku — rzekł poeta, ziewając — serdeczne dzięki za zimną baraninę i wino!

Robert L. Stevenson (1850-1894)
(Przełożył Roman Zrębowicz)

81.

Na tej ziemi.

Na tej ziemi więdną wszystkie bzy;
Ptasia pieśń jest krótka i tęskniąca,
Ja śnię o lecie, co pieśniami drży
Bez Końca.. . bez końca...

Na tej ziemi żar ust gaszą łzy
I motylą pieszczotę wiatr zmącą...
Ja śnię pieszczotę, co na ustach drży
Bez końca... bez końca...

Sully Prudhomme (1839—1907)
(Tłum. Bronisława Ostrowska)

82.

Sen.

Rolnik mówił mi we śnie: Dość na moim chlebie
żyłeś. Sam siej, sam ziemię órz w brózdy
garbate!
Tkacz mi mówił: Sam odzież odtąd rób dla siebie!
A mularz rzekł: Weź kielnię sam i buduj chatę!

I sam przez wszystkich ludzi porzucon tak wrogo,
Szedłem wszędy z tą klątwą ich niemiłosierną,
I gdym o litość błagał niebo, — nade drogą
Moją — ujrzałem głodnych lwów parę krwiożerną!

Budzę się, prawdziwości zorzy nieświadomy;
Patrzę: mularz, jak dawniej, buduje nam domy,
Błyszczą zasiane pola, szumi trud warsztatni!

Poznałem moje szczęście: Kto zamieszkał ziemię,
Ten obejść się nie może bez pomocy bratniej,
I odtąd ukochałem całe ludzkie plemię.

Sully Prudhomme
(Tłum. Antoni Lange)

83.

Atalanta w Kalydonie.

Chór:

Nim płynąć poczęły dni fale,
Czas przyszedł, by stworzyć człowieka,
W podarku łzy przyniósł i żale;
Z przybyciem i Troska nie zwleka
I Rozkosz, co boleść przyiosła,
I lato z kwiatami, co więdną,
I Pamięć, w niebiesiech wyrosła,
Szał z piekieł z tą twarzą obłędną;
I Siła bez rąk przyszła w gości
I Miłość, co żyje li tchnieniem,
I noc, co jest cieniem światłości,
I życie, co śmierci jest cieniem.
I wzięli bogowie do ręki
I ogień i łzę tę ciekącą,
Z pod stopy tak wzięli ten miękki,

Ten lotny piasek, i wrzącą.
Pianę wód morskich, proch ziemi,
Spowitej w katusze i znoje,
Byt ciał, nim się stały żywemi
Gdzie śmierci i życia podwoje.
Tak z płaczu gorzkiego i śmiechu,
Z miłości i wstrętu, z potęgi
życia niezmiennej, z oddechu
Śmierci, dzierżącej okręgi,
Na noc, na dzień, na poranek
Bogowie człowieka zlepili,
By cierpiał te Troski kochanek,[x]
By moc jego zgasła tej chwili.
I wichrów walczących zatargi
Zgarnąwszy z południa, z północy,
Powiewy ich tchnęli mi w wargi,
W żywota skąpali go mocy,
źrenicę mu dali i mowę,
By duszy tworzyły zasłonę,
I chwile dla grzechu gotowe,
Dla pracy i myśli stworzone.
I miłość i rozkosz mu dali
I światłość rzucili na drogi,
Dni długość, co słońcem się pali
I noc, a w tej nocy sen błogi.
Wargami gdy człowiek poruszy,
Ognistym przemawia potokiem;
Oślepłą ma żądzę w swej duszy
I śmierć przewiduje swym okiem.
Tka, a ma z szydu okrycie,

Nie zbiera, acz chodzi za pługiem,
Czuwaniem li jest jego życie
Między snem jednym a drugim.

Ałgernon Ch. Swineburne (1837—1909)
(Przekład Jana Kasprowicza)

84.

Dumka.

Poco u mnie czarne brewki?
Poco oczy gdyby żar?
Poco w sercu grają śpiewki?
Poco w głowie tyle mar ?
Moje lata, moje młode
Giną marnie z dnia do dnia;
A oczyma gdzie powiodę,
Zawsze z oczu lunie łza.
Dusza boli, nudzę światem,
Jak zamknięty w klatce ptak.
Poco ludzie zwią mnie kwiatem,
Dobrej doli gdy mi brak?
Świat obmierzle w oczach stoi,
Niema nawet pięknych snów;
Ludzie swoi, jak nie swoi,
By przemówić kilka słów.
Nikt nie spyta w całym domu,
Czemu oko w ciągłej łzie?
Rozpowiedzieć niema komu,
Czego biedne serce chce.
Jak gołąbek ciągle grucha,

Ciągle grucha wnoc i w dzień;
Ale jęku nikt nie słucha,
Nie uważa serca drgnień.
Nieciekawe obcych grono,
Bo i na cóż obcym znać?
Cierp, sieroto! bo-ć sądzono,
Młtode lata mamie trać.
Płaczże, serce — płaczcie, oczy,
Nim zamkniecie się do snu.
Niech się w stepie jęk roztoczy,
Niech przyleci wicher tu,
Niech zaniesie te napiewy,
Aż gdzie morze brzegi rwie,
Niech zdradliwy czarnobrewy
Ma pochybel w mojej Izie.

(Z Szewczenki) (1814—1861).
(Tłum. Wł. Syrokomla)

85.

Rękawiczka.

Powiastka z Szyllera

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada —
Przy nim książęta i panowie Rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem — zaczęto igrzysko;
Spadły wrzeciądze: ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
.Wokoło —•
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię,
I obalił się na ziemię^

Król skinął znowu.
Znowu przemknie się krata:
Szybkiemi skoki, chciwy połowu,
Tygrys wylata.
Spoziera zdała,
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa dokoła obiega —
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy —
Burcząc, na stronie przylega.

Król skinął znowu.
Znowu podwój otwarty —
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła.
Już się tygrys z niemi drapie,

Już obydwu trzyma w łapie —
Wtem lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał — i znowu cisze —
A dzicz z krwawemi pazury
Obiega, za mordem dysze,
Dysząc, na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krużgankuw pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
"'Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułemi przysiągł wyrazy
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda!"

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze —•
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam od radosnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił:
‘'Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale."[1]
To rzeki — i poszedł — i więcej nie wrócił.

(J. Schiller) (1759—1805)
(Tłum. Adam Mickiewicz)

86.

Światło i ciepło.

Dzielny młodzieniec między świeckie zgraje
Wychodzi pełen otuchy,
A co mu tylko wnętrzne marzą duchy,
To się i zewnątrz wydaje.
Pędzi więc, ogniem niebieskim karmiony,
Pędzi za prawdą śmiałemi ramiony.

Ale, niestety, skoro wszystko zważy,
Wszystko — nic lub drobność licha;
Wtenczas, choć środkiem gminu się popycha,
Siebie tylko ma na straży,
I serce, dumne po tej zimnej próbie,
Bi je tylko samo sobie.

Prawdo, o, prawdo! Twój błysk złotofarby
Choć zawsze świeci, lecz nie zawsze pali!
Szczęśliwi ludzie, co za nauk skarby
Skarbu serca nie oddali,
A najszczęśliwszy, kto jednoczy społem
Duch zapaleńca ze światowca czołem!

(Z Szyllera)
(Tłum. Adam Mickiewicz)

87.

Owocobranie.

Słońce zaszło za zachodnią krawędzią rzeki między gęstwiną lasu.

Chłopcy klasztorni przypędzili do domu bydło i siedzieli wokół ognia, słuchając Gautamę, mistrza, gdy przyszedł obcy chłopak i pozdrowił go owocami i kwiatami i kłoniąc się głęboko do jego stóp, rzekł głosem ptakom podobnym: “Panie, przyszedłem do Ciebie, byś przyjął mnie na drogę najwyższej prawdy. Imię moje jest Satyakama.”

“Błogosławieństwo twej głowie,” rzekł mistrz.

“Z jakiego jesteś rodu, dziecię me? Przystoi tylko braminowi dążyć do najwyższej mądrości.”

“Mistrzu,” odrzekł chłopiec, “nie wiem, z jakiego jestem rodu, pójdę i spytam matki.”

To mówiąc, pożegnał się Satyakama i przeszedłszy w bród płytki strumień, przyszedł do matczynej chaty, która stała na końcu piaszczystej; pustyni, u skraju śpiącej wsi.

Przysłonięta lampa płonęła w izbie i matka stała w drzwiach, czekając powrotu syna.

Przycisnęła go do piersi, ucałowała jego włosy i spytała o podróż do mistrza.

“Jakie jest imię mego ojca, droga matko?” spytał chłopiec.

“Przystoi tylko braminowi dążyć do najwyższej mądrości, rzekł mi Gautama, pan.”

Kobieta spuściła oczy i rzekła szeptem:

“W młodości swej byłam biedna i miałam wielu panów. Przybyłeś w ramiona twej matki, Jabali, mój kochanku, która nie miała męża.”

Pierwsze promienie słońca lśniły na szczytach drzew klasztornego lasu.

Uczniowie, których splątany włos był jeszcze mokry po rannej kąpieli, siedzieli pod starem drzewem przed mistrzem.

Wtem przyszedł Satyakama. Skłonił się głęboko d'o stóp mędrca i stał milczący.

“Powiedz mi,” spytał wielki nauczyciel, “z jakiego jesteś rodu?”

“Panie mój, odparł, “nie wiem. Matka ma, gdym ją spytał, rzekła: “Służyłam w młodości swej wielu panom i przybyłeś w ramiona twej matki, Jabali, która nie miała męża.”

Wtedy podniósł się pomruk, podobien gniewnemu brzękowi pszczół, poruszonych kijem, i uczniowie szemrali na bezwstydną śmiałość wyrzutka.

Mistrz Gautama powstał z swego siedzenia, wyciągnął ramiona, wziął chłopca na swą pierś i rzekł: “Najlepszym ze wszystkich braminów jesteś ty, me dziecię. Posiadasz najszlachetniejsze dziedzictwo prawdy.”

R. Tagore (1861 >
t (Tłum. Leopold Staff)

88.

Szept Duszy.

Przeszedłszy od zasady siły do zasady piękna, spostrzegamy w jednej chwili, iż przez cały czas składaliśmy ofiary fałszywemu bożkowi; że potęga tak nabrzmiewa krwią swych ofiar, iż pęka od niej; że, mimo wszelkie wysiłki mnożenia wciąż wojsk i zbrojeń, budowania flot i powiększania, udziału w łupach wojennych, cała nasza sztuka rachowania nie jest w stanie dopomóc nam do uczynienia z kłamstwa prawdy; że wreszcie miażdżą nas te wszystkie, nagromadzone przez nas,- martwe rzeczy. Kiedy Riszi Dźanddżawalkdża w przeddzień swego rozstania z żoną Maitreji chciał przelać na nią swe dobra ziemskie, Maitreji wykrzyknęła: — Cóż pocznę z majątkami, które nie mogą mi dopomóc do zdobycia nieśmiertelności. I cóż za pożytek z tego bezustannego zbierania, zbierania i zbierania? Wytężywszy do ostateczności-siłę i wysokość głosu, nie otrzymamy nic prócz przenikliwego pisku. Osiągniemy muzykę tylko powstrzymując ton i doprowadzając go d» rytmicznej i muzycznej doskonałości. Człowiek; urasta w olbrzyma, gdy wszystko ciągnie ku sobie; osięga harmonję, kiedy przestaje się starać o siebie. W tej harmonji jest pokój — nie ten, jaki można osięgnąć przez organizacje zewnętrzne i koalicje poszczególnych potęg, lecz pokój,

oparty na prawdzie, a polegający na braku samolubstwa i na pełnej zrozumienia miłości.

Wczoraj wieczorem, kiedy ciął zimny wiatr północny, kramarze zbudowali sobie naprędce coś w rodzaju szałasu z gałązek i liści. Mimo całą swą prymitywność ta szopa była w danej chwili ich najpilniejszą potrzebą. Ale dziś rano już o świcie słychać było, jak nawoływali swe woły i wyciągali skrzypiące wozy z pod drzew. Teraz najpilniejszą ich potrzebą jest znów to swe schronienie porzucić. Gdyby potrzeby nasze nie zmieniały się bezustannie, gdyby leżały na nas jak jakieś nieruchome brzemię, zmiażdżyłyby wszelkie istnienie. Prawda, że w danej chwili wzdychamy nad znikomością tego świata, w rzeczywistości jednak jego niezmienność doprowadziłaby nas do rozpaczy. Przemijanie i nieprzemijanie — między temi dwiema, w dwóch przeciwnych kierunkach płynącemi rzekami, znaleźliśmy swe siedziby i swrą wolność.

Kiedy przychodzimy na przedstawienie życia, w głupocie swej siadamy zwykle plecami do sceny. Widzimy wyzłacane filary i ozdoby, przyglądamy się wchodzeniu i wychodzeniu tłumów, a gdy wreszcie światła gasną, pytamy zmięszani, co to wszystko miało znaczyć. Gdybyśmy wzrok swój skierowali na scenę wewnętrzną, moglibyśmy oglądać odwieczny dramat miłosny duszy a zarazem upewnić się, iż choć nie brak w nim pauz, on sam jest nieskończonym i że wszystkie olbrzymie przygotowania świata nie są bynajmniej ja-

kimś świetnym, gorączkowym majaczeniem materji, ale mają swe znaczenie i swój sens.

Niektórzy ludzie mają statyczną koncepcję życia, to znaczy, wierzą w życie pośmiertne dlatego, że zależy im nie na jego dopełnieniu się, lecz na trwaniu w dalszym ciągu. Szczęśliwym czyni je wyobrażenie, że rzeczy, do których przywykli, będą trwały wiecznie. Utożsamiają się w duchu najzupełniej z otoczeniem, z którem się zżyli i z tern, co zebrali, a śmiercią w ich mniemaniu byłoby rozstanie się z tern wszystkiem. Zapominają, że prawdziwą istotę życia stanowi przeżywanie, bezustanne wyrastanie z samego siebie. Owoc trzyma się łodygi, skorupa miąższu owocu, miąższ pestki —dopóki owoc nie dojrzeje, dopóki nie jest zdolny do dalszego życia. Kiedy jednakże ziarno jego dojrzało, odrywa się od swego otoczenia, zaś miąższ jego, nabrawszy smaku i słodyczy, ofiaruje się wszystkim, którzy go pragną. Dziobią go ptaki, ale nie czynią mu przez to żadnej krzywdy, burza zrywa go i rzuca w pył, ale i ona nawet nie może zniszczyć jego wewnętrznego życia. Właśnie oddając się, dowodzi owoc swej nieśmiertelności.

Święte księgi Hindusów przedstawiają świat, jako jajo. Jeśli to ma być słuszne, to jajo musi zawderać istotę żyjącą, której przeznaczeniem byłoby rozbić swą skorupę dla jakiegoś swobodniejszego życia. Świat nasz, użyczając nam pokarmu i schronienia, zamyka nas ze wszystkich stron. Ciasne ograniczenie naszych wrażeń, uczuć i my-

śli stanowi skorupę, w której uwięziona jest nasza
świadomość. Gdybyśmy mogli choćby odrobinę
rozszerzyć jej granice, ■ gdyby choć parę niewidzial
nych promieni mogło dotrzeć do sfery naszego
spostrzegania, gdyby kilka dalszych taktów tańca
stworzenia mogło zabrzmieć na nowych strunach
naszego odczuwania, cały nasz obraz świata uległ-
by zupełnej przemianie. Otóż to przejście z ogra-
niczenia naszego odczuwania i myślenia do szer-
szej wolności, stanowi cały sens naszej nieśmier-
telności. Czy możemy, w naszym obecnym sta-
nie niewoli, utworzyć sobie jakiś obraz tej szer-
szej wolności? Czy pisklę, na podstawie poszcze-
gólnych spostrzeżeń, jakie czyni w swej skorupie,
mioże wyrobić sobie wyobrażenie o świecie, na
który ma przyjść?

Ponieważ z natury jesteśmy istotami towa-
rzyskiemu, musimy część swej działalności poświę-
cić utrzymaniu w ruchu biegu życia towarzyskie-
go. Jednakże pole tej działalności oraz zakres jej
działania są powierzchowne. Lekki bieg fal życia
towarzyskiego różni się od głębokich prądów mi-
łości bliźniego. Człowiek o silnie rozwiniętym in-
stynkcie towarzyskim nie zawsze musi być rów-
nocześnie ożywiony miłością bliźniego. Marno-
trawcy bardzo często nie dostają prawdziwej
szczodrobliwości Ludzie tego rodzaju umieją
przeważnie nie tyle dawać, co wydawać. To nie-
rozumne wydawanie wytwarza pustkę, którą sta-
rają się wypełnić rozbieżną działalnością, mającą’
jako jedyny cel zabicie czasu.

Wśród ludzi mamy sobie wyznaczone miejsce według pewnej określonej, konwencjonalnej kia' syfikacji, jak zabawki, ustawione za szybą wystawową stosownie do tego, ile która kosztuje. Skutkiem tego zapominamy, że człowiek nie jest towarem, że człowiek towarzystwa nie jest całym człowiekiem. Kiedy pewnego razu cały dzień łowiłem ryby na Gangesie, usłyszałem śpiew jakiegoś rybaka, o którym mój wioślarz z wielkim szacunkiem mi opowiadał, iż on jest natchniony przez Boga. Otóż tego człowieka nie dotyczą fluktujące ceny targowe, albowiem on znalazł nieskończoną wartość duszy, czego nie potrafili zdobyć panowie świata. W historji było wielu ludzi, których wartość wieczna uznawana jest i dziś, ale to uznanie nie jest bynajmniej jedynym dowodem ich wartości. Albowiem nieśmiertelne nie hiusi się objawiać na zewnątrz, a promienie ciemne, mimo, że ich nie widzimy, są także promieniami. I dlatego obraz tego rybaka zawsze staje przede mną, ile razy pomyślę, że niemała jest ilość tych, których życie było epopeją wyzwolenia duszy, których imion jednakże hiśtorja nigdy nie wymieni.

Musimy wiedzieć: Gdybyśmy otrzymywali ściśle to, na co zasługujemy i czego potrzebujemy, byłoby, jak gdybyśmy podróżowali po jakimś świecie absolutnie i doskonale płaskim, gdzie zatem wszystkie płynne siły przyrody musiałyby dojść do zupełnego zastoju. W pejzażu życia potrzebujemy wyżyn i nizin, bez względu na to jak niewygodne one mogłyby być, aby myśli i siły

nasze mogły swobodnie krążyć. Podróż naszego życia jest podróżą po nieznanym kraju, gdzie wzgórza i jary zabierają nam nagle drogę i utrzymują przez to ducha naszego w ciągłej czynności, a nie pojawiają się bynajmniej stosownie do naszych zasług, lecz właśnie według tego, jak je przezwyciężamy, ocenia się naszą zasługę.

Wyznania wiary i rytuały są dla prądu naszego życia religijnego kanałami, które mogą go przyśpieszać lub też tamować, stosownie do tego, czy mają swobodny odpływ czy nie. Jeśli symbolowi idei rełigijnnej nadamy formę zbyt twardą i sztywną, może ona wyprzeć ideę, którą miała wspomagać. Obrazowe formy ekspresji, będące symbolami naszych uczuć, mogą w sztuce i literaturze podniecać naszą fantazję, nie panują jednak nad nią trwale, ponieważ nie roszczą sobie żadnych pretensyj do monopolu i pozostawiają drogę wolną dla nieskończonych możliwości innych obrazów. Jak tylko wyradzają się w trwałe nawyki ekspresji, tracą wszelką swoją artystyczną wartość. W swym poemacie o skowronku rozsypuje przed nami Shelley cały szereg obrazów, które mają dla nas wartość dlatego, że wyrażają naszą nieskończoną radość. Gdyby jednakże te obrazy, ze względu na swą trafność i piękno, na podstawie jakiegoś prawa zostały ustanowione jaka ostatezne i jedynie dopuszczalne dla wyobrażenia skowronka, poemat Shelley’a natychmiast straciłby swą prawdziwość, ponieważ ona leży w jego płynnym charakterze i w jego skromności.

przyznającej w milczeniu, że utwór nie jest bynajmniej słowem ostatniem.

Rabindranath Tagore (1861)
(Przełożył Jerzy Bandrowski)

89.

Nie zabijaj.

Rządy narodów chrześcijańskich przy pomocy duchowieństwa chrześcijański *ego* pouczały przez długi czas swe ludy, że przykazanie: nie zabijaj nie ma bezwzględnego zastosowania i że w pewnych wypadkach można, a nawet trzeba zabijać ludzi. Ludy temu wierzyły i brały udział w zabijaniu tych osób, które rządy przeznaczyły na śmierć.

Gdy wiara w nieomylność rządów zanikła, ludy używać zaczęły względem rządów tych samych środków działania, których rządy używały względem ludzi, stojących im na przeszkodzie.

Różnica cała polegała na tern, że rządy zalecały zabójstwa w wojnach lub na mocy uchwał posiedzeń, nazwanych posiedzeniami sądów, podczas gdy lud uważa, że można zabijać w czasie rewolucji i na podstawie wyników narady pewnych posiedzeń, nazwanych “Komitetem rewolucyjnym.”

Wiele przyczyn podkopało wiarę w religję chrześcijańską bez względu na formę, jaką ta re-

lig-ja przyjęła, t. j. zarówno w katolicką, jak i protestancką lub prawosławną religję. Zatargi religijne i oświata wzrastająca należą do tych przyczyn, ale główną przyczyną upadku religji była przedewszystkiem ta okoliczność , że zarówno katolicyzm, jak i protestantyzm pozwalały na egzekucpje i na wojny.

Iw samej rzeczy, jeśli ci, którzy uważają się za chrześcijan, zechcieliby tylko odrzucić czcze rozprawy o dogmatach, oraz frazeologję' sentymentalną — i jeśli ci, którzy nie wierzą w chrzęści janizm, ale ufność swą pokładają w nauce, zechcieliby zostawić na stronie skomplikowane i bez treści rozprawy o państwie, postępie i ustroju przyszłym, a natomiast wszyscy przejęliby się gorąco podstawową, niezbędną, prostą, tysiące łat temu już wyrażoną prawdą — i to prawdą, zarówno już odczuwaną przez serce, jak i dostępną umysłowi, — prawdą, że człowiek nie powinien podnosić ręki swej na życie drugiego człowieka, w takim wypadku cały straszny i brutalny stan życia naszego uległby zmianom, a może życie, zgodne z przebudzonem sumieniem ludzi dni naszych ukształtowałoby się w sposób naturalny. Wtedy to ideały najpiękniejsze obywateli cnotliwych znalazłyby swe urzeczywistnienie.

Kant powiedizał: “Królestwo niebieskie na ziemi — oto cel i pragnienie ludzkości. Chrystus zbliżył nas do takiego królestwa, ale ludzie nie zrozumieli go i zaprowadzili w naszem życiu królestwo kapłanów, a nie królestwa Boga.”

I Kant dodaje: “Tylko wtedy będziemy mieli zupełne prawo twierdzić, że doszliśmy do Króle« stwa Bożego, gdy pojęie o konieczności stopniowego przejścia od wiary kościelnej, do wiary w powszechną a rozumną religję zawładnie nami.”

Ludzie wynaleźli wszelkiego rodzaju religję i systemy polityczne, mające bronić współżycia? niemniej dużo położyli starań około naprawy warunków bytu fizycznego. Istnieje handel wymienny poprzez oceany szerokie, powietrze nawet służy jako środek komunikacyjny, a wynalazki współczesne sprawiają cuda. Ale ludzie w niebaczności swej pozwolili sobie na jedno małe zboczenie zarówno od nauk i doświadczeń przeszłości, jak i od nakazów własnego rozumu oraz serca. Uznali ludzie prawo zabijania swego bliźniego. I oto wszystkie ochrony religijne oraz polityczne na nie się nie przydają, a wszystkie cuda technicznych, ulepszeń nietylko nie prowadzą do dobrobytu, ale nawet niszczą dobytek, już osiągnięty.

t Co więc winniśmy zrobić, by królestwo Boga "W samej rzeczy zapanowało?

Trzeba zrobić wszystko, co takie przyjścia królestwa Boga przyspieszyć może.

Co głodny człowiek może zrobić, gdy potrzebuje pożywienia? Pracować dla wytworzenia pokarmu. Pokarm sam przez się nie dostaje się ludziom, ani też królestwo Boga — to jest dobre współżycie ludzkie — nie może się zjawić bez naszych wisiłków. Tylko my sami możemy być twórcami takiego królestwa. Praca nasza powinna się

zacząć od usuwania zła, a największem dziś istniejącem złem, jest zabójstwo!

Hr. Leon Tołstoj (1828—1910)
(Tłumacz Nieznany)

90.

Śpiewak.

Na marach śpiewak złożył głowę,
Z ust bladych piosnka nie uleci...
Rzucono lauru liście płowe
Na czoło, gdzie już myśl nie świeci.

Zwoje ostatnich pieśni pewnie
Trzyma on jeszcze w skrzepłem ręku,
A lutnia, co tak brzmiała śpiewnie,
Spoczywa przy nim — lecz bez dźwięku.

Tak śpi głęboko, a ton pieśni
Drży jeszcze w uchu jego braci:
Więc każdy czuje tem boleśniej,
że lud takiego mistrza traci!

Mijają dnie, miesiące, lata;
Cyprysy grób mu uwieńczyły;
Ci, których zgryzła jeg . strata.
Sami już zeszli do mogiły:

Lecz, jako wiosny wdzięk miniony
Znów wraca świeży i uroczy,
Tak śpiewak w grobie odmłodzony
Przez kolej nowych czaisów kroczy.

I nie czuć w nim grobowej pleśni;
Znów się wśród żywych rozpłomienił —
świat dawny, co go zmarłym mienił,
Sam tylko żyje w jego pieśni.

J. L. Uhland (1787—1862)
(Tłum. Adam Asnyk)

91.

Rozmowa sentymentalna.

W starym parku samotnym, wśród wieczornej
mgły,
©wie postacie przed chwilą wolnym krokiem szły.

Oczy zgasłe, uwiędła krasa ust różowa,
I ledwie dosłyszalne są ciche ich słowa.

W starym parku samotnym, wśród wieczornej
mgły,
Dwie mary wskrzeszać chciały dni minionych sny.

— "Pamiętasz nasze dawne szałów uniesienia?
•— I po cóż chcecz pan u mnie takiego
wspomnienia ?

—Na me imię czy zawsze serce twoje drgnie?
Czy zawsze duszę moją w snach widujesz? —Nie.

— Ach, te niewysłowionego szczęścia złote zorze,
Kiedyśmy usta do ust cisnęli! — Być może.

O, modrość owych niebios! o, nadziei wzlot!
Nadzieja pierzchła w bólu za chmur czarnych
splot.
Tak szli, gdzie traw zdziczałych łąka legła płowa,
I noc tylko słyszała szeptane ich słowa.

Paul Verlaine (1844—1896J
(Tłum. Miriam).

92.

Biały sierp wąski

Biały sierp wąski
Weszedł nad bór;
Z każdej gałązki
świegotów chór
Płynie gęstwiną...

O ma dziewczyno !

Stawu tajemne
Lustro bez dna
Odbija ciemne
Wierzb sennych tła,
Gdzie wiatr wspomina...

Marzeń godzina.

Ogromna, tkliwa
Cichość i mir

Z szafirów spływa,
Z gwiaździstych lir
Słodko się chyli...

O, czar tej chwili’

Paul Verlaine)»
(Tłum. Miriam)

93.

Stance do pani De Châtelet.

Jeśli chceisz, Pani, bym kochał raz jeszcze,
Wróć wiek, gdy serce jeszcze kochać może;
Rozprósz zmierzch życia i cienie złowieszcze
I zapal znowu mej młodości zorze.

Tam, gdzie wiek długi przebyłem ochotnie.
Gdzie rządzą bóstwa miłości i wina,
Skończona moja na zawsze gościna,
Czas mnie już stamtąd wygania sromotnie.

Jego surowość niechże na coś zda się,
Z godnością jeszcze ja ustąpić wolę;
Kto nie był mądrym we właściwym czasie,
Ten wieku swego tylko znał niedolę.

Zostawmy młodym porywy i szały,
Płochość, choć wdzięku ma i ponęt tyle,
I z tych chwil kilku, co nam nieba dały,
Przeżyjmy mądrze chociaż jedną chwilę!

Więc już nazawsze rzucić mnie śpieszycie,
Więc już nazawsze żegnać was potrzeba:
Złudzenia, czary, wszystkie dary nieba,
Coście mi gorzkie osładzały życie!

Dwakroć umiera człowiek •— o rozpaczy! —
Bowiem już umarł •— nie można się łudzić —
Gdy kochać przestał sam i miłość budzić;
“Przestać żyć” wobec tego nic nie znaczy.

Tak smutkiem zdjęty, wszystkie-m liczył straty.
Które mi wydarł Czas nieubłagany;
Głód wrażeń duszę szarpał, jak przed laty,
żal i tęsknotę budząc naprzemiany.

Wtedv to ku mnie raczyła łaskawie
Znijść Piękna, co się Prżyjaźnią nazywa, —
Tkliwa i czuła tak, jak miłość prawie,
Tylko mniej nieco od niej była żywa,

'Ach! zachwyciły mnie jej wdzięków czary,
Wszechładną moją wnet stała się panią.
Poszedłem za nią — lecz smutny bez miary,
Że iść już teraz mogę... tylko za nią.

Voltaire (1694—1778)
(Tłum. Czesław Jankowski)

94.

1). Nad przepaścią.

Nieraz ja stojąc nad przepaścią życia,
Pytam, co rzucić w te otchłanie szatrę?
Czy wiarę w siebie, czy też w ludzi wiarę?
Czy ideały me? czy serca bicia?
Wszakże głos mocny z głębin do mnie woła:
— Słabość czuć tutaj! Idź, a podnieś czoła!

95.

2). Giordano Bruno.

Głos grzmi z mroków: “Precz w otchłanie!”
Głos grzmi z światła: “Dalej wzwyż!”
A te spory, to wołanie
życie mija niosąc krzyż.

Nagle wielki czyn zapała,
Świt uderzy w mrok i w cień,
Rozgoreje ludzkość cała,
I braterstwa wschodzi dzień.

Aż znów huknie walki wrzawa,
Wulkan bucha, kipi złość,
Spada maska: Bestja krwawa,
Człowiek — własną gryzie kość!

Głos grzmi z mroków: “Na łańcuchy!”
Głos grzmi z światła: “W świty zórz!”
Wdół i wzwyż się kłębią duchy,
Aż i starcem jesteś już.

I osłabły zwątpisz w siebie,
W cieniu płynąć dasz swym łzom...
Aż tu nagłe błysk na niebie,
W ziemię bije czynu grom.

I na światów dwóch granicy
Płomienisty świeci miecz,
Szatan strącon do ciemnicy...
.— Nie! My idziem w światło precz!

Jarosław Vrchlicki (1853)
(Tłum. Marja Konopnicka)

96.

Podróż do Indji.

Me dni śpiewając,
Śpiewając o wielkich spełnieniach współczesnych,
Śpiewając mocne, jasne dzieła inżynierów,
Nasze cuda nowożytne (co prześcignęły siedem
starożytnych),
Tam w starym świecie, na wschodzie kanał sueski,

Nowy świat opleciony potężną, siecią dróg
żelaznych,
Morza usiane gęstwiną wymownych drutów
szlachetnych;
Duszo: wpierw zabrzmij i zawsze rozbrzmiewaj
okrzykiem,
Przeszłość! Przeszłość! Przeszłość!
Przeszłości, o niezgłębione ciemne spojrzenie
wstecz!
Urodzajna zatoka, tłum śpiących i cieni!
Przeszłość, o nieskończony ogromie przeszłości,
Bo czemże obecność jest po tern wszystkiem, jak
nie pszeszłości latoroślą,
(Jak wypuszczona strzała w pewnym kierunku
lotu trwa
Tak i obecność kształt i pęd z przeszłości bierze
jedynie).
Podróżuj tedy do Indji ma duszo!
W azjatyckie mity wniknij, w pierwotną baśń
I patrz, ma duszo, czyż nie widzisz celu Boga od
początku ?
Otoczyć tak ziemię, spokrewnić i siecią spleść
Rasy, sąsiadów, pożenić, ślubem złączyć,
Przeszybować oceany, zhliżyć odległości
I kraje stopić w jedno.
Wyśpiewam nowy kult,
Wasz kapitanowie, wasz podróżnicy, odkrywcy.

Wasz inżynierzy, architekci, maszyniści,
O, wyście nie dla przewozu tylko lub przemysłu,
Lecz w imię Boga i dla cię, o duszo.

Walt Whitman (1819—1892)
(Tłumaczył Stanisław de Vincenz)

97.

W ogrodzieśmy się spotkali.

W ogrodzieśmy się spotkali,
Ja i to moje kochanie;
Śnieżysto białą stopą
Po kwietnim idąc dywanie,
“Bądź” — mówi — “spokojny w miłości,
Jako ten liści wieniec!”
Ale ja słuchać nie chciałem,
Młody ci byłem szaleniec.
Staliśmy śród pola, nad rzeką,
Ja i ta moja wielbiona;
Śnieżysto — białe ręce
Na me składając ramiona,
“Bądź” — mówi spokojny w życiu,
Jako ta trawa na łące!”
Młody — ci byłem szaleniec,
Dziś pieką łzy mnie gorące.

William Butler Yeats (1865)
(Przekład Jana Kasprowicza)

98.

Aryman i Oromaz.

Z Zenda — Westy.

W samym przepaści niezgłębionym środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
Gniewny, jako lew, jak wąż, jadowity.
Onego czasu nadął się i dźwignął
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął
I po ciemności, jak pająk po sieci,
Szczeblowa! w górę, tam, gdzie Bóstwo świeci.

Oparł się o dnia i nocy granicy,
Wynurzył głowę i podniósł źrenice —
A skoro ujrzał w samym niebios środku,
W samym jasności najczystszej zarodku
Oromadesa, co śród tworów świeci,
Jak śród gwiazd słońce, jak ojciec śród dzieci —
Skoro na widok przedwiecznego słońca
Ta myśl, ogromna, jako świata brzemię,
Zły duch pomyślał o szczęściu bez końca —
Z takim ciężarem padła mu na ciemię,
że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków — i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębinej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

(Autor nieznany)
(Tłum. Adam Mickiewicz)

99

Daleki pieśni zgon!

Mówisz, że kona pieśń natchniona,
że wkrótce grób ją skryje!
Nie, póki jeszcze w głębi łona
Ludzkiego serce bije:
Nie, póki zcicha w niem przebrzmiewa
Wewnętrznej gędźby ton,
Nie, piękna moja czarnobrewa,
Daleki pieśni zgon!

Nie, póki w marzeń mgłę różową
Fantazja stroi skronie;
Póki srebrzyście nam nad głową
Gwiazdami niebo płonie:
Póki wieczornych zórz purpury
Czerwienią niebios skłon,
A stąd dzwoneczki mają góry,
Daleki pieśni zgon!

Nie, póki duch w dniach przeszłych gości
I zwiedza ich świątnice
I wzlata chętnie w mgły przyszłości,
A los zna tajemnice:
Nie, póki żyją święte ślady
W italskich głębi łon,

Które tam wyrył„Dante blady, —
Daleta pieśni ’zgon!

Nie, póki morze w skał urwisko
Uderza z gędźbą szumną:
Póki się miłość nad kołyską
Chyli, a ból nad trumną:
Póki gniazd szczebiot mają drzewa,
A ziemia kwiecia plon,
Póki twój płacz i śmiech rozbrzmiewa —«
Daleki pieśni zgon!

Bernardino Zendrini, (1812—1878)
(Hum. Miriam)

SPIS RZECZY

Numer Strona

Nümer Strona

(

Numer Strona

, 149-51, 151-2, 153-4, 233-4